TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI
MOCAK: ujawniamy kulisy mobbingu
Kto się boi związków jednopłciowych
Kobiecość Ducha Świętego
Co naprawdę widzimy, widząc UFO
Kieżun smakuje Bolonię i Parmę

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 20 – 26 maja 2026 | nr 21 (4011)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

CYFROWY CIELEC SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

SYLWIA CZUBKOWSKA O RELIGIJNYCH FANTAZJACH DOLINY KRZEMOWEJ
STR. 10-14

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

mpec
kraków

Ciepła **energia**
Krakowa

www.mpec.krakow.pl

REKLAMA

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ KUŹMIŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Parada hipokryzji
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Knebel na krnąbrną prasę
JACEK PAWŁOWSKI *o losach ludzi, którzy uwierzyli, że w III RP będą mogli pisać prawdę*

20 Odszkolnieni
MARTYNA LESZCZYŃSKA: *Co nauczanie domowe daje, a co odbiera?*

■ ■ REPORTAŻ

24 Niezwykle czuły folwark
TADEUSZ MAREK: *Ujawniamy kulisy odwołania Adama Budaka ze stanowiska dyrektora MOCAK-u*

■ ■ ŚWIAT

30 Dlaczego się zgłosiłem

ARCHIWUM PRYWATNE

ANDRIJ LUBKA: *Ukraiński pisarz poszedł na ochotnika do armii*

34 Gdy wyjadą Amerykanie
IWONA WEIDMANN: *Bawaria: zapowiadana redukcja obecności armii USA to sygnał końca epoki*

36 Czwarta Republika
DOMINIK HÉJJ: *Na Węgrzech rozpoczęła się era Tiszy*

38 Miss od pociągów
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Hiszpanie w globalnym rankingu korupcji wypadają coraz gorzej*

■ ■ WIARA

40 Przybądź, Ducho Święta
ZUZANNA RADZIK: *Czy w Trójcy Świętej jest miejsce na kobiecość?*

43 Papież karci Niemców
ARTUR SPORNIAK: *Czy niemiecki Kościół w błogosławieniu par homoseksualnych poszedł za daleko?*

TEMAT TYGODNIKA

10
Kapłani cyfrowego cielca
SYLWIA CZUBKOWSKA
Oligarchowie z Doliny Krzemowej zmienili swoimi algorytmami kulturę i demokrację. Dziś ich ambicje są większe: przy pomocy AI tworzą nową religię. Przyjrzyjmy się jej dogmatom.

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
22 OLGA DRENDA
47 ZUZANNA RADZIK
60 ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

45 Rozmowa musi wystarczyć
MARTYNA MAZUREK *o książce Jamesa Martina „Tęczowy most"*

46 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ DZIEŃ MATKI

48 Małe ręczniki
BARTOSZ SADULSKI: *W jej przypadku metafora „walki" z rakiem brzmiała jak ponury żart. A ja właściwie nigdy nie przeżyłem żałoby*

■ ■ NAUKA

52 Tajna misja kosmitów
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Amerykański rząd odtajnia akta dotyczące UFO. Psychologowie i socjologowie będą zachwyceni*

■ ■ HISTORIA

56 Hegseth z Marsa
MACIEJ TALAGA: *Brutalność nie czyni groźniejszym dla wrogów. Tak było w średniowieczu, tak jest dziś*

■ ■ KULTURA

62 Słowa zamiast łez

RAWPIXEL / THAI / ADOBE STOCK

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *Papier zniesie każde wyznanie, ale czy każdym warto się dzielić?*

66 Jak to wyrazić
PIOTR KOSIEWSKI: *Maria Jarema i pytania o wojnę w sztuce*

70 Praga symfonicznie
DOROTA KOZIŃSKA: *To dla melomanów czas, gdy warto skoczyć do Czech*

72 Wzrusz
DOROTA MALINA: *Komiks „Okruchy": po co tłumaczyć Polskę Polakom*

73 Polecamy

74 Punkt widzenia drzewa
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Ildikó Enyedi „Milcząca przyjaciółka"*

74 Świat w splątaniu
LEKTOR *o książce „Nie mówi się takich rzeczy" Hanny Krall i Zbigniewa Libery*

■ ■ ZMYSŁY

78 W spiżarni bogów
BARTEK KIEŻUN: *Bolonia: uczona, czerwona i tłusta*

KS. ADAM

Boniecki: *Jak pamiętam Mamę*

Udzieliło mi się coś z myślenia Bartosza Sadulskiego, autora eseju w tym numerze. Stąd wspomnienia. Najstarsze: miałem może sześć lat. Część ogrodu – ciepłą, nagrzaną, pachnącą – zajmowały szklarnie. W pobliżu były ule. Przychodziła w wiatrówce, z kapeluszem opatrzonym w siatkę i z dymiącym urządzeniem w rękach. Zdejmowała daszki z uli, wyjmowała ociekające miodem ramki i pewnie (bo tego nie pamiętam) wkładała je do wirówki. Pamiętam za to doskonale, że dostawałem kawałek plastra.

Pamiętam też szparagarnię, chyba za murem otaczającym ogród. Szparagi zbierało się rano, bo w ciągu dnia już nie były takie pyszne. Wycinało się specjalnymi jakby dłutami. Ale w szparagarni byłem chyba tylko raz.

Później wybuchła wojna. Wspomnienia nakładają się na siebie: wyjazd w nocy, bomby lecące na kolej, my w rowie, noclegi w przepełnionych dworach. Powrót po kilku dniach, na meblach pokrowce. Nie pamiętam powrotu Ojca. Widziano go gdzieś we Lwowie, z brodą. Potem już był w domu. Strzępy opowieści: że jako podoficer został z szeregowcami odesłany (przez sowieckich żołnierzy) do domu.

Dzieciom się nie mówiło o okropnościach wojny, ale wszystkiego ukryć się nie dało. W końcu Niemcy zabrali i zabili Ojca. Mój brat powiedział wtedy, że nigdy się nie ożeni, bo nie chce być powodem takiego cierpienia jego żony, jak cierpienia Mamy.

Niebawem przyszło nam opuścić dom i ziemię. Zamieszkaliśmy w nie-

GRAŻYNA MAKARA

GRAŻYNA MAKARA

MICHAŁ

Kuźmiński: *Tęsknota za cudem*

Mieliśmy marzenie o internecie ufundowanym na wartościach: wolności, kulturze daru i dzielenia się wiedzą, solidarności, prawie do anonimowości, a przede wszystkim łączności międzyludzkiej. To marzenie, o połączeniu ludzi, krajów, kultur i kontynentów w globalnym dialogu, towarzyszyło przełomowi wieków. Nazwane „globalną wioską", zasadzało się na wierze w cuda, jakich człowiek może dokonać za sprawą technologii.

I rzeczywiście, okazało się wiarą w cuda. Dwie dekady później internetowy *mainstream* toczy się pod kontrolą platform wielkich graczy technologicznych, ruch w sieci jest reglamentowany przez ich algorytmy, łączność filtrowana przez bańki, a model biznesowy big techów zmienia użytkowników w towar sprzedawany tym, którzy skłonni są zapłacić za dostęp do ich zaangażowania. A płacą nie tylko reklamodawcy, także podmioty wykorzystujące możliwości algorytmów do manipulacji wyborami politycznymi, szerzenia dezinformacji i prowadzenia wojny

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ 39

dalekim miasteczku, a Mama potrafiła zająć się wszystkim: nawet krową, którą ktoś przyprowadził z naszej obory, i świnkami. Została sobą, panią z dobrego domu, choć gnietliśmy się w ciasnocie. Na noc cała podłoga pokryta była siennikami.

Jak długo dwoje najmłodszych z naszej piątki było małe, Mama pracowała chałupniczo. My oczywiście pomagaliśmy, ale większość robiła ona. I jedno wydarzenie, które będę do śmierci pamiętał. Była sroga zima, a my rośliśmy... Z dawnego eleganckiego futra dała sobie zrobić kurtkę. I nagle się okazało, że nie mam niczego na zimę. Wytłumaczyła, że jej właściwie ta kurtka niepotrzebna, a ja z łatwością uwierzyłem. O ilu jej wyrzeczeniach nawet nie mam pojęcia... Kiedy poszedłem do zakonu, popierała, ale kiedy wyjeżdżałem z domu, płakała.

Kiedy wszystkie dzieci podrosły, poszła do pracy. Prowadziła magazyn. Jaka to była gigantyczna praca zorientowali się, kiedy poszła na emeryturę: na jej miejsce musiały przyjść dwie czy nawet trzy osoby. Była perfekcjonistką we wszystkim, co robiła, nigdy za perfekcjonistkę się nie uważając. Nigdy też nie słyszałem z jej ust narzekań. Nigdy nie powiedziała, że przed wojną to były dobre czasy.

Była głęboko wierząca. Nie to, żeby często mówiła o sprawach religijnych, ale była człowiekiem modlitwy i wiary. Tak patrzyła na świat i na wszystkie sprawy. To dla niej było źródłem siły. A ja? W żadnym stopniu nie okazałem jej tyle miłości, ile ona mi okazała, choć naprawdę nie była czułostkowa. Moja Mama była (jest) zdumiewająca. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

hybrydowej. Opisywaliśmy to w „Tygodniku" wielokrotnie.

Na to przyszła rewolucja AI i technologia nieporównywalna z niczym w historii ludzkości. I z miejsca przechwycona choćby do tworzenia doskonale fałszywych treści, chwiejących samą zdolnością społeczeństw do konsensusu na temat tego, co jest prawdą. Ale to jeszcze widocznie mało. „Oligarchowie z Doliny Krzemowej zmienili swoimi algorytmami kulturę i demokrację. Dziś ich ambicje są większe: przy pomocy AI tworzą nową religię" – pisze w tym numerze **SYLWIA CZUBKOWSKA**, znakomita dziennikarka technologiczna. I ta religia to nie jest metafora.

Potrzebujemy legislacji zdolnej do kontroli big techów. Potrzebujemy edukacji medialnej i prawdziwej publicznej debaty, a nie jej nakręcanej algorytmicznie parodii na X-ie. Ale potrzebujemy też wylogowania się (wiarygodna papierowa prasa to sprawdzony sposób) i rozmowy o tym, co możemy dzięki tej technologii zrobić, a co ona robi z nami. O tym, jak marzenie o globalnej wiosce odbudować. Rozmowy nie od razu globalnej. Na początek we własnych wioskach.

O wpływie algorytmów rozmawialiśmy na konferencji Tygodnik Trzeciego Wieku z krakowskimi seniorami. Nagrania z niej dostępne są na naszym kanale YouTube – w dowód, że od nas też zależy, jak platformy big techów wykorzystamy. ©℗

Dziennikarz i redaktor działu Kultura, podkaster, współautor powieści kryminalnych i autor książek dziennikarskich.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

O. ANTONIO SPADARO
Wywiad ze znanym włoskim jezuitą o relacji Kościoła ze światem kultury. Autentyczna wiara nie boi się pytań, nawet prowokujących.

JUSTYNA DĄBROWSKA ROZMAWIA Z PAULINĄ MAŁOCHLEB:
Czym jest macierzyństwo: Rolą? Instytucją? Doświadczeniem? Relacją? Na polskie matki nakładana jest ogromna presja.

KRYSTYNA JANDA
Portret aktorki z okazji premiery „Zapętlonej" w Teatrze Polonia, a także 50-lecia obecności na ekranie.

MAGAZYN LITERACKI „KSIĄŻKI W TYGODNIKU"
W najnowszym magazynie literackim rumuński pisarz Mircea Cărtărescu opowiada o niezwykle popularnej w Polsce powieści „Solenoid", profesorka Uniwersytetu Kalifornijskiego, Maryanne Wolf, mówi o pożytkach z czytania papierowych książek, a krytyczka Aleksandra Majak radzi, jak rozmawiać o książkach i jak o nich pisać.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

11–17 MAJA 2026

MNIEJ WOJSK USA W EUROPIE: Pentagon anulował plany rotacyjnego przemieszczenia do Polski 4 tys. żołnierzy (w naszym kraju stacjonowało ich dotąd ok. 10 tys.). Szef MON uspokaja, że nadal pozostajemy kluczowym sojusznikiem Amerykanów, a prezydent i premier przerzucają się odpowiedzialnością za stan relacji z Białym Domem. ■■■ **UKRAIŃSKIE DRONY** uderzyły w obwód moskiewski – była to odpowiedź na atak, w wyniku którego zginęło 24 mieszkańców Kijowa. ■■■ **SZCZYT TRUMP–XI JINPING** w Pekinie ma przynieść „konstruktywną strategiczną stabilność" w relacjach między mocarstwami. W oświadczeniu po spotkaniu nie wspomniano o Tajwanie, który USA dotąd wspierały. ■■■ **PAŃSTWO ISLAMSKIE** straciło zastępcę dowódcy, Abu-Bilala al-Minukiego, zabitego podczas wspólnej operacji wojsk USA i Nigerii. ■■■ **W STREFIE GAZY** ogłoszono „męczeńską śmierć" dowódcy wojskowego skrzydła Hamasu. Współodpowiedzialny za masakrę 7 października Izz al-Dina Haddad to trzeci przywódca Brygad Al-Lasama wyeliminowany przez izraelskie wojsko w ciągu ostatnich miesięcy. ■■■ **W WIELKIEJ BRYTANII** słabnie pozycja premiera Starmera: rezygnację złożył minister zdrowia Wes Streeting, uważany za jednego z faworytów do przejęcia przywództwa w rządzącej Partii Pracy. ■■■ **PRZEZ GRANICĘ** Polski z Białorusią w pierwszym kwartale 2026 r. nikt nie przedostał się nielegalnie – ogłosił Donald Tusk (w 2023 r. przeszło tędy ok. 12 tys. osób). ■■■ **KWESTIĄ PRAWORZĄDNOŚCI**, godności i praw człowieka nazwał premier wypełnienie wyroku TSUE w sprawie transkrypcji przez Urzędy Stanu Cywilnego aktów zawartych za granicą małżeństw jednopłciowych. W Warszawie dokonano właśnie kolejnej transkrypcji; od marca sądy nakazały ich 7. ■■■ **ZBIGNIEW ZIOBRO** przebywa w USA, a Polska zamierza ubiegać się o jego ekstradycję; miejsce pobytu Marcina Romanowskiego jest nieznane. ■■■ **SEJM UCHWALIŁ** – po raz trzeci – ustawę o rynku kryptoaktywów; dwie poprzednie zawetował prezydent, który uważa, że nadzór nad tą branżą będzie zbyt ścisły. ■■■ **OŚWIADCZENIE MAJĄTKOWE** Karola Nawrockiego zawiera informację o własności mieszkania spółdzielczego 57 m², i współwłasności mieszkania 58 m², kredycie hipotecznym i 339 tys. zł oszczędności (kwota wzrosła od sierpniowego oświadczenia o 200 tys.). ■■■ **ZMARLI**: w wieku 80 lat Krzysztof Piesiewicz, adwokat (m.in. w procesach politycznych PRL), współautor scenariuszy do filmów Kieślowskiego i polityk; w wieku 79 lat Stanisława Celińska, aktorka. ■■■ **ROBERT LEWANDOWSKI** odchodzi z FC Barcelony. Kolejny klub 38-letniego piłkarza nie jest znany (choć mówi się o bajecznej ofercie z Arabii Saudyjskiej), w dotychczasowym zorganizowano mu pożegnanie godne legendy. ■■■ **KONKURS EUROWIZJI** wygrała piosenkarka z Bułgarii, a drugie miejsce przypadło Izraelowi, co tak wzburzyło posłankę Zawiszę z Partii Razem, że wyraziła życzenie obejrzenia sprawozdań majątkowych jurorów i ich rodzin. Reprezentantka Polski była 12. ©℗

KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

POWYŻEJ: Ryszard Ziobro i Tomasz Kwietko-Bębnowski odebrali pierwszy w Polsce transkrybowany bez wyroku sądu akt małżeństwa jednopłciowego. Urząd Stanu Cywilnego we Wrocławiu, 18 maja 2026 r.

PARADA HIPOKRYZJI

Rewolucja, jaką są pierwsze transkrypcje aktów jednopłciowych małżeństw, wiele mówi o kolejnych rządach. Jeśli coś w kwestii praw par LGBT+ się w Polsce zmienia, to nie za sprawą polityków, tylko pomimo ich woli. A czasami wbrew niej.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PRZEŁOM: TAK NIEKTÓRZY KOMENTATORZY ZDĄŻYli już określić ciąg zdarzeń z ostatnich tygodni. 20 marca Naczelny Sąd Administracyjny orzekł, że Mateusz i Jakub Trojanowie, którzy zawarli ślub w Niemczech, powinni uzyskać również polski akt małżeństwa. NSA oparł się na wyroku TSUE z listopada roku poprzedniego, w którym Trybunał zobowiązał nasz kraj do uznawania zawartych za granicą małżeństw jednopłciowych.

Związki jednopłciowe: tak to się robi w Europie

PRAWO ▪ W Holandii, Belgii, Luksemburgu, Niemczech i Hiszpanii od lat istnieje możliwość zawierania małżeństw jednopłciowych. Dodatkowo prawu temu towarzyszy możliwość uznania dziecka (tzw. adopcji wewnętrznej), przy czym w Belgii i Luksemburgu pary jednopłciowe mogą również adoptować dzieci.

W większości krajów europejskich – w UE we wszystkich poza Polską, Słowacją, Rumunią i Bułgarią – istnieje możliwość zawarcia związku partnerskiego, przy czym w wielu z nich prawo to dotyczy zarówno par heteroseksualnych, jak i jednopłciowych. Zwykle pakiet praw, jaki przysługuje parom w takiej sytuacji – sprawy majątkowe, spadkowe, dziedziczenia, prawo do informacji medycznej, ale też do tzw. adopcji wewnętrznej – wykracza poza katalog proponowany w polskiej ustawie o statusie osoby najbliższej.

Równocześnie NSA wezwał stołeczny Urząd Stanu Cywilnego, który wcześniej wydał w tej sprawie odmowną decyzję, do dokonania transkrypcji dokumentu. A dwaj najważniejsi dziś politycy KO wydali ważne oświadczenia.

PREMIER PRZEPRASZA | Donald Tusk na posiedzeniu rządu zadeklarował, że w sprawie tej przyszedł czas na działanie. I przeprosił „wszystkich, którzy przez długie lata czuli się odrzucani, upokarzani. Państwo tu przez wiele lat nie zdawało egzaminu". Z kolei Rafał Trzaskowski zapowiedział, że warszawski USC będzie dokonywał transkrypcji zarówno w sprawach, w których zapadły już wyroki sądów, jak i wówczas, gdy takich orzeczeń nie było. Tak też się stało: urzędy stołeczny i wrocławski dokonały już kilku transkrypcji, a minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski poinformował o wydaniu rozporządzenia zmieniającego wzory aktu małżeństwa.

Niezależnie od toczących się sporów prawnych (prawica utrzymuje, że transkrypcje są niezgodne z konstytucją), sekwencja zdarzeń dotyczących praw par jednopłciowych w Polsce układa się w spójną opowieść. O politykach, którym brakuje społecznego słuchu, za to dysponują pokładami hipokryzji, którymi mogliby obdzielić całe społeczeństwo.

POLAK ZMIENIA ZDANIE | Ten pierwszy deficyt ujawnił się już przy okazji nieudanych prób uchwalenia ustawy o związkach partnerskich. Krzyk protestu, jaki rozległ się nie tylko z szeregów prawicy, ale też koalicyjnego PSL-u, pokazał ciekawe zjawisko: polscy politycy są bardziej konserwatywni niż społeczeństwo, które reprezentują.

Chodzi zarówno o zmieniające się poglądy statystycznego Polaka (np. poparcie dla związków partnerskich deklaruje już ponad 60 proc. z nas), jak i nieoczywiste zapatrywania przeciętnego wyborcy partii uchodzących za zachowawcze. Największe zaskoczenie w tej mierze przyniósł sondaż Ipsos przygotowany dla OKO.press i Tok FM w 2024 roku. Okazało się, że aż 69 proc. pytanych jest skłonnych poprzeć tzw. adopcje wewnętrzne, będące wówczas składową przygotowywanego – i ostatecznie zaniechanego – projektu o związkach partnerskich (chodzi o sytuację, w której para jednopłciowa wychowuje dziecko biologiczne jednego z partnerów / jednej z partnerek, a drugie nie ma do wychowywania tego dziecka praw). Podobne rozwiązanie poparłoby 55 proc. sympatyków PiS i aż 75 proc. wyborów Trzeciej Drogi, w której było wówczas PSL. Jeśli owe cyfry nie świadczą o tym, że politykom prawicy odjechał peron z napisem „Polska i Polacy", to bardziej przekonującego dowodu nie znajdziemy.

PRAWICA STRASZY | To społeczny słuch; a hipokryzja? Głównie w tym samym pociągu, który odjechał ze wspomnianego peronu i gna w kierunku „nierzeczywistości" z Jarosławem Kaczyńskim, Karolem Nawrockim i Markiem Sawickim w fotelach. To właśnie ci politycy i ich akolici używają – także teraz, przy okazji hałasu wokół transkrypcji aktów małżeństwa – straszaka: to tylko „krok do adopcji dzieci".

Tyle że już dzisiaj pary jednopłciowe wychowują – wedle różnych szacunków – od 50 do nawet 100 tysięcy dzieci. Dlatego choć do wprowadzenia przysposobień przez pary jednopłciowe droga daleka, straszenie tą wizją jest chybione. Zwłaszcza w sytuacji pogłębiającego się kryzysu adopcji, w ramach którego nie ma miejsca w rodzinach np. dla dzieci z niepełnosprawnościami (i muszą one iść do DPS-ów, prowadzonych zresztą często też przez same kobiety, np. zakonnice).

ZAPOMNIANE PRAWA CZŁOWIEKA | W pejzaż polskiej hipokryzji wpisali się też politycy koalicyjni. Donald Tusk przeprosił za państwo upokarzające ludzi, ale jakby zapomniał, że przez ostatnie lata to państwo współtworzył. A tuż po wspomnianym wyroku TSUE mrugał prawym okiem do części elektoratu, stwierdzając, że w sprawie małżeństw jednopłciowych „nikt nam nie będzie niczego narzucał". Z kolei Rafał Trzaskowski tym samym prawym okiem mrugał tygodniami jako kandydat na prezydenta, także „zapominając" o swoich poglądach na kwestię praw osób LGBT+.

W sprawie transkrypcji mamy medialne wzmożenie, ale kwestia związków partnerskich utknęła w martwym punkcie: nawet określany przez część komentatorów jako bezzębny projekt ustawy o statusie osoby najbliższej daleki jest od uchwalenia. „Mogę głosować, korzystać ze świadczeń i zasobów tego państwa. Ale w jednej, bardzo ważnej sferze życia nie istnieję" – mówił „Tygodnikowi" dwa lata temu Rafał, partner Wojtka, licząc na uchwalenie nowego prawa.

Prawa nie ma, a Rafał z Wojtkiem są nadal z państwem polskim w stabilnym związku. Stabilnym, bo wciąż dla tego państwa nie istnieją. ©℗

Polskie produkcje w Cannes

MICHAŁ WALKIEWICZ Z CANNES

„Historie równoległe” Asghara Farhadiego, film napędzany producencką wizją zmarłego w dniu canneńskiej premiery Krzysztofa Piesiewicza, oraz właściciela praw do „Dekalogu” Macieja Musiała, to kino, które traktuje Krzysztofa Kieślowskiego przede wszystkim jak krynicę cytatów oraz fabularnych zapalników. Wygląda na to, że mało kto dał się nabrać – recenzje są bezlitosne.

Bohater filmu jest dalekim krewnym bohatera „Krótkiego filmu o miłości”, którego Olaf Lubaszenko zamienił w kliniczny przypadek samotności. Sąsiadka zaś to długi cień Grażyny Szapołowskiej. Dwukrotny laureat Oscara wikła ich w kolejne narracyjne szarady i metatekstowe gry. Stawką jest „nowy Kieślowski”, czyli heros popkultury na postironiczne czasy. Filmowe historie są tu nie tyle równoległe, co spiętrzone, a następnie sprasowane w cieniutką warstwę stylistycznych ornamentów.

A jak wypadła „Ojczyzna” Pawła Pawlikowskiego? Wraca do mnie scena, w której noblista Tomasz Mann (Hanns Zischler), autor „Czarodziejskiej góry” i „Buddenbrooków”, zasypia na tylnym siedzeniu czarnego Buicka. Wygląda, jakby chciał przespać kolejne pół wieku i obudzić się w czasach, gdy odpowiedzi na pytania o niemiecką tożsamość będą nieco prostsze.

Samochód prowadzi córka pisarza, Erika (Sandra Hüller). W filmie jest nie tylko jego tłumaczką i asystentką, ale również sumieniem. To dzięki erupcjom jej tłamszonych uczuć Pawlikowski opowiada o eksploatowanym przez Rosjan egotyzmie Manna; o skomplikowanej relacji z krajem urodzenia, do którego pisarz wraca po latach emigracji w Ameryce; wreszcie – o jego zerwanych więziach z synem, wybitnym pisarzem i cierpiącym na depresję samobójcą. W obiektywie Pawlikowskiego Mann pozostaje figurą rozczarowania projektem zjednoczonej, demokratycznej Europy. Po hotelowych korytarzach i rautach na własną cześć przemyka niczym duch. Moralne dylematy związane z podróżą na wschód roztrząsa za niego córka. I to właśnie ona pozostaje bijącym sercem tej historii.

Nie potrafię się z tym pogodzić. Podejrzewam, że cieniem na mojej relacji z „Ojczyzną” kładzie się gorąca miłość do filmu „Mefisto” Istvána Szabó – opowieści o prowincjonalnym aktorze, który zaczyna tańczyć na dworze faszystów. A może po prostu tęsknię za Pawlikowskim z mojego ulubionego filmu, czyli „Lata miłości”? Tamten gość siedział w wysokiej trawie, kręcił w kolorze i przyglądał się uczuciom, które rozkwitają, zamiast usychać. ©

SCOTT GARFITT / INVISION / EAST NEWS

Paweł Pawlikowski, Sandra Hüller i August Diehl przed premierą filmu „Ojczyzna” na 79. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes. 14 maja 2026 r.

Sygnały z USA

JACEK STAWISKI

Decyzja rządu Stanów Zjednoczonych o wstrzymaniu rozlokowania ok. 4 tys. żołnierzy amerykańskich w Polsce to splot złych sygnałów dla nas, dla krajów wschodniej flanki NATO oraz dla długofalowego sojuszu Europy z Ameryką. Żołnierze amerykańscy mieli się w Polsce znaleźć w ramach obecności rotacyjnej, co oznacza wzmocnienie bezpieczeństwa wschodniej flanki przy zachowaniu pozorów, że na terenie krajów przyjętych do Paktu po 1999 r. nie są rozlokowane znaczące stałe bazy wojsk zachodnich.

To kilka bardzo złych wiadomości naraz. Po pierwsze, pożądana ze wszech miar amerykańska obecność wojskowa w Polsce jest niestety słabo ugruntowana i zależy od nastrojów przywódców amerykańskich oraz od temperatury relacji transatlantyckich. Po drugie, fatalny jest styl, w jakim to zakomunikowano polskiej stronie (a właściwie nie zakomunikowano). Wygląda na to, że w Warszawie panowało wielkie zaskoczenie i niewiedza. Co więcej, wiele kluczowych instytucji w samych Stanach nie było świadomych, jakie decyzje podjęto w stosunku do Polski i wschodniej flanki. Po trzecie, polskie nadzieje, że brak tych 4 tys. żołnierzy uzupełni szybko podobna liczba żołnierzy US Army, wycofywanych prawdopodobnie z Niemiec, mogą być słabo ugruntowane, ponieważ jak na razie nie istnieją żadne konkretne warunki, na jakich miałoby to się stać. I wreszcie po czwarte: każde uszczuplenie amerykańskiej obecności w Europie, a szczególnie na styku NATO / Rosja-Białoruś, to korzyść dla Moskwy i ukłon w stronę Putina.

W takich sytuacjach pożądany jest dyplomatyczny spokój. Należy wszelkimi możliwymi kanałami próbować skłaniać USA do odwrócenia decyzji i podtrzymania takiego stanu liczebności wojsk amerykańskich w naszej części Europy, która gwarantuje odstraszanie Rosji, a zarazem stanowi kategoryczną wskazówkę dla Moskwy, że wola obrony terytorium wschodniej flanki przez Amerykę jest niewzruszona.

Jesteśmy świadkami zmiany skali zaangażowania USA w Europie. Nawet jeśli Polska, wskazywana jako wzorowy sojusznik, doczeka się ostatecznie przyjazdu kolejnych oddziałów amerykańskich, to i tak musimy brać pod uwagę, że Ameryka ogranicza obecność i zaangażowanie w NATO. To będzie proces niekorzystny i tym pilniejsza staje się potrzeba podnoszenia zdolności obronnych Polski oraz intensywna koordynacja wojskowa w gronie państw europejskich – ze wszystkich zainteresowanych stron kontynentu. ©℗

JAKUB JAKÓBOWSKI, WICEDYREKTOR OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH:

Widzimy przypieczętowanie strategicznej pauzy w rywalizacji USA–Chiny

JACEK STAWISKI: Wiele kurtuazji okazywano publicznie podczas spotkania w Pekinie między prezydentem Donaldem Trumpem a chińskim przywódcą Xi Jinpingiem. Jednak kurtuazja często maskuje w dyplomacji fundamentalne różnice. Jakie znaczenie ma zakończony właśnie szczyt dwóch supermocarstw?

JAKUB JAKÓBOWSKI: Ten szczyt ma bardzo istotne konsekwencje strategiczne, chociaż na poziomie konkretnych ustaleń jest dosyć skromny. Nie ma wielu konkretów. Mówiło się o potencjalnych porozumieniach gospodarczych, o wspólnych działaniach, których Amerykanie życzyliby sobie wobec Iranu, mówiło się o dyskusji o sztucznej inteligencji. Być może jakieś ustalenia, których nie znamy, rzeczywiście zapadły, jednak z oficjalnej komunikacji nie wynika nic znaczącego.

Natomiast polityczny wydźwięk jest bardzo mocny. Mamy do czynienia z dwoma państwami, które dotąd znajdowały się i wciąż znajdują w bardzo poważnym strukturalnym konflikcie. Państwa te ostatnio wymieniły kilka bardzo mocnych ciosów, wpływających na całą globalną gospodarkę.

Jakie to ciosy?

Najpierw wojny celne, potem wojny technologiczne, potem ograniczanie przez Chiny dostępu do metali ziem rzadkich. To naprawdę wstrząsało globalną gospodarką. Obecnie widzimy przypieczętowanie strategicznej pauzy w rywalizacji.

OSW

DR JAKUB JAKÓBOWSKI kieruje także Zespołem Chińskim OSW. Autor licznych publikacji o polityce i gospodarce Chin, wykładowca UW i SGH.

Jak Pan ocenia słowa Xi Jinpinga, że kwestia Tajwanu może zrujnować relacje Chin i Ameryki.

Pekin precyzuje, że zmiana *status quo* w Cieśninie Tajwańskiej czy ogłoszenie niepodległości przez Tajwan byłoby katastrofalne dla relacji chińsko-amerykańskich i mogłoby się skończyć konfliktem zbrojnym. To nie są wprawdzie nowe słowa. Te słowa są jednak istotne, ponieważ Chiny sformułowały otwarcie tezę, że strategiczna stabilność, wyciszenie konfliktów, z którymi mamy do czynienia teraz, zależy od przyszłości krytycznego punktu, czyli Tajwanu.

A co, jeśli to Chiny będą dążyć mniej lub bardziej konsekwentnie do przejęcia Tajwanu?

Rozstrzygnięcie tego siłą ze strony Chin jest szalenie ryzykowne. Opcja siłowa, czyli inwazja, wykorzystanie sił zbrojnych, jest i była szalenie ryzykowna. Chiny są teraz też w bardzo specyficznym momencie z dwóch powodów. Trwa wielka czystka w chińskiej armii, największa od wielu lat. Ma ona służyć przygotowaniu armii, która jest skorumpowana i niedoświadczona, do potencjalnego konfliktu. Armia w środku czystki nie jest gotowa do jakichś gwałtownych ruchów.

I drugi element: w przyszłym roku odbędzie się następny zjazd partii komunistycznej. Zapewne zostaną przedłużone rządy Xi Jinpinga. To go angażuje, zaś jakiekolwiek ryzyko mogłoby się przełożyć na podkopanie jego pozycji. Moje odczytanie chińskiej logiki jest takie, że rozwiązanie siłowe wcale nie jest im na tym etapie potrzebne. Natomiast Chińczycy chcą mieć tę kartę w zanadrzu. ©℗

czytaj więcej na **www.tygodnikpowszechny.pl**

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

KAPŁANI CYFROWEGO CIELCA

Oligarchowie z Doliny Krzemowej zmienili swoimi algorytmami kulturę i demokrację. Dziś ich ambicje są większe: przy pomocy AI tworzą nową religię. Przyjrzyjmy się jej dogmatom.

SYLWIA CZUBKOWSKA

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

„Poczujcie AGI!" – miał krzyczeć Ilia Sutskever, współzałożyciel i główny naukowiec OpenAI, na spotkaniach zespołów w tej firmie. I choć już w OpenAI nie pracuje, wciąż pracuje nad tym, by AGI, czyli generalną sztuczną inteligencję, poczuł cały świat.

Za jego nawoływaniem stoi jednak coś więcej niż tylko reklamowanie technologii, na opracowanie której biznes wydaje setki miliardów dolarów.

Jak się rodzi nowy bóg

Demis Hassabis z Google DeepMind twierdzi, że rewolucja AGI będzie „10 razy większa niż rewolucja przemysłowa i być może także 10 razy szybsza". Jensen Huang, szef Nvidii, zarówno straszy, jak i obiecuje, że odbije się ona na wszystkich zawodach, a nawet spowoduje, że niektóre całkiem wyginą. Dario Amodei, szef Anthropic, mówi, że powstanie ona już w 2026 r.

Wciąż nie ma powszechnej zgody co do tego, czym konkretnie ma być generalna AI. Definicje wahają się od stwierdzenia, że ma być lepsza od przeciętnego człowieka w większości ekonomicznie użytecznych zadań, po wizje, w których przewyższa najlepszych ludzi niemal w każdym zakresie, sama projektuje coraz lepsze AI, przyspiesza własny rozwój i prowadzi badania naukowe szybciej niż ludzkość. Technolodzy z Doliny Krzemowej mówią o niej zagadkami i wykorzystują niejednoznaczność pojęcia, by wskrzesić dawną debatę o tym, czy AI może rozwinąć samoświadomość. A to wprowadza nas w filozoficzne bagno, z którego nikt nie

wychodzi z satysfakcjonującymi odpowiedziami.

– Wyścig o AGI jako jedyną siłę, która ma zapewnić ludzkości rozwój i dobrobyt, staje się niemalże religijnym doświadczeniem – mówi „Tygodnikowi" Karen Hao, amerykańska dziennikarka, autorka książki „Imperium Sztucznej Inteligencji. Sny i koszmary w OpenAI Sama Altmana". – I nie jest to idea krążąca tylko w OpenAI czy wśród byłych i obecnych pracowników tej firmy. To przekonanie coraz powszechniejsze w całym przemyśle technologicznym, który stał się tak pewny swojej nadzwyczajności, że zaczyna sam siebie traktować jak najwierniejszych kapłanów nowego boga. Boga, którego ma dla nas stworzyć – tłumaczy Hao.

Te religijne zapędy dostrzegają zarówno analitycy technologii, jak i filozofowie, a wreszcie ludzie Kościoła.

– Liderzy technologiczni przedstawiają się jako prorocy i czynią to w tonach apokaliptycznych: „sztuczna inteligencja nas zniszczy, jeśli jej nie opanujemy", albo mesjanistycznych: „zabierzemy ludzkość na Marsa i ją ocalimy". Tym samym przyjmują rolę nie tylko ekonomiczną czy kulturową. Jest to rola religijna – podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem" bp Antonio Staglianò, przewodniczący Papieskiej Akademii Teologicznej.

Technologia i magia

Faktycznie, gdy bliżej przyjrzeć się płynącym z Doliny Krzemowej opowieściom o sztucznej inteligencji, skojarzenia religijne same się narzucają. Z rytuałami, kodeksami moralnymi, obietnicami zbawienia i groźbami potępienia.

I choć szefowie big techów, naukowcy i inżynierowie doskonale odróżniają algorytmy od magii, to wielu z nich świadomie zaciera tę granicę. Przekonują, że człowiek przestał rozumieć, jak działa ta technologia, że opis jej efektów przekracza już możliwości normalnej analizy. Jak głosi słynne trzecie prawo Clarke'a, sformułowane przez klasyka literatury *science fiction* Arthura C. Clarke'a: „Każda wystarczająco zaawansowana technologia jest nieodróżnialna od magii". Tyle że o ile stosunkowo łatwo odróżnić komputer od Światowida, o tyle w przypadku AI, a już szczególnie AGI, jest to znacznie trudniejsze.

Podawane są te wizje raz w magicznym, raz w religijnym sosie. Co stanowi niezłe wsparcie dla potężnych budżetów na zbudowanie tego nowego boga i jego globalnego Kościoła. Bo jak inaczej patrzeć na takie zapowiedzi, jak projekt Stargate, zaplanowany na 500 mld dolarów, które mają pójść głównie na moce obliczeniowe pod AGI. Samo flagowe centrum danych Stargate w Abilene ma kosztować ponad 50 mld. XAI na inne gigacentrum danych, Colossus w Memphis, planuje wydać do 15 mld dolarów, a SoftBank na podobne inwestycje we Francji zapowiedział blisko 100 mld. Wszystko oczywiście w imię przekonania, że nie ma takich poświęceń, na jakie nie powinniśmy być gotowi, bo przecież ostatecznie technologie rozwiążą wszelkie problemy świata.

– Techno-solutionizm jest najnowszą z wielkich narracji zbawienia: obiecuje rozwiązać głód, wojnę, chorobę, a nawet śmierć, za pomocą coraz potężniejszych algorytmów. To stara obietnica, ta od drzewa poznania. Tyle że dziś drzewo nazywa się AGI, czyli ogólna sztuczna inteligencja – gorzko mówi bp Staglianò.

I to już nie są tylko inwestycje, badania, innowacje i nowe produkty. Biznes technologiczny, choć może zdawać się wysoce racjonalny i skupiony wyłącznie na innowacjach, ich wdrażaniu i oczywiście zarabianiu, w ostatnich dekadach urósł do takiej potęgi, że w swoich (i nie tylko) oczach jest predestynowany do większych celów.

Krzem i ciało

Gdy spojrzymy na 22-punktowy memoriał opublikowany niedawno przez Palantir, czyli giganta rynku przetwarzania danych, to jasno jest tam wyłożona ↦

nowa wizja świata. Konkretniej: jest to wizja według Aleksa Karpa, prezesa Palantira, który twierdzi, że inżynierowie i przedsiębiorcy technologiczni są nową elitą, odpowiedzialną za przyszłość Zachodu i za bezpieczeństwo państw, a przynajmniej Stanów Zjednoczonych.

Może to brzmieć niewinnie, dopóki nie zerknie się, jakimi ideami coraz częściej kieruje się ta nowa „elita". Badaczka AI Timnit Gebru i filozof Émile P. Torres kilka lat temu dla konglomeratu wizji, które zasilają coraz silniej Dolinę Krzemową i jej globalne przybudówki, zaproponowali nazwę TESCREAL. Nazwa nowej „religii kalifornijskiej" to akronim od ruchów filozoficznych, jakie przewijają się w tych środowiskach najczęściej.

Są to: transhumanizm, skupiający się na poprawianiu ludzkiego ciała poprzez wdrażanie rozwiązań technologicznych, ekstropianizm, czyli ciągłe ulepszanie człowieka dzięki postępowi i technologii, singularytarianizm jako dążenie do super sztucznej inteligencji, kosmizm, wiążący rozwój ludzkości z podbojem kosmosu, racjonalizm, przekonany, że pokładając wiarę w naukę jesteśmy w stanie uniknąć wszelkich błędów, efektywny altruizm, głoszący, że tylko w oparciu o dane możliwe jest pomaganie w taki sposób, aby uratować jak najwięcej istnień przy ograniczonych zasobach, i wreszcie longtermizm, przekonujący, że dla dobra przyszłych pokoleń warto zdobyć się nawet na największe poświęcenia.

Według biskupa Staglianò Dolina Krzemowa tworzy nową formę „techno-gnostycyzmu". Opiera się ona na przekonaniu, że ludzie są niedoskonali, ciało jest ograniczeniem, świadomość można ulepszyć lub nawet przenieść, a zbawienie może przyjść poprzez kod.

Tak jak to ujął w 2024 r. prezes Anthropic Dario Amodei, gdy opublikował esej, w którym omawiał „restrukturyzację" ludzkich mózgów, a ludzkie systemy – od procesów biologicznych po regulacje prawne – określił jako „wąskie gardła" ograniczające tempo rozwoju AI.

– Dawny gnostycyzm nauczał, że materia jest zła, ciało więzieniem, a zbawienie ucieczką z ciała ku boskiej iskrze poznania. Nowi gnostycy twierdzą, że ciało jest ograniczeniem, biologia to źle napisany kod, świadomość to oprogramowanie do przeniesienia na potężniejszy sprzęt. Zbawienie? To stać się nieśmiertelnym na serwerach, wreszcie wolnym od kruchości ciała – podsumowuje Staglianò.

Jedne z tych idei są bardziej teoretyczne, inne bardziej osadzone w faktycznych inwestycjach. Wszystkie jednak zbliżają się do przekonania, że techniczne i finansowe elity są w stanie zaprogramować lepszy świat.

– Może niekoniecznie dla wszystkich, ale przynajmniej dla samych siebie, bo w tych koncepcjach ucieka się od równości, od wspólnotowego dobrobytu w stronę nagradzania wyjątkowych jednostek. Oczywiście przewija się tu obietnica wielkich zmian, super leków, pokonania katastrofy klimatycznej, ale w bardzo ogólnych opisach – zauważa Karen Hao.

Staglianò dodaje, że do tych idei dochodzi jeszcze neopelagianizm. Pelagiusz uczył, że człowiek może zbawić się sam, własnymi siłami, bez łaski, wyłącznie siłą woli. – Dziś nowi pelagianie technologii mówią: sztuczna inteligencja rozwiąże głód, wojnę, chorobę. Śmierć? Błąd do załatania. Nie potrzeba zbawiciela, wystarczy algorytm. Nie ma grzechu do przebaczenia, są dane do optymalizacji – tłumaczy szef Papieskiej Akademii Teologicznej i dodaje, że gnostycyzm niesie pogardę dla ciała i materii, a pelagianizm daje złudzenie samozbawienia. – Razem tworzą religijność bez Boga, bez łaski, bez krzyża. Człowiek staje się architektem wieczności. Tylko wtajemniczeni rozumieją algorytm, ziemia jest zasobem, a nie ogrodem, a śmierć błędem, a nie progiem życia.

Sztuczne relacje

Nowa duchowość technologiczna wydaje się atrakcyjna, ponieważ wypełnia pustkę.

– Nie ufamy już polityce, która obiecywała sprawiedliwość, a wyprodukowała biurokrację. Nie ufamy już Kościołowi, bo zbyt często zdradzał Ewangelię przez nadużycia, władzę i milczenie. Nie ufamy już więziom społecznym, rodzina jest rozbita, przyjaźń to tylko lajki, a wspólnota to czat. W tej pustyni pojawia się technologia z nieodpartą obietnicą: odzyskania kontroli – tłumaczy bp Staglianò i podaje przykłady. – Nie mogę kontrolować trzęsienia ziemi? Algorytm je przewidzi. Nie mogę kontrolować własnej śmierci? Kriogenika lub pobranie świadomości da iluzję wieczności. Nie mogę kontrolować nienawiści między narodami? Sztuczna inteligencja będzie obiektywnie mediować konflikty, bez kruchych ludzkich emocji.

Co ciekawe, najgłośniejszy krytyk techno-solutionizmu, czyli Evgeny Morozov (autor książki „To Save Everything, Click Here", która już w 2013 r. krytycznie rozprawiała się z wizją technologicz-

REKLAMA

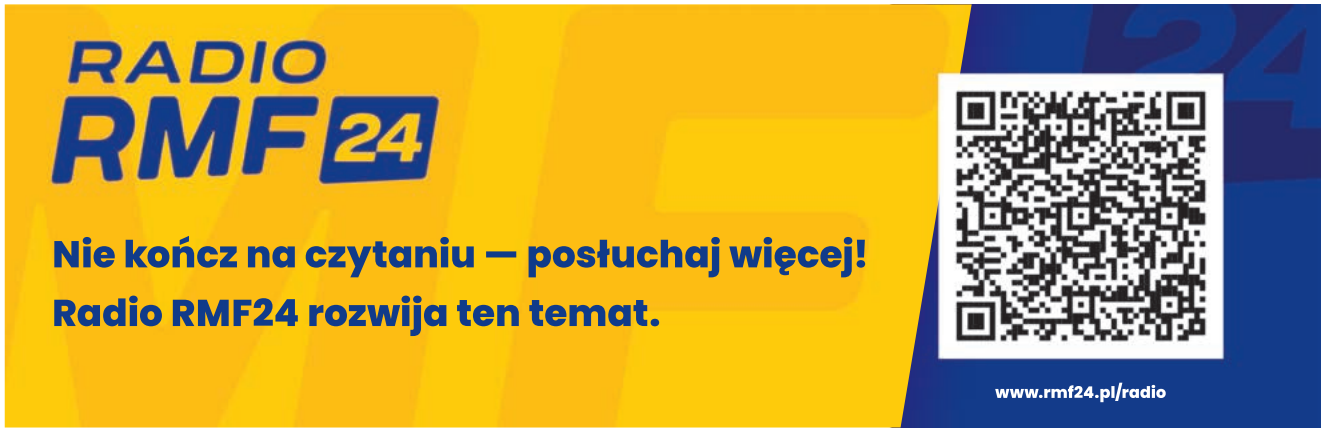

nego rozwiązywania wszelkich problemów ludzkości), wyciąga podobne wnioski. Pisze, że oligarcho-intelektualiści Doliny Krzemowej budują „drzwi katedry" na przeświadczeniu, że nie wystarczy już tylko możliwość przewidywania przyszłości w oparciu o dane. Teraz jeszcze ludzie mają się do tej wizji dostosować. A jako najmocniejszy przykład tej zmiany podaje „Techno-Optimist Manifesto" wpływowego inwestora Marca Andreessena. Ten opublikowany w 2024 r. manifest wręcz nazywa „cyfrową encykliką wzywającą Amerykę do budowania zamiast lamentowania" i „katechizmem dla pożądanej przyszłości".

Karen Hao opisując premierę ChatGPT 3.5, który rozpoczął rewolucję generatywnej sztucznej inteligencji, oraz to, jak była przygotowywana w OpenAI, w swojej książce używa frazy „wniebowstąpienie", pokazując, jak mistycznie traktowano technologiczno-marketingowy proces.

Według bp. Staglianò Dolina Krzemowa od dłuższego czasu oferuje ludziom takie zastępcze rytuały. – Premiera nowego iPhone'a to świecka wigilia paschalna, z wyznawcami stojącymi godzinami w kolejce – mówi. – A nowi prorocy: Musk, Altman, Thiel, czyli ludzie obiecujący zbawienie i żądający absolutnej wierności, robią dokładnie to, co robiły religie: dają sens, porządek, nadzieję, nawet etykę. Przecież tym było słynne „nie czyń zła" Google'a, które szybko zmieniło się w „czyń dobro, o ile przynosi zysk".

Co ważne: oczy technologicznych elit coraz częściej nie kierują się w stronę dowolnych religii, nie skupiają się na niegdyś hołubionych filozoficzno-religijnych przekonaniach Dalekiego Wschodu. Tym razem koncentrują się wokół chrześcijaństwa.

Technologio, czyń dobro

Greg Epstein, humanistyczny kapelan Harvardu i MIT, od dwóch dekad buduje wspólnoty etyczne dla niereligijnych ludzi i analizuje podobieństwa między Doliną Krzemową a grupami religijnymi. W 2024 r. opublikował książkę „Tech Agnostic: How Technology Became the World's Most Powerful Religion, and Why It Desperately Needs a Reformation", w której pisze: „Kultura technologiczna odtwarza schematy religijne, ponieważ są głęboko zakorzenione w ludzkiej naturze i pomagają radzić sobie z lękiem przed śmiercią i niepewnością przyszłości".

BP ANTONIO STAGLIANÒ:
Nie ufamy polityce, która obiecywała sprawiedliwość, a wyprodukowała biurokrację. Nie ufamy Kościołowi, bo zdradzał Ewangelię przez nadużycia, władzę i milczenie. A przyjaźń to tylko lajki. W tej pustyni pojawia się technologia.

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Dodaje też: „Nie jest zaskoczeniem, że nawet inteligentni i wpływowi ludzie poświęcają czas na rozważania o przyszłych, mściwych »bogach« przypominających tego ze Starego Testamentu. Jak zauważył badacz religii Robert Orsi, ludzie od zawsze pozostają w »relacji« z bytami nadprzyrodzonymi, niezależnie od epoki".

Tyle że dziś najbardziej zagorzali technooptymiści twierdzą, że to po chrześcijańsku jest wspierać rozwój technologii, bo ma ona przecież czynić dobro. Katherine Boyle, partnerka we wpływowym funduszu Andreessen Horowitz (należącym do wspomnianego Marca Andreessena), otwarcie mówi, że próby wprowadzania ograniczeń dla AI są złem, a chrześcijanie nie tylko powinni zaakceptować technologię, ale mają wręcz obowiązek to zrobić, ponieważ sam postęp jest dobrem moralnym.

Trae Stephens, miliarder kierujący Anduril – firmą produkującą autonomiczne systemy uzbrojenia – jest też liderem bezwyznaniowego Epic Church, w którym w 2024 r. wygłosił wykład „Bóg i technologia". Argumentował w nim, że ludzie, podobnie jak Bóg, są stwórcami i że „nasze dusze głęboko pragną postępu prowadzącego do lepszej przyszłości".

Jego żona z kolei jest współzałożycielką ACTS 17 Collective. To elitarna grupa, której nazwa nawiązuje do Dziejów Apostolskich. W ich 17. rozdziale opisano wystąpienie św. Pawła na Areopagu: próbę rozmowy z filozofami greckimi i połączenia Ewangelii z kulturą i językiem zrozumiałymi dla współczesnych apostołowi.

ACTS 17 Collective odwołuje się więc do pięknie brzmiącej idei dialogu między wiarą a kulturą i budowania mostów między duchowością a współczesnym światem. Jednocześnie nazwa ta jest akronimem od „Acknowledging Christ in Technology and Society" („Uznawanie Chrystusa w technologii i społeczeństwie"). To właśnie ACTS 17 jesienią 2025 r. sponsorowało serię wykładów Petera Thiela, których tematem był... Antychryst. Dla Thiela są nim dziś „luddyści" sprzeciwiający się marszowi technologii.

Wspomniany Greg Epstein uważa, że zainteresowanie Doliny Krzemowej chrześcijaństwem jest niczym „małżeństwo z rozsądku". W jego ramach chrześcijaństwo ma dostać elitarny, luksusowy *rebranding*, a technologiczni tytani – uświęcać swoje ogromne fortuny. I faktycznie, przez jakiś czas Kościół widział w tym zwrocie do chrześcijaństwa pewną szansę.

Jak opisuje w niedawnym reportażu „The Atlantic", od 2016 r. Watykan co roku zapraszał czołowych przedstawicieli świata nowych technologii – choćby Reida Hoffmana, należącego podobnie jak Thiel czy Musk do tzw. PayPal Mafia – do kościoła Santa Maria sopra Minerva, by rozmawiać o etycznych konsekwencjach rozwoju sztucznej inteligencji.

„Dialogi Minervy" miały być forum wymiany myśli między środowiskiem technologicznym a Kościołem, ale stały się kolejnym mechanizmem czerpania z doświadczeń Kościoła w celu budowania narracji wokół AI. ↦

Na wyspie nadludzi

Kiedy jednak Thiel z kolejnymi wykładami na temat Antychrysta przybył w kwietniu do Rzymu, by dawać świadectwo wizji boskości technologii, Kościół nie nadstawił drugiego policzka. O. Paolo Benanti, wykładowca na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim i były doradca papieża Franciszka w kwestiach sztucznej inteligencji i etyki technologii, z oburzeniem opisał go jako „teologa politycznego".

W rozmowie z „Tygodnikiem" bp Staglianò jeszcze ostrzej krytykuje współtwórcę Palantira. Według niego Thiel nie jest nawet teologiem, bo używa języka, struktur i aspiracji teologii do sprytnego odwrócenia narracji.

– Nazwałbym go „ateologiem politycznym". Ateolog bowiem mówi po to, aby zaprzeczyć prawdziwemu Bogu. Nie jest po prostu ateistą, który twierdzi, że Bóg nie istnieje. To ktoś, kto buduje doktrynę zbawienia, która pomija Stwórcę i całkowicie polega na potężnym człowieku. Thiel jest więc systematycznym myślicielem pustki pozostawionej przez śmierć Boga, którą wypełnia techniką, pieniędzmi i wolą mocy. A kiedy człowiek staje się bogiem, zwykle nie powstaje bóg miłosierny, lecz tyran – mówi biskup.

Jako argumenty do takiej oceny podaje choćby to, że Thiel finansował badania nad nieśmiertelnością, tworząc zręby transhumanistycznej arystokracji.

– Jego horyzontem nie jest dobro wspólne, lecz ucieczka najlepszych ku górze, wyspa nadludzi. Indywidualizm, uosabiany przez Thiela, nie jest już jego klasycznym liberalnym ujęciem, które zakłada dbanie o prawa wszystkich. To indywidualizm drapieżny, głoszący, że silny ma prawo i obowiązek uwolnić się od więzów wspólnoty, prawa i tradycji. Konkurencja nie jest uporządkowaną grą, lecz darwinowską wojną – podkreśla biskup.

Niewątpliwie Peter Thiel z przedsiębiorcy ważnego, ale znacznie mniej rozpoznawalnego niż Musk, Bezos czy Zuckerberg, wyrósł na głównego ideologa i politycznego inicjatora Doliny Krzemowej. Dlatego wszelkie jego działania i słowa dziś są uważnie analizowane. Ale fakt, że wśród największych krytyków thielowskiej wizji świata znalazł się Kościół katolicki, jest jednak ważnym zwrotem w tym, jak oceniana jest rola przemysłu technologicznego.

Bez przebaczenia

Gdy wsłuchać się w słowa bp. Staglianò, widać, że u podłoża tej krytyki – nie tylko samego Thiela, ale i całego wpatrzonego w wizję AGI i technologii środowiska – leży zawłaszczanie chrześcijańskich wartości i wykoślawianie ich pod własne potrzeby.

– Gdy człowiek wierzy, że może zbawić się sam, własnymi narzędziami, zapomina, że jest stworzeniem. AGI staje się fetyszem, cyfrowym złotym cielcem. Ludzie modlą się do niego miliardowymi inwestycjami, służą mu ludzkimi ofiarami, nieludzkimi godzinami pracy, wypaleniem, zniszczonymi młodymi umysłami – podkreśla biskup.

Kolejna obawa Kościoła to zatarcie granic: – Technologia nie zna grzechu. Nie zna kruchości. Nie zna przebaczenia. W świecie, w którym wszystko da się optymalizować, gdzie każdy błąd jest bugiem do poprawienia, nie ma miejsca na miłosierdzie. A ludzkość bez miłosierdzia staje się nieludzka – tłumaczy Staglianò.

Biskup zapewnia, że nie demonizuje technologii. – Używam jej, nawet ją lubię. Mówię jednak: uważajcie na bożki. Bo bożki ostatecznie pożerają swoich wyznawców. „Zbawiciel technologiczny" żąda naszej wolności, danych, uwagi, zgodności, rezygnacji z prywatności. Bóg Jezusa Chrystusa prosi o serce, ale po to, by uczynić je bardziej wolnym, nie by przykuć je do algorytmu.

Ryzyka nie dotyczą tylko życia religijnego, ale też więzi społecznych, bo skoro wszystko – nawet zbawienie – jest tak indywidualne, to po co właściwie jeszcze bliźni. – Powstaje społeczeństwo połączonych solipsystów, nie braci. Empatia staje się algorytmem rekomendacji, nie darmowym ruchem serca. Więzi słabną, bo zastępują je wyniki wydajności.

I wreszcie: zapomina się o ubogich. Bo przecież każda innowacja wymaga ogromnych zasobów, energii, metali ziem rzadkich, centrów danych. – Kto za to płaci? Potężni. Kto na tym korzysta? Ci, co już są bogaci. Kto zostaje w tyle? Najsłabsi – dodaje biskup.

Władza nad wiernymi

Jest coś alarmistycznego w tym, że Karen Hao, Antonio Staglianò, Evgeny Morozov i Timnit Gebru, czyli amerykańska dziennikarka o technologicznym wykształceniu, teolog z Sycylii, białoruski eseista oraz etiopsko-amerykańska informatyczka specjalizująca się w uczeniu maszynowym, mówią niezwykle podobnie o potężnych zagrożeniach, jakie niesie to mieszanie technologii i religii. Także zagrożeniach dla demokracji.

Hao twierdzi wprost, że staje się to wehikułem do budowy imperialnej, scentralizowanej władzy. – Skoncentrowanej w rękach ludzi, którzy już mają władzę kapitałową, władzę wynikającą z wiedzy i kontroli nad danymi, władzę nad użytkownikami, a teraz jeszcze dokładają do tego władzę nad marzeniami, lękami i wizjami przyszłości – mówi.

Bp Staglianò przytakuje: – Kto posiada dane, algorytmy, serwery, ten decyduje. I to bez mandatu wyborczego, bez kontroli publicznej, bez odwołania. Społeczeństwo rządzone przez algorytmy to społeczeństwo bez polityki, a społeczeństwo bez polityki to społeczeństwo bez nadziei na sprawiedliwość.

Tyle że te głosy giną wśród głośnych modlitw o to, by wreszcie nadeszła super sztuczna inteligencja, która nas zbawi od wszystkiego złego. Chyba że strąci nas wszystkich do technologicznego piekła.

© SYLWIA CZUBKOWSKA

Autorka jest współtwórczynią podkastu Techstorie w TokFM, wydała książki „Chińczycy trzymają nas mocno" i „Bóg techy".

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny:
JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego:
EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja:
www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji:
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów:
www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

TYGODNIK POWSZECHNY

ZGARNIJ MIESIĄC PRENUMERATY CYFROWEJ ZA 1 ZŁ

WYBIERZ NOWOŚĆ!
PŁATNOŚCI POWTARZALNE
BLIK

Oferta dla nowych subskrybentów „Tygodnika Powszechnego”.
Sprawdź dostępność i warunki świadczenia usługi w ofercie swojego banku lub regulaminie usług bankowych.
Sprawdź regulamin promocji.

PKO Bank Polski, Erste Bank Polska S.A., ING Bank Śląski, Bank Millennium, Spółdzielcza Grupa Bankowa, Nest Bank, Alior Bank, Credit Agricole

Płatności powtarzalne BLIK zapewnia platforma zevio

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ

KNEBEL NA KRNĄBRNĄ PRASĘ

Lokalna demokracja wcale nie wygląda tak pięknie jak w micie o najbardziej udanej z polskich reform. Świadczą o tym losy ludzi, którzy uwierzyli, że w III RP będą mogli patrzeć władzy na ręce.

JACEK PAWŁOWSKI

MAŁGORZATA GENCA / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Prezydent miasta obnosi się po społecznościówkach z fotografią, na której trzyma w rękach płonącą lokalną gazetę. Starosta publicznie nazywa manipulantką dziennikarkę, która nawet nie zaczęła pisać o tym, jak bezprawnie zajmował w jednym czasie dwa stanowiska. Radna namawia, żeby urząd nie kupował miejsca na ogłoszenia w mediach, które źle piszą o gminie. Deweloper, który jest współwydawcą gazety, mówi, że krytyczni wobec władzy dziennikarze powinni poszukać sobie pracy poza miastem, w którym on robi interesy.

To nie są rozdziały scenariusza groteski z elementami grozy. To przykłady z życia.

Cienie lokalnej demokracji

Założenia były trochę marzycielskie. Decentralizacja władzy miała służyć samorządności i tworzeniu lokalnych wspólnot obywatelskich. Na ich czele mieli stawać autentyczni liderzy, a mieszkańcy – załatwiać swoje sprawy na miejscu, w atmosferze przyjaznej, nienaznaczonej politycznymi waśniami i układami.

Pod koniec wprowadzania w życie reformy samorządowej, w 1998 roku, jeden z głównych jej orędowników Jerzy Stępień mówił mi, że do decentralizacji systemu trzeba się będzie stopniowo przyzwyczajać, tak jak trochę czasu zajmuje kierowcy przyzwyczajenie się do używania subaru po przesiadce z malucha. Ale w końcu samorządność będzie działać jak to subaru.

W ostatnich latach coraz rzadziej słychać opinie, że reforma samorządowa była najbardziej udaną z polskich reform. Coraz częściej przebija się przekonanie, że władza lokalna przejęła wszystkie wady władzy centralnej i dodała swoje. Szerokich analiz na ten temat jeszcze nie ma, jest za to książka „My, lokalni. Historie dziennikarzy i mediów lokalnych w Polsce", którą napisałem wraz z Andrzejem Andrysiakiem. Została wydana przez Fundację Media Forum, która w ramach programu Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności wspiera dziennikarzy mediów lokalnych w Polsce.

Założenie projektu było takie, żeby utrwalić w jednym miejscu historie najbardziej znaczących postaci z tego środowiska oraz przez pryzmat ich doświadczeń pokazać realia życia w Polsce powiatowej i gminnej, funkcjonującej z dala od wielkich ośrodków. Te rozproszone obrazy przyniosły trzy wnioski. Władza nie znosi krytyki i nie chce, by patrzono jej na ręce. Niezależny obieg informacji zamiera, a rośnie propaganda władzy. Poczucie misji wśród lokalnych dziennikarzy miesza się dziś z gorzkim uczuciem, że „nie tak miało być".

Nowe czasy, stare grzechy

Niezależne inicjatywy medialne tworzyli na początku lat 90. różni ludzie. Tacy, co wyszli z podziemia i mieli doświadczenie w drukowaniu niezależnej myśli. Albo dziennikarze z czasów komuny, chcący pisać wreszcie całą prawdę i przekształcający dawne „organy prasowe" w niezależne gazety. Media zakładali też ludzie bez doświadczenia, którzy chcieli zrobić coś pożytecznego dla innych.

Agnieszka Mazuś wraz z innymi byłymi pracownikami redakcji „Dziennika Wschodniego" protestują przeciw likwidacji czasopisma. Lublin, 3 marca 2021 r.

Władzom z początku to nie przeszkadzało, bo wielu jej przedstawicieli w samorządach pochodziło z dawnej opozycji demokratycznej, która o wolną Polskę walczyła. Z czasem jednak nowe władze zaczęły się orientować, że te niezależne od nich media albo krytykują podejmowane decyzje, albo wręcz ujawniają coś, co chciano by ukryć.

W Jaworznie na samym początku wolności były dwie gazety. Samorządowa i niezależna. Niezależną prowadzili Józef Matysik i jego żona Mirosława. Małżeństwo dotknięte życiową tragedią: stracili córkę. Zmarła nie odzyskawszy zdrowia, po wstrząsie w wyniku podania penicyliny. Dorosły dziś syn Franciszek mówi, że ojciec „wymyślił całe to gazeciarstwo głównie ze względu na mamę po śmierci siostry", bo „mama to osoba społeczna, dobrze się w takiej działalności czuje".

Józef Matysik dwa tygodnie po pogrzebie córki został dyrektorem kopalni piasku posadzkowego. Po pracy zajmował się z żoną gazetą, którą nazwali „Co Tydzień". Ale w mieście był też tytuł samorządowy, który wydawali koledzy Józefa rządzący miastem. Niezależność Matysików ich uwierała, o czym mówi w książce Mirosława. „Dla nich to było nie do pomyślenia. Czuli zagrożenie. Przede wszystkim, że nie mają kontroli (...) To było dla mnie bardzo przykre. Wyobrażałam sobie, że razem będziemy budować Polskę, a okazało się, że wystarczy, że napiszesz nie tak, jak władza sobie życzy, i już jesteś odstawiony na boczny tor. Już cię nie poznają".

Dalej było tylko gorzej. Obrażony na gazetę prezydent Jaworzna proponował redakcji przez mediatora, że jak już będą coś o nim pisać, to żeby przed drukiem redakcja wysyłała mu materiały do sprawdzenia. „Grzecznościowo. Tak sobie wyobrażali współpracę. Po odmowie urząd zapowiedział, że nas wykończy. Prezydent do dziś nas ściga" – wspomina w książce Mirosława Matysik, podając przykład wciąż trwających trzech procesów wytoczonych przez władze miasta redakcji, dziś reprezentowanej przez syna Franciszka.

Życie w strachu

Alicja Molenda, urodzona w Chrzanowie Trzebinianka, bułgarystka z wykształcenia, zaangażowała się w 1990 roku w działalność lokalnego komitetu obywatelskiego. Na jednym z zebrań tłumaczyła działaczom, którzy chcieli, by komitet ↦

miał swój organ prasowy, że te czasy już minęły, a ludzie pragną wolnych i niezależnych mediów. Założyła więc gazetę o znaczącej nazwie „Przełom". Szybko dostrzegła, że lokalna władza, choć demokratycznie wybrana, krytyki nie cierpi.

„Jak skrytykowaliśmy jakieś posunięcie burmistrza, to on zaraz zagroził, że wyrzuci nas z lokalu, który wynajmujemy od miasta. (...) Żyliśmy w strachu, że burmistrz swoją groźbę zrealizuje, bo nie lubił krytyki prasowej. (...) Nie bardzo ogarniał, na czym polega kontrolna funkcja mediów i krytyka prasowa. A wcześniej miał u nas swoją kolumnę. W ramach restrykcji ta kolumna ogłoszeniowa oczywiście zniknęła" – wspomina w książce założycielka „Przełomu".

Dominik Księski, redaktor naczelny i wydawca tygodnika „Pałuki" w Żninie (obecnie portalu o tej nazwie), przeżył osiem kadencji lokalnych władz. Wspomina, że radni wiele razy wprost deklarowali, że „Pałuki" trzeba zniszczyć. Robili to na jawnych sesjach i do protokołu. Księski przyznaje, że teraz już się to nie zdarza.

A jednak zdarza się, tylko gdzie indziej. Pod koniec ub. roku media obiegło nagranie z sesji w Brzegu Dolnym, na którym radna Maria Wabińska, nie widząc w tym nic niestosownego, instruuje, jak tu wziąć głodem krytyczne media. Na przykład nie zamawiając ogłoszeń w tych, które „od lat źle piszą o gminie".

Płomienny prezydent

Kolejny przykład. Prezydent Zamościa Andrzej Wnuk dwa lata temu publikuje na Facebooku swoje zdjęcie z płonącym „Tygodnikiem Zamojskim". Wobec głosów oburzenia tłumaczy, że chciał w ten sposób... zilustrować gorącego newsa. Gorącym newsem ma być to, że prezydent osobiście informuje, iż będzie startował w wyborach. Ale wszyscy wiedzą, że ta interpretacja to tylko zasłona dymna. Powszechnie wiadomo, że „Tygodnik Zamojski" to od lat jego wróg.

Wróg w przeszłości wielokrotnie publikował artykuły o nadużyciach w miejskiej spółce, o jej nieprawidłowych przetargach czy postępowaniu CBA w sprawie budowy farmy fotowoltaicznej. Raz nawet sąd zakazał „Tygodnikowi" publikacji, a numer ukazał się bez artykułu, za to z wielkim napisem „cenzura" na pierwszej stronie. Zakazany tekst o farmie – w geście solidarności – opublikowały inne lokalne gazety, których postanowienie sądu nie dotyczyło. W drugiej instancji zakaz został na szczęście uchylony.

> Wielu z lokalnych wydawców postawiło życie na jedną kartę, uważając, że nie da się robić prawdziwych mediów tylko „przy okazji". **A teraz nie wiedzą, czy ich redakcje przetrwają.**

Sam prezydent-performer od płonącej gazety przegrał wybory w 2024 r., a wkrótce został prawomocnie skazany za składanie fałszywych zeznań. Po wyroku zrezygnował z funkcji dyrektora szpitala psychiatrycznego, którą objął po złożeniu urzędu.

Prawdziwą legendą Polski lokalnej stał się jednak „Tygodnik Podhalański", który od prawie 36 lat ujawnia korupcję, konflikty interesów i łamanie prawa. Jak podkreśla jego założyciel i wydawca Jerzy Jurecki, w tej pracy nie wolno łamać swoich przekonań, z których najważniejsze mówi, że trzeba być przyzwoitym. Np. nie zwracać uwagi na to, z jakiego obozu politycznego są ci, którym patrzy się na ręce.

Nic więc dziwnego, że władza nie lubi „Podhalańskiego". A że liczne próby dyscyplinowania dziennikarzy się nie udały, to odcięła go skutecznie od zamówień na płatne ogłoszenia urzędowe. To zresztą rutynowa praktyka samorządów oraz jedno z głównych źródeł problemów lokalnych mediów. Pracują w nich niemal wyłącznie ludzie z pasją, którzy wiedzą, że za swą pracę nie dorobią się domu z basenem, ale stosu kłopotów.

Dokręcanie śruby

Szczególnie znacząca jest historia Agnieszki Mazuś i grupy dziennikarzy „Dziennika Wschodniego" z Lublina, którzy fizycznie bronili redakcji przed wejściem likwidatora. Zorganizowali demonstrację przed budynkiem, wieszali transparenty, przedzierali się przez kordon policjantów, żeby uniemożliwić likwidatorowi wejście do redakcyjnych pomieszczeń. Bronili gazety, bo większościowy jej wspólnik, lubelski deweloper, chciał zlikwidować wydawnictwo i pozbyć się niewygodnych dziennikarzy. A zainwestował w „Dziennik" po tym, jak państwo, w imię zwalczania monopolu na lokalnym rynku prasy, nie pozwoliło na przejęcie pisma przez grupę Polska Press.

Szybko okazało się, że nowy wspólnik chce mieć duży wpływ na publikowane treści. Nie podobało mu się, jak dziennikarze piszą o inwestycjach i zagospodarowaniu miasta. Czyli o środowisku, w którym prowadził biznesy. Swoim reporterom publicznie poradził, by pisali „dla gazet, które niekoniecznie są lubelskie".

Dziennikarze będący mniejszościowymi udziałowcami poszli do sądu, protestując przeciwko zamknięciu gazety. Początkowo sąd odwołał likwidatora, surowo oceniając jego działania, jak też decyzje referendarza, który zbyt pochopnie zgodził się na zamknięcie spółki. W uzasadnieniu cofnięcia tej decyzji sąd stanął w obronie wolności słowa – dobra chronionego konstytucyjnie. To zwycięstwo nie było jednak ostateczne – zapisy dotyczące „Dziennika Wschodniego" w sądowym rejestrze przedsiębiorców zmieniały się niemal dziesięć razy.

W końcu, po wielomiesięcznych bojach, dziennikarze ustąpili. Dwóch poszło pracować do ogólnopolskich portali, a troje nawiązało współpracę z aktywistą Krzysztofem Jakubowskim i zaczęło po dziennikarsku redagować społecznikowski wcześniej serwis „Jawny Lublin". Ujawnili między innymi, że pięcioro radnych z klubu prezydenta Krzysztofa Żuka mieszka w willach poza granicami Lublina, choć prawo wymaga, by wyłoniony w wyborach reprezentant lokalnej społeczności mieszkał w granicach swojej jednostki samorządowej. Szef klubu poskarżył się na tę publikację do Rady Etyki Mediów, na gruncie urzędowym zaś organy kontrolne zadowoliły się deklaracjami podatkowymi i oświadczeniami pań radnych, że mieszkają w Lublinie. Fakty, dowody i zdjęcia dziennikarzy urzędników nie interesowały.

Folklor Polski lokalno-samorządowej zawiera też zdarzenia śmieszne – choć tylko z pozoru. Sześć lat temu starosta z Łosic zarzucił dziennikarce Joannie Gąsce z portalu Losice.info manipulacje, nierzetelność i pisanie nieprawdy, choć ta... niczego jeszcze nie opublikowała. Informację o tym, że Janusz K. przez pewien czas bezprawnie łączył funkcję starosty ze stanowiskiem szefa powiatowego biura

ADAM WOŁOSZ / FUNDACJA MEDIA FORUM

Alicja Molenda, założycielka gazety „Przełom", 2025 r., zdjęcie z książki Andrzeja Andrysiaka i Jacka Pawłowskiego „My, lokalni".

jednej z państwowych agencji rolnych, podała wcześniej redakcja z sąsiedniego powiatu. Starosta przegrał w sądzie proces o zniesławienie Gąski, a na sali rozpraw wyszło na jaw, że pomylił dziennikarki. Obrażał tę z portalu łosickiego z powodu publikacji dziennikarki z Siemiatycz.

Tuby propagandy

Władza potrafi pokazać, kto rządzi w Polsce lokalnej. Również społecznikom, którzy domagają się jawności i wyrażają krytykę za nietrafione decyzje. Jolanta Mokwińska i Danuta Wojciechowska, społeczniczki z Siedliska w Lubuskiem, krytykowały wójta za wiele spraw, m.in. za nierzetelne rozliczanie dotacji dla parafii czy za użycie dla celów rozrywkowych gminnego busa przeznaczonego dla osób z niepełnosprawnościami. Albo za ukrywanie rzeczywistego zadłużenia gminy, czy wreszcie za warunki przechowywania książek w gminnej bibliotece.

Pewnego dnia na podwórku Mokwińskiej zjawiła się komisja gminnych urzędników i kazała przesunąć w głąb płot, który stał w tym miejscu 60 lat. Ale dopiero po tym, jak kobieta zaczęła dociskać gminną władzę, okazało się, że ogrodzenie stoi w pasie drogowym. Po skorygowaniu granicy stara czereśnia, którą zasadzili jeszcze rodzice społeczniczki, znalazła się poza podwórkiem.

W lokalne dziennikarstwo i aktywizm wpisane jest ryzyko narażenia się władzy, która nie lubi dociekliwych pytań, krytycznych ocen i ujawniania niewygodnych faktów. Reakcją są zaprzeczenia niewytrzymujące starcia z faktami oraz/lub szykany. Jest jeszcze jedna metoda walki z wolnymi mediami – zakładanie własnych gazet i portali. Oczywiście za pieniądze lokalnych podatników.

W typowej „samorządówce" miasta i gminy kwitną. W artykułach dominują słowa-wytrychy: „rozwój", „wsparcie", „inwestycje", „otwarcie". Głosów krytycznych brak, za to zdarza się, że liczba zdjęć burmistrza, wójta lub prezydenta dorównuje liczbie stron wydania.

Alicja Molenda w książce „My, lokalni": „Krytyka prasowa to coś, co najbardziej uwiera samorządowców. Dlatego dziś prowadzą swoją politykę informacyjną w zupełnie inny sposób. Zachowują się tak, jakby nas nie było. Nawet jeśli krytykujemy, to nas ignorują. Mają swój przekaz w biuletynach i społecznościówkach".

Swoje media wydaje około 1700 jednostek samorządu terytorialnego. To szacunek na podstawie badań opublikowanych rok temu przez Unię Metropolii Polskich. Andrzej Andrysiak, współautor naszej książki, który jest też prezesem Stowarzyszenia Gazet Lokalnych, oblicza, że niezależnych pism i portali, czyli takich, które patrzą władzy na ręce, jest w sumie około dwustu. 1700 kontra 200 – czyli przewaga 8,5 do jednego na korzyść władzy. Taki jest w Polsce lokalnej stosunek sił niezależnych mediów wobec przekazu całkowicie zależnego od decydentów.

Kiepskie perspektywy

Tę nierówność sił warto obudować pieniężnym kontekstem. Władza zawsze ma fundusze na prowadzenie swoich kanałów przekazu. Niezależne media muszą te pieniądze w pocie czoła zarobić. Jeszcze w drugiej połowie lat 90., jak mówi część wydawców ukazanych w książce, sytuacja materialna lokalnych mediów była zadowalająca. Potem przyszły kryzysy finansowe (najostrzejszy w 2008 r.), upowszechnił się internet i media społecznościowe. Zmieniło się też prawo – lokalne urzędy nie muszą już zamieszczać wszystkich ogłoszeń w prasie, wystarczy biuletyn informacji publicznej.

Wszystko to przyniosło spadki dochodów – zarówno ze sprzedaży gazet, jak też z ogłoszeń i reklam. Jest tajemnicą poliszynela, że wielu przedsiębiorców obawia się reklamować w mediach krytycznych wobec lokalnej władzy. Bo władza może dać zarobić na kontraktach i zamówieniach, ale może też dokuczyć.

Nie ma też większych szans na to, by internetowi odbiorcy mediów chcieli płacić za niezależną, rzetelną informację. Tak jak ich rodzice płacili za gazety w kiosku. Stąd postulaty, by władze państwa stworzyły system sprawiedliwego dofinansowania działalności mediów lokalnych jako niezbędnego elementu demokracji. Wysiłki trwają już wiele lat i na razie zaowocowały jednym programem rządowym dotowania treści kulturalnych. Patrzenie władzy na ręce musi poczekać.

Wywołuje to rozgoryczenie lokalnych wydawców. Wielu z nich postawiło życie na jedną kartę, uważając, że nie da się robić prawdziwych mediów tylko przy okazji. A teraz nie mają pewności, czy ich redakcje przetrwają.

Mirosława i Józef Matysikowie: „Jeżeli nie będzie woli politycznej, żeby takie wydawnictwa jak nasze wspomóc, bo one budują demokrację na dole, zostaną zgliszcza. A z demokracji zostaną strzępy. Dla polityków ważniejsze są związki partnerskie i aborcja, które dotyczą tylko części społeczeństwa, a wolne media dotyczą wszystkich".

„Robiliśmy to dla ludzi. Dla Polski to robiliśmy" – mówią w książce wydawcy z Jaworzna. „Nie robiłyśmy tego dla siebie, tylko dla mieszkańców" – tłumaczą społeczniczki z Siedliska.

Alicja Molenda ostrzega, że bez niezależnych mediów nie ma demokracji. Mirosława i Józef Matysikowie przestrzegają wręcz przed degradacją cywilizacji. Krzysztof Jakubowski zapytany, co zrobiliby ludzie, gdyby mieli wybierać między dostatkiem i wygodą życia a wolnością i jawnością, długo zastanawia się nad odpowiedzią. W końcu mówi, że wciąż wierzy, iż większość wybierze to drugie. Ma rację?

© JACEK PAWŁOWSKI

MICHAŁ BOROWCZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Matury Szkoły w Chmurze na stadionie Legii, Warszawa, 4 maja 2025 r.

Odszkolnieni

MARTYNA LESZCZYŃSKA

OŚWIATA | Już więcej niż co setny polski uczeń korzysta z nauczania domowego. Co ten tryb edukacji daje, a co odbiera? I czy na pewno jest dla każdego?

4 MAJA DO MATURY PRZYSTĄPIŁO PONAD 8 tys. uczniów Szkoły w Chmurze. W Warszawie i Poznaniu stanęły miasteczka maturalne, do których zjechali uczniowie z całej Polski. W stolicy na stadionie Legii zebrało się 5 tys. zdających – to mniej więcej tak, jakby połączyć maturzystów z 20-30 przeciętnych liceów.

Matura stadionowa

W trwających trzy tygodnie przygotowaniach uczestniczyły setki osób. Trzeba było zadbać o warunki: wygłuszenie hałasów z zewnątrz, sprawny system ogrzewania, nagłośnienie.

Większość uczniów przez lata nauki w Chmurze nie musiała zrywać się z łóżka bladym świtem, tym razem było inaczej. Moja rozmówczyni, tegoroczna maturzystka ze Śremu, mówi, że aby wyrobić się z dojazdem na Stadion Enea w Poznaniu między 6.00 a 7.15, przez parę dni z rzędu nastawiała budzik na 4.50. – Po całym tygodniu tak wczesnych pobudek byłam ogromnie zmęczona, a rodzice i tak wynajęli mi na ten czas mieszkanie w Poznaniu. Ktoś podobno wstawał codziennie o 2.00 w nocy, bo musiał przejechać pociągiem 300 kilometrów.

Obowiązkowe matury podstawowe pisało w Poznaniu ponad 3 tys. uczniów Chmury. Poranny ruch uliczny w okolicach stadionu przyprawiał o ból głowy, do wejścia ciągnęły się kolejki, ale z każdym kolejnym dniem wszystko szło coraz sprawniej.

Nie tylko Chmura

O Szkole w Chmurze zrobiło się głośno po pandemii. To wtedy uczniowie masowo doświadczyli improwizowanej edukacji domowej w wersji demo – bez codziennego wychodzenia do szkoły i bez zajęć lekcyjnych (przynajmniej w pierwszych tygodniach kwarantanny).

Choć sytuacja pozostawiała wiele do życzenia, był to również moment, w którym liczebność społeczności uczniowskiej Szkoły w Chmurze wzrosła. Dziś to niespełna 30 tys. uczniów, co pokazuje, że edukacja domowa nie jest już tak niszowa, jak by się mogło wydawać.

Chmura nie jest też jedyną – choć najbardziej medialną, a przez to i popularną – szkołą, która oferuje możliwość edukacji domowej (idea ED powstała zresztą na długo przed utworzeniem wspólnych internetowych platform edukacyjnych). Według danych MEN w roku szkolnym 2024/2025 takich uczniów było łącznie ponad 60 tys. Dla porównania: w 2013 r. GUS doliczył się ich raptem ok. 400.

Kolejnych chętnych nie brakuje, a motywacje są przeróżne. Od jednostek wybitnych: młodych naukowców, sportowców, artystów i podróżników, po dzieci, dla których nauka w tradycyjnej szkole nie jest możliwa np. ze względu na stan zdrowia.

Edukacja domowa poza domem

O to, czym różni się nauka w Chmurze od tradycyjnej szkoły, pytam ponownie Olę, świeżo upieczoną absolwentkę „chmurowego" liceum. – Muszę sobie przypomnieć, dawno nie byłam w normalnej szkole – śmieje się. – Podstawowa różnica jest taka, że edukacja odbywa się w tzw. warunkach domowych. Miejsce realizacji podstawy programowej jest dowolne, tak samo dowolna jest pora dnia i godziny, w których się uczymy.

– Zależy nam, by łamać stereotyp edukacji domowej – tłumaczy dyrektor poznańskiego oddziału Szkoły w Chmurze, Kamil Stachowiak. – Ludzie nadal często błędnie rozumieją koncepcję Chmury, to nie jest szkoła zdalna ani edukacja online. Dzieci nie są zamykane w domach przed komputerami. Lubię określenie wynikające z prawa oświatowego: „spełnianie obowiązku szkolnego poza szkołą". Nie ma tu wskazania, że edukacja odbywa się w domu. Nasi uczniowie są więc w tym czasie we wszystkich możliwych przestrzeniach. W godzinach lekcyjnych są otwarte muzea, kina, ujeżdżalnie, baseny, a dzieci i młodzież z tego korzystają. Również tam często pielęgnują i rozwijają umiejętności społeczne. W Poznaniu i Warszawie mamy własne miejsca spotkań, a do tego dochodzą jeszcze oddolne inicjatywy lokalnych społeczności,

gdzie skupiska chmurowych uczniów są większe. Kilka lat temu udostępniliśmy naszym podopiecznym aplikację, dzięki której mogą odnaleźć się na Mapie Chmurzan i nawiązać nowe znajomości.

Bez sprawdzianów

– Idąc do tej szkoły, trzeba być świadomym, że proces nauki jest samodzielny. Jeśli my sami nie będziemy się uczyć, nikt za nas tego nie zrobi – mówi Ola. – Trzeba mieć dużo motywacji wewnętrznej, dlatego to nie jest szkoła dla każdego. Gdy siedzisz sam w domu, nie masz planu lekcji, presji w postaci zadań i regularnych sprawdzianów, to masz wrażenie, jakbyś w ogóle do szkoły nie chodził. Nie ukrywam, że bez dodatkowo płatnych korepetycji nie udałoby się. Jestem typem ucznia, który potrzebuje struktury nadanej przez nauczyciela.

W Chmurze uczniowie sami wybierają sposób, w jaki będą się uczyć. Fundamentem jest platforma online, gdzie do każdego przedmiotu opracowane są karty pracy, a do większości zadań dodatkowe źródła w postaci linków z filmami lub artykułami. Szkoła podaje także listę zalecanych podręczników, z których można, ale nie trzeba korzystać.

W edukacji domowej podstawą zaliczenia roku są egzaminy końcoworoczne z każdego obowiązkowego przedmiotu. Zdawać można od września do maja, egzaminy składają się z części ustnej i pisemnej, w przypadku Chmury kluczowa jest możliwość zaliczenia ich online. W ciągu roku nie ma kartkówek i sprawdzianów, a ocena na świadectwie to średnia z obu części egzaminu.

Nicnierobienie to nie wolność

Co ciekawe, Chmura bywa krytykowana także w samym środowisku ED, m.in. za „utowarowienie" i umasowienie czegoś, co było niszowe, a czasami nawet za wypaczenie idei nauczania domowego.

„Jego istotą jest przecież branie samemu odpowiedzialności za edukację dzieci – mówiła ponad dwa lata temu „Tygodnikowi" prof. Kinga Lendzion, socjolożka badająca motywacje przechodzenia na tryb pozaszkolnej nauki. – Tymczasem rodzice na forach coraz częściej zamieszczają wpisy, które świadczą o tym, że wierzą, iż ktoś w tej nauce domowej poprowadzi ich za rękę: »Rzuciliśmy szkołę, poradźcie, co dalej«".

Krytykowana jest też idea nauczania domowego – m.in. za brak bieżącej kontroli nad procesem nauczania. Czy czas jest na pewno przez uczniów dobrze wykorzystywany? Dyrektor Stachowiak twierdzi, że nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi, bo każdy uczeń jest inny. – W naszej szkole stawiamy na wolność i odpowiedzialność. Zdarzają się oczywiście sytuacje, w których wolność pomyli się komuś z nicnierobieniem, dlatego już na etapie rekrutacji sprawdzamy, czy jest ona dobrze rozumiana. Do Szkoły w Chmurze nie dostają się wszyscy. Często jest tak, że po latach tradycyjnej edukacji uczniowie potrzebują dłuższej chwili, aby się „odszkolnić". Zmienić to, do czego są przyuczeni. Gdy widzimy, że ta formuła nauki nie jest dobrym rozwiązaniem dla danej osoby, to zachęcamy, aby nie spieszyć się z decyzją.

Jak dodaje Stachowiak, warto zebrać więcej informacji na temat własnych potrzeb i spróbować ewentualnie później. – Edukację w Chmurze można rozpocząć już od zerówki, jednak w klasach 1-3 obecność i uwaga rodzica są szczególnie ważne również ze względów bezpieczeństwa, dziecko musi mieć opiekę osoby dorosłej – mówi dyrektor. – Na etapie podstawówki to właśnie rodzic bierze na siebie odpowiedzialność, by nauki nie zaniedbać.

Koniec egzaminów online?

Nie tak dawno MEN wydało rozporządzenie, które ma zakazać organizacji końcoworocznych egzaminów online, z których korzystają uczniowie Chmury. Skupiona wokół niej społeczność jest zaniepokojona, a rodzice uważają, że egzaminy online to konieczność. Gdyby nie ta możliwość, niektóre dzieci musiałyby całkowicie zrezygnować z edukacji, np. ze względów zdrowotnych, bo przebywają akurat w szpitalu lub walczą o powrót do dobrej kondycji psychicznej.

– Tradycyjna szkoła mówi ci: albo jesteś w szpitalu, albo w klasie. A my to łączymy, udowadniamy, że się da. Nie wyobrażam też sobie, żebym musiał powiedzieć uczniom, którzy akurat wspinają się na ośmiotysięcznik: „Schodźcie prędko, bo jutro macie egzamin stacjonarny w Poznaniu". Egzaminy online mają wiele korzyści, o których z jakiegoś powodu się nie mówi, np. dla uczniów wykluczonych komunikacyjnie. Dobrze znamy historie tych, którzy musieli wstawać o czwartej, by zdążyć na pierwszy autobus do najbliższego miasta i wracali po nocach. To jest niebezpieczne, a poza tym taki uczeń jest przemęczony – przekonuje Kamil Stachowiak.

I dodaje: – Dziwię się, że zamiast szukać powodów wzrostu zainteresowania edukacją domową, usiłuje się uniemożliwić alternatywne ścieżki edukacji. Przy obecnych trendach to, co kiedyś utarte i oczywiste, samo stanie się zaraz alternatywne. Próbuje się nam wmówić, że rozwiązania, z których korzysta ogromna grupa ludzi, są niewłaściwe, ale my wiemy, że one mogą działać.

Nie jesteśmy wrogami

Przedstawiciele Chmury uważają, że walczą o możliwość wyboru: by uczniowie nie byli skazani na jeden system, który bywa niewydolny i nie odpowiada na potrzeby współczesności.

– Bardzo bym sobie życzył, i to jest głos całej naszej społeczności, by doszło w końcu do współpracy MEN i Szkoły w Chmurze, żeby ludzie zauważyli w końcu, że nie jesteśmy wrogami systemu edukacji – podkreśla Kamil Stachowiak. – Pozwalamy młodym ludziom rozwijać się, odnosić sukcesy i co najważniejsze: przeżywać życie. Dochodzą do nas głosy rodziców, że gdyby nie my, to części z tych młodych osób po prostu by już z nami nie było. Sytuacje są różne, a rodzice mówią wprost: cieszą się, że nie muszą jeździć do swojego dziecka na cmentarz, tylko przyjechać z nim na egzaminy państwowe.

Okres pandemiczny wywołał falę problemów psychicznych wśród dzieci i młodzieży, wiele z nich nie było w stanie kontynuować nauki w tradycyjnym systemie. Egzaminy maturalne i ósmoklasisty to jedyny moment, w którym odgórnie wymaga się od nich stawienia się w określonym miejscu i godzinie. Do matur podchodzą także uczniowie, którzy w normalnych warunkach byliby do nich zapewne niedopuszczeni.

– Nie będę z tym dyskutować, bo nawet teraz, gdy o tym mówię, mam gęsią skórkę – mówi Kamil Stachowiak. – Chciałbym, żeby Szkoła w Chmurze przestała być pokazywana jako coś złego i nie budziła tylu negatywnych emocji. Jesteśmy otwarci i zawsze wszystkich zachęcamy: przyjdźcie, zobaczcie, wypróbujcie, wyróbcie sobie własne zdanie. ©

OLGA

Drenda:
Prototypy

Wśród moich – obawiam się, że coraz liczniejszych – powodów do drobnej irytacji dość wysoko plasują się sytuacje, kiedy ktoś domaga się od rozmówcy nieustannego odkrywania Ameryki. Żaden temat ani problem nie jest dla kogoś takiego wystarczająco nowatorski i świeży, by nie zbyć go lekceważącym: „to już kiedyś było, też mi nowość. Phi!". Gdy ktoś mówi, dajmy na to, o zapożyczeniach z języków obcych w polszczyźnie, odpowie: „to zupełnie jak makaronizmy w XVII wieku, nie ma tematu".

A przecież nigdy nie wiadomo, kiedy dla kogoś jakaś myśl będzie nowa lub, jeśli już koniecznie trzymać się tego kryterium, odkrywcza. Historia idei i kultury pokazuje raczej, że częściej ludzie (i ludzkość) tkwią uwięzieni w trybie ciągłych powtórzeń, a zarazem doznają natychmiastowej amnezji względem tego, co się powtarzało, dlatego nigdy nie da się ustalić do końca, czy coś jest nieoczywistą, czy podstawową wiedzą. Szczególnie że dziwnie podobne błędy są powtarzane z uporem godnym lepszej sprawy. Najwidoczniej nauki, także przez powtarzanie, nigdy dość.

Zupełnie innym doświadczeniem jest zetknięcie się z sytuacją przeciwną, czyli kiedy natrafiam na obserwację z przeszłości, która okazuje się wobec teraźniejszości dziwnie aktualna. Tak jakby ktoś udał się na zwiad harcerski, wykonał pierwsze rozpoznania, zbudował modele i prototypy przydatne dla zrozumienia różnych sytuacji i stanów, po czym zostawił je na swoim miejscu, by czekały, aż po latach przyjdzie ktoś i powie: tak, to właśnie mnie dotyczy!

To prawda, ale wynalazczość niejedno ma imię

OLGA DRENDA

Dlatego na wszelki wypadek, kiedy zastanawiam się nad bieżącymi dolegliwościami społecznymi i psychologicznymi, notuję sobie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie pisał już o czymś podobnym Antoni Kępiński. Wracam do wielkiego krakowskiego psychiatry regularnie z pewnością, że to właśnie w jego książkach znajdę trafne intuicje co do dnia dzisiejszego. Kępiński spisywał je u progu wielkiego informacyjnego i technologicznego przyspieszenia (zmarł w 1972 r.), i zbierał wówczas ledwie cieniutkie wstążki wątków, które do dziś zdążyły przybrać rozmiary słoniowe. Jego emocjonalny słuch i intuicja, pozwalające rozpoznawać drgania zwiastujące nadchodzące problemy z daleka, były niebywałe.

Doskonale pamiętam, od jakiej obserwacji to się zaczęło w moim przypadku: od przeczytania, że udrękę nerwicowca (zgodnie z książkową terminologią) napędza m.in. nadmierna samoświadomość, która obarcza ciężarem decyzji nawet czynności błahe i automatyczne. I jeszcze uwagę, że największe zmęczenie, większe od wysiłku, powodują w człowieku pośpiech i nuda. Dziś o błędnym kole zmęczenia i niepokoju mówi się dużo i głośno, ale przy akompaniamencie opadających z bezradności rąk.

Cywilizacja techniczna, jak ją nazywał, zaczynała dopiero się rozpędzać, lecz Antoni Kępiński już ostrożnie zauważał jej potencjalne pułapki. Taką przenikliwość objawiającą się przecież w peryferyjnej i nieco oddalonej od globalnego pędu zdarzeń Polsce znamy również z prac Stanisława Lema, co świadczy o tym, że pozorne zapóźnienie czasem pozwala patrzeć dalej. Kępiński przewidywał zagrożenie uzależnieniem wartości człowieka jedynie od jego potencjalnej wartości użytkowej, a także – ze względu na niemożliwą do przetrawienia ilość informacji i idącą za tym dezorientację i niepewność – popularność fałszywych idei i ich proroków, oferujących złudzenie spokojnej przystani wśród chaosu. Na „rozładowanie atmosfery lękowej znamionującej współczesną epokę" (tak, tymi słowami, już wtedy!) podpowiadał remedium w postaci kształtowania w sobie wyrozumiałego stosunku wobec innych.

Są to obserwacje wyrażone przejrzystą polszczyzną, nieunikającą odwołań do literatury i sztuki. Nie jest to mowa zimno-precyzyjna, czasem zdarzają się tu umowności, spekulacje i nawet eseistyczny element błądzenia, próbowania. To jedna w moim przekonaniu z największych zalet tej literatury, bo pozwala znaleźć może skuteczniejszą drogę do czyjejś wrażliwości niż język jednoznacznych, ale spłaszczających słów wytrychów i drobiazgowej kategoryzacji. Coraz trudniej bowiem opierać się pokusie sięgania po gotowce i mówić własnymi słowami, choć nie sądzę, by to pomagało poczuć się lepiej. To również jest odkrywcze: naukowa w końcu literatura, która proponuje zapis zastanawiania się, i do samodzielnego zastanawiania się także zaprasza. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

Festiwal Kolorów

radość, muzyka i bycie razem

JAN ULICKI / FESTIWAL KOLORÓW

JULIA GĄSIOREK / FESTIWAL KOLORÓW

ILONA GLANOWSKA-OLKUSKA,
Prezeska Stowarzyszenia Festiwal Kolorów

Festiwal Kolorów od lat przyciąga ludzi szukających muzyki, wspólnej energii i dobrych emocji. W 2026 roku wydarzenie ponownie odwiedzi największe miasta Polski.

Festiwal Kolorów zaczął się od marzenia – trochę szalonego jak na dwudziestokilkulatków, którzy bardziej niż doświadczenie mieli wiarę, że można stworzyć coś pięknego. Był rok 2013, mieliśmy po 26 lat i pomysł, który przywędrował do nas z Indii, ale szybko nabrał lokalnego charakteru. Pierwsza edycja odbyła się przy warszawskim klubie Sen Pszczoły – kameralna, choć już wtedy w social mediach wyglądała na ogromną. Kilka tysięcy zainteresowanych, setki uczestników i jedno poczucie: to dopiero początek.

Inspiracją było hinduskie święto Holi – celebracja wiosny, radości i zwycięstwa Dobra nad Złem. Ujęła nas jego prostota i symbolika: kolor jako język emocji. Przenieśliśmy do Polski ideę wspólnego świętowania i moment kulminacyjny – wyrzut kolorów – ale ubraliśmy ją w formę festiwalu muzycznego, bliższego europejskiej wrażliwości. Zamiast religijnego kontekstu postawiliśmy na otwartość, inkluzywność i czystą radość bycia razem.

Bo właśnie tego dziś potrzebujemy najbardziej. W świecie, który pędzi, mierzy, ocenia i często przytłacza szarością codzienności, ludzie szukają przestrzeni, w której mogą na chwilę „odetchnąć". Festiwal Kolorów jest taką przestrzenią – bez napięcia, bez podziałów, za to z ogromną dawką energii. To powrót do prostych emocji: śmiechu, spontaniczności, bycia „tu i teraz".

Fenomen tej imprezy tkwi w jej prostocie. Wspólne odliczanie, jeden gest i nagle tysiące ludzi wyrzuca w powietrze kolory. Powstaje chmura, która przez kilka sekund zawiesza rzeczywistość. To moment, którego nie da się w pełni opisać – trzeba go przeżyć. Ludzie wracają, bo chcą znów poczuć tę wspólnotę i tę krótką, intensywną chwilę wolności.

Na Festiwal Kolorów przychodzą wszyscy. Młodzież, studenci, rodziny z dziećmi, grupy znajomych i osoby, które przychodzą same – ale nigdy nie zostają same na długo. To wydarzenie o piknikowym, otwartym charakterze, gdzie każdy znajdzie swoje miejsce.

Z biegiem lat Festiwal stał się pełnoprawną trasą koncertową, współtworzoną z miastami i instytucjami kultury. Co ciekawe, już dwa lata od startu naszej inicjatywy zaczęły spływać do nas zapytania z mniejszych miejscowości i gmin, które chciały, aby Festiwal Kolorów pojawił się również u nich. W odpowiedzi stworzyliśmy format „Eksplozji Kolorów" i dedykowany fanpage. To mniejsze, partnerskie wydarzenia – pojawiamy się podczas rozpoczęcia wakacji, pożegnania lata czy lokalnych świąt, wspieramy promocję, dzielimy się know-how i uczymy konferansjerów, jak poprowadzić tłum do wspólnego wyrzutu kolorów. To nasze „minifestiwale", które niosą tę samą energię w bardziej kameralnej skali.

Ważnym rozdziałem była także współpraca z Gdańskim Archipelagiem Kultury, w ramach której współtworzyliśmy wydarzenie Festiwal Kolorów Nocy Świętojańskiej. Na scenach pojawiali się artyści tacy jak Lady Pank, Kayah czy Mesajah. Był to przykład synergii kultury wysokiej i rozrywkowej, która przyciągała szeroką publiczność. Ta współpraca zakończyła się wraz ze zmianą władz w mieście, ale pozostaje dla nas ważnym doświadczeniem i dowodem na to, jak wiele można osiągnąć dzięki otwartości instytucji.

Nasz Festiwal to nie tylko kolory – to koncerty, DJ-e, taniec, strefy aktywności, animacje i inicjatywy takie jak Free Hugs, które przypominają, jak niewiele trzeba, by wywołać uśmiech. Program ewoluuje, ale serce Festiwalu pozostaje niezmienne.

W 2026 roku planujemy sześć przystanków na naszej kolorowej mapie Polski. Sezon otworzymy 31 maja na warszawskim Ursynowie, gdzie Festiwal Kolorów tradycyjnie przyciąga tłumy spragnione wspólnej energii. Muzyczną gwiazdą tego dnia będzie Zosia Karbowiak – artystka, kompozytorka i autorka utworu „Pełnia barw", którego przesłanie idealnie oddaje ducha naszego wydarzenia. Jak śpiewa: „w kolorach jest siła, która łączy nas" – i trudno o lepsze podsumowanie tego, co dzieje się podczas każdego wyrzutu kolorów.

Następnie, 7 czerwca, spotkamy się w Krakowie – pod Tauron Arena Kraków, gdzie ponownie stworzymy widowisko, które na kilka chwil zatrzymuje świat i zamienia go w feerię barw. Partnerem naszych kolorowych wydarzeń jest Miasto Kraków.

Na koniec chcemy powiedzieć coś ważnego. Festiwal Kolorów to w stu procentach polski projekt, stworzony oddolnie przez młodych ludzi, którzy uwierzyli, że niemożliwe nie istnieje. Dlatego apelujemy o wsparcie: partnerów, instytucji i wszystkich, którzy wierzą w kulturę tworzoną z serca. Bo kolory to tylko pretekst. Najważniejsze jest to, co dzieje się między ludźmi.

▸ Szczegóły o wydarzeniach publikujemy na Facebooku: **www.facebook.com/ /Festiwal.Kolorow**
Zapraszamy do kolorowej zabawy!

MATERIAŁ PROMOCYJNY

REPORTAŻ

NIEZWYKLE CZUŁY FOLWARK

Miał poskładać na nowo zespół MOCAK-u po rządach Maszy Potockiej, a został odwołany po dziewięciu miesiącach w atmosferze skandalu. Publikujemy wyniki śledztwa Radia Kraków i „Tygodnika".

TADEUSZ MAREK

Do Krakowa wrócił po ponad 20 latach. „Nasz Adam" – mówili ci, którzy pamiętali go z przełomu wieków, kiedy był pełnym energii młodym kuratorem w Bunkrze Sztuki – wówczas najważniejszej w mieście galerii sztuki współczesnej. W 2003 r. zorganizował jeszcze w Zachęcie pierwszą polską retrospektywę Louise Bourgeois, a potem wyjechał w świat. Graz, Waszyngton, Praga, Hanower. W międzyczasie był kuratorem pawilonów na Biennale w Wenecji. Kolejno: polskiego, estońskiego i łotewskiego.

Kiedy Adam Budak w 2025 r. wygrał konkurs na dyrektora istniejącego od 15 lat Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie (MOCAK) – wszyscy rozwodzili się nad jego „bogatym doświadczeniem zawodowym".

Dziury w życiorysie

„Nasz Adam" ma w sobie coś uroczo nieporadnego i – mimo swych 60 lat – chłopięcego. Kiedy miękkim głosem opowiada o sztuce, czuć, że nią żyje. Do MOCAK-u, muzeum naznaczonego traumą mobbingu poprzedniej dyrekcji, przychodził z dobrą nowiną: „Czułość jest (...) punktem wyjścia dla mojego programu. Powołuję się na piękną definicję czułości, którą wyartykułowała Olga Tokarczuk. (...) Wyobrażam sobie działalność w MOCAK-u jako poszukiwanie (...) »czułego narratora« (...), który wie więcej, ale przy tym wszystkim pozostaje *homo empaticus*" – mówił w sierpniu 2025 r. na antenie Radia Kraków.

„Nasz Adam" przywiózł jednak do Krakowa kilka tajemnic i niedopowiedzeń w życiorysie. Choć nie były to w zasadzie sekrety, nikt z komisji konkursowej nie zauważył, że z waszyngtońskiego Hirshhorn Museum zwolniono go nagle, „z powodu rażącego naruszenia zasad etycznych i zawodowych" (cytat z informacji na stronie Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej, które zbadało życiorys dyrektora), a z Narodowej Galerii w Pradze m.in. z powodu „bezprzedmiotowych podróży służbowych na koszt instytucji" i „łamania zakazu konkurencji". Okoliczności odejścia z funkcji kuratora w Kestner Gesellschaft w Hanowerze też nie są chwalebne – miał wpędzić instytucję w poważne kłopoty finansowe.

W MOCAK-u Adam Budak powołany został na najdłuższą możliwą, siedmioletnią kadencję. Po 9 miesiącach został odwołany ze stanowiska, w wyniku prac miejskiej Komisji ds. rozpatrywania zgłoszeń mobbingu i dyskryminacji. W okresie krótkich rządów Budaka z etatowej pracy w muzeum zrezygnowało 12 osób.

Zgodnie z ustaleniami Radia Kraków, 16 marca do magistratu wpłynęła skarga podpisana przez 37 osób, czyli niemal dwie trzecie pracowników MOCAK-u. Sformułowali 79 zarzutów dotyczących niewłaściwych zachowań wobec pracowników, wywierania presji psychicznej, dezorganizacji pracy, nieracjonalnych decyzji organizacyjnych i lekceważenia procedur.

Gabinet płaczu

Niepokojące informacje o sytuacji w muzeum zaczęły docierać do mnie w marcu. Od tego czasu rozmawiałem z dziewięcioma pracownikami: związanymi z MOCAK-iem od lat, jak również tymi, których zatrudnił sam Budak.

Dawid: – Kiedy widzisz kolejne osoby wychodzące z gabinetu dyrektora z płaczem, czujesz, że nie jest to sytuacja normalna. Raz może się to zdarzyć: ktoś nie wytrzymał, ma słabe nerwy... Ale ja widywałem kilka takich sytuacji w miesiącu, w tym także z udziałem wieloletnich pracowników, przypominających kłębki nerwów.

Potwierdza to Jowita: – W ostatnich dniach przygotowań do otwarcia wystaw sezonu jesiennego 2025 codziennością był płacz z bezsilności. Dwie koleżanki dostały ataku paniki. Nie spotkałam się nigdy wcześniej z takim poziomem stresu i napięcia.

Trzecia moja rozmówczyni, Grażyna, wspomina, że z czasem pojawiły się u niej problemy ze snem. Kiedy szła do pracy, chciało jej się wręcz wymiotować. Gdy poszła do psychiatry i opowiedziała swoją historię, dowiedziała się, że ma stany lękowe. I być może jest ofiarą mobbingu.

„Niestandardowych" zachowań dyrektora doświadczyła też Daria – na tydzień przed konferencją prasową o marcowych wystawach, kiedy wszyscy byli zarzuceni pracą.

– Adam zażyczył sobie, żeby do każdej z siedmiu wystaw przygotować folder. W tak krótkim czasie było to niewykonalne, więc udaliśmy się do niego, żeby zakomunikować, iż jesteśmy przeciążeni – opowiada. – Koleżanka z działu wydawnictw powiedziała, że i bez tego zadania pracuje po godzinach. On jednak zaczął ją atakować, a komunikat był jasny: nic nie robisz, a się skarżysz. Kiedy zapłakana wyszła z gabinetu, zaczął komentować, że to niestosowne zachowanie.

Agnieszka dodaje: – 3 października 2025 r. zostałam wraz z zespołem wezwana do dyrektora. Nie poinformowano nas o temacie, więc nie mogłyśmy się przygotować. Okazało się, że chodzi o niezadowolenie z naszej pracy, w tym mojej jako kierowniczki. Usłyszałam, że mam złe kontakty z prasą i nikogo nie znam. W kontekście przygotowanych zaproszeń stwierdził, że wyglądają jak „papier toaletowy", a ja jestem „bezguściem". Padło też zdanie: „co wy właściwie robicie?", a potem opinia, że większość naszych działań zawodowych nie jest pracą.

Kiedy Agnieszka argumentowała, że właśnie organizują trzydniowe otwarcie wystaw, w tym kolację, usłyszała: „Przecież macie catering, ty nie musisz tego gotować". Rozpłakała się, dwukrotnie prosząc dyrektora i jego zastępczynię o przerwanie spotkania. – Nie zareagowali, a ja pod koniec już nawet nie płakałam, tylko mną telepało. Wtedy powiedział: „Świetnie, ty się rozpłakałaś, a ja wychodzę na przemocowca".

Publiczne piętno

Niezadowolenie z pracy zespołu dyrektor miał wyrażać często. Zdarzało się publiczne wyśmiewanie czy teatralne przewracanie oczami, kiedy ktoś coś mówił. Jednak żadna z osób, która pożegnała się z MOCAK-iem w ostatnich miesiącach, nie została zwolniona, zrobiły to same. Moi rozmówcy twierdzą, że nowy dyrektor nie wyciągał formalnych konsekwencji, ale – jak twierdzi Grażyna – „te natury emocjonalnej". A Jowita dodaje: – Karą było umniejszanie, odsuwanie od projektów. Przy próbie konfrontacji czuło się klasyczny *gaslighting*, kwestionowanie naszych uczuć, karanie ciszą.

Dawid: – Niezadowolenie z czyjejś pracy wyrażał poprzez publiczne napiętnowanie. Na zebraniach, często w emocjonalny sposób, zarzucał pracownikom niekompetencję. Byliśmy świadkami, jak w ten sposób potraktował jedną z kierowniczek działów, której nie dał czasu, aby ↦

Adam Budak na konferencji prasowej z okazji 15-lecie MOCAK-u. Kraków, 15 stycznia 2026 r.

MAREK LASYK / REPORTER // MONTAŻ: TP

odniosła się do zarzutów; chwilę później zakończył zebranie. Pomyślałem wtedy, że to cyniczna forma upokorzenia.

Ludzie mieli być ganieni za nienależyte wykonywanie zadań, które albo wykraczały poza zakres ich obowiązków, albo przekraczały ich możliwości z powodu skrajnego przeciążenia. Sara: – To chyba mój główny zarzut wobec dyrektora. Nie można mnożyć projektów bez świadomości, ile trwa ich realizacja. Ja nawet poświęcając wolny czas nie byłam w stanie wykonać wszystkich jego poleceń. Ale dyrektora to nie obchodziło, za to pozwalało mu oskarżać nas o lenistwo.

Paweł z kolei wspomina sytuację z październikowego otwarcia sezonu, kiedy pracownicy prawie mdleli ze zmęczenia, a budżet został przekroczony; ledwo się udało te wystawy na czas otworzyć. – Skonfrontowałem się z dyrektorem i powiedziałem, że nie po to środowisko walczyło przez dwa lata o usunięcie Maszy Potockiej, żeby w tak rażący sposób łamano teraz elementarne prawa pracownicze. Mówiłem, że nikt – w tym dwójka pozostałych wicedyrektorów – nie kontroluje możliwości zespołu przy realizacji zadań. Reakcją było totalne wyparcie. Ta sytuacja była jednym z powodów mojego odejścia. Adam Budak został słusznie odwołany, ale nie tylko on powinien ponieść konsekwencje – dodaje.

Alfa z omegą

Moi rozmówcy twierdzą, że w MOCAK-u brakowało przejrzystej komunikacji. Wiele zależało od nastroju dyrektora, który uważał się za alfę i omegę, ale bywało, że zmieniał decyzję w jednej sprawie kilka razy dziennie. Odpowiedzialność za komplikacje spowodowane tym chaosem spadała na pracowników.

Na dodatek, jak twierdzi Dawid, polecenia przekazywał często mailem adresowanym do kilku osób bez precyzyjnego delegowania zadania. – A gdy kierowniczka była na urlopie, dyrektor polecenia dotyczące naszego działu wysyłał tylko do niej – opowiada Grażyna. – Później miał pretensje, że czegoś nie zrobiliśmy. Gdy tłumaczyłam, że nie mam prawa o niczym wiedzieć, bo informacja dotarła jedynie na skrzynkę szefowej, zmienił temat. Często tak robił, gdy się merytorycznie zbijało jego argumenty.

W swoim programie Budak kreślił wizję MOCAK-u jako muzeum współtworzonego przez wszystkich pracowników. Pisał tak: „Kolegialność, wzajemny szacunek i zrozumienie różnicy zdań, harmonijna wymiana i koordynacja działań, a także (...) otwartość na krytykę, i jej akceptacja (...) to (...) ważne aspekty instytucjonalnego etosu pracy. Idea czułego muzeum opiera się na zasadach zaufania i szczerości, a także redukowania hierarchiczności i jakichkolwiek innych form przywódczej dominacji i agresji”.

Była to perspektywa atrakcyjna, zwłaszcza że po skrajnie scentralizowanym modelu zarządzania przez Potocką wszyscy potrzebowali kreatywnego oddechu i poczucia, że mogą współtworzyć program muzeum. Budak o tym wiedział jeszcze przed konkursem.

Wedle większości moich rozmówców miał on być jednak jedynym kandydatem, który nie przeprowadził żadnych konsultacji z zespołem. Mimo wszystko, po obietnicach transparentnego muzeum „w dialogu”, w którym jest miejsce na wspólne działania, Sara wyobrażała sobie, iż usiądą przy stole, będą omawiać idee i dyskutować – rzeczywistość boleśnie to zweryfikowała. Najczęściej dostawali gotowe polecenia i byli obciążani odpowiedzialnością za błędy poprzedniej dyrekcji.

Magda, która w muzeum pracuje od kilkunastu lat, opowiada mi o spotkaniu z dyrektorem, na którym chciała przedstawić zakres obowiązków jej działu, a także podzielić się pomysłami na przyszłość. Zaczęła rozrysowywać swą wizję procesu zmian. Dyrektor przerwał jej: „Stop, mały update”. Po czym zakomunikował, że stworzył nowy dział: Public Program, który miał zajmować się tym, co wcześniej robił także dział Magdy. – Nie dostałyśmy nawet szansy, żeby opowiedzieć o swoim doświadczeniu. Poczułam się odsunięta – wspomina.

RAFAŁ SOSIN / CC BY-SA 3.0

Fikcja autonomii

Dział Public Program wzbudził poruszenie w załodze, ponieważ Budak zatrudnił w nim bez konkursu dwie nowe osoby. – Jako szefowa PR-u ostrzegałam go, że brak konkursu jest zagrożeniem wizerunkowym. Usłyszałam, że wystarczy tej transparentności: był już przecież konkurs na wicedyrektorkę – wspomina Agnieszka.

O kulisach powstawania nowego działu opowiada mi Paweł, jedna z zatrudnionych w nim przez Budaka osób. – Adam zaproponował mi pracę, w której chodziło o kuratorowanie programu wykładów, dyskusji i konferencji. Miałem działać autonomicznie, w obrębie osobnego działu z własnym budżetem. Najpierw okazało się, że w ogóle nie da się stworzyć takiego działu jak Public Program, bo od strony administracyjnej to skomplikowany proces, z czego dyrektor nie zdawał sobie sprawy. Nie było więc mowy o osobnym budżecie. Ostatecznie okazało się, że fikcją jest również autonomia merytoryczna, a do decydującej rozmowy na temat akceptacji programu w ogóle nie doszło, ponieważ dyrektor dosłownie uciekł z muzeum przed spotkaniem.

Potwierdza to Agnieszka, która opowiada, jak wraz z wicedyrektorem ds. fi-

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

MOCAK – Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie

nansowych sygnalizowali Budakowi, że nowy dział wymaga zmiany struktury organizacyjnej i akceptacji organizatora instytucji. Usłyszała wtedy: „Boże, nic się nie da zrobić w tym mieście".

Jowita dodaje: – Adam wielokrotnie na zebraniach szydził z faktu, że musi poinformować o czymś miasto albo że musimy przeprowadzić przetarg. Gdy pracownicy informowali o ograniczeniach prawnych, stawali się wrogami. Obrywało się nam, że „psujemy mu humor".

Podczas takich spotkań często brakowało miejsca na merytoryczne dyskusje, ale na osobiste wycieczki zawsze był czas. Sara: – Kiedy zespół zaczął się rozpadać, postanowiłam porozmawiać z dyrektorem. Im bardziej starałam się przedstawiać argumenty, tym częściej rozmowa przesuwała się w stronę ocen personalnych. W końcu usłyszałam, że już dwukrotnie zawiodłam jego zaufanie – wspomina. – Nie wiedziałam, do czego się odnosi, a potem pożałowałam, że poprosiłam o doprecyzowanie. Okazało się, że chodzi o moją nieobecność na imprezie zorganizowanej z okazji podpisania porozumienia o minimalnych wynagrodzeniach dla artystów. Byłam wówczas na ślubie brata ciotecznego, a mój urlop był wcześniej zgłoszony. Dyrektor uznał jednak, że nieobecność to przejaw braku oczekiwanego przez niego „commitment".

Budak miał też pretensje, że Sara nie oprowadziła po wystawach jego znajomych kolekcjonerów sztuki, choć zapewniła im godne zastępstwo, bo sama leżała wtedy w domu z ostrym zapaleniem zatok. – Usłyszałam, że dyrektora to nie musi interesować. Poczułam się nie jak człowiek, ale jak przedmiot.

Jowita i Sara mówią, że kwestionowanie L4 i urlopów miało zdarzać się regularnie. – Dyrektor stwierdził w mojej obecności, że zwolnienia lekarskie pracowników wynikają z niskiego etosu pracy i że w dzisiejszych czasach można je sobie „załatwić" – opowiada Jowita.

Harmonia na opak

„Harmonijna praca zespołowa to gwarancja sukcesu każdej instytucji" – pisał w programie Adam Budak.

Dziś brzmi to jak kiepski żart. Jowita uważa, że dyrektor zgodnie współpracował jedynie z frakcją złożoną z części nowo zatrudnionych, czym doprowadził do ogromnych podziałów. – Nawet przy Maszy nie były tak głębokie – zapewnia.

Z relacji Magdy wynika z kolei, że dyrektor zatrudniał osoby, które miały zadaniowy czas pracy i mniej obowiązków niż „zwykli" etatowcy. Jednak Budak tych dysproporcji nie dostrzegał. – Wciąż słyszeliśmy, że nic nie robimy.

Do jawnego konfliktu między starą gwardią a nową na szczęście nie doszło. Tak tłumaczy to Paweł: – Każdy dyrektor ma prawo zatrudnić nowych ludzi, ale on niepotrzebnie podgrzewał napięcia. Te konflikty zdołaliśmy jednak rozbroić – zapewnia. – Granica przebiegała moim zdaniem trochę w innym miejscu niż na linii „stara" i „nowa" ekipa. Część osób ze starego zespołu, w tym osoba, która broniła Maszy Potockiej na łamach prasy, miała na przykład bardzo dobre relacje z nowym dyrektorem.

Zdaniem Pawła najgorzej byli traktowani ci, którzy postawili mu granicę, zaproponowali inne rozwiązanie albo powiedzieli uczciwie, że wykonanie jakiegoś zadania nie jest możliwe. – Taka osoba prawie zawsze traktowana była jak ktoś, kto „oszukał" i „zawiódł", więc spotykała ją nieprzyjemna emocjonalna reakcja. Często ujawniał się też snobizm oraz klasizm dyrektora, stojący w sprzeczności z konsekwentnie budowanym przez niego wizerunkiem sympatycznego kuratora, przyjaciela artystów.

Muzeum dla elity

Jedną z metod kierowania MOCAK-iem była zasada „dziel i rządź". Agnieszka przypomina sobie, jak nią manipulował, twierdząc, że kierowniczka innego działu zwala na nią robotę. Tyle że obie kobiety pracowały ze sobą wcześniej i nie dały się skłócić.

Zdarzały się też niestosowne żarty. Daria opowiada, jak kiedyś poprosił ją, żeby nakręciła rolki z montowania wystawy i nagle nazwał osoby pracujące przy montażu „brudasami".

– Podczas trwającego tydzień marcowego otwarcia pełniłam podwójną rolę: fotografa i pracownika działu promocji. Siadło mi wtedy kolano do tego stopnia, że ciągnęłam nogę za sobą. Niemniej przyszłam do pracy; to było spotkanie z Ewą Partum. Dyrektor stał w towarzystwie jakichś artystów i zwrócił się do mnie słowami: „Wyglądasz jak ofiara III wojny światowej" – wspomina Daria.

Sara pamięta podobne zdarzenie. Podczas omawiania instalacji Konrada ↦

↦ Smoleńskiego i zagrożeń dla budynku poprzez działanie tzw. wytrząsarki basów, którą chciano zamontować pod trybunami, dyrektor miał powiedzieć, że proponuje z niej zrezygnować i rozdać wszystkim wibratory.

Były już dyrektor twierdził, że MOCAK ma tworzyć wyjątkowy model relacji z publicznością. Swoje podejście nazywał „specjalną formą gościnności" – „hospitality" to jedno z jego ulubionych pojęć. Metodą miały być tzw. spotkania preview, „w mniejszym gronie, żeby zobaczyć wystawy w inny sposób". W praktyce – co pokazał październik 2025 r. – była to np. wystawna kolacja dla ok. 100 osób, kosztująca prawie 30 tys. zł (połowę dał sponsor). „Gościnność" w MOCAK-u była gościnnością dla wybranych.

Agnieszka przypomina przy tej okazji, że poza preview trzeba było również dopiąć kwestie właściwego wernisażu.

– Dyrektor nakazał wyrzucenie z zaproszeń formułki RSVP, czyli prośby o potwierdzenie przybycia. Zdziwiło mnie to i zwróciłam uwagę, że potrzebujemy informacji o obecności poszczególnych gości, żeby chociaż wiedzieć, kogo przywitać. „Przecież ja nie będę nikogo witał na tym wernisażu. To jest wernisaż dla plebsu. Wszyscy ważni goście pójdą na preview" – usłyszała Agnieszka.

Osobliwa terminologia, której dyrektor używał w odniesieniu do „zwiedzających otoczonych opieką" miała powrócić. Sara pamięta, jak podczas spotkania online Budak przekonywał sponsora do wyłożenia pieniędzy na preview. Użył argumentu, że nie chce, aby jego goście musieli się mieszać z „krakowskim plebsem".

– Muzeum przestawało być egalitarne, ale Adam nie widział w tym problemu. Traktował MOCAK jak folwark – podsumowuje Daria.

Nie dałyście mi szansy

Rozpoczynając pracę w MOCAK-u w styczniu tego roku, Daria nie zdawała sobie sprawy ze skomplikowanej sytuacji wewnętrznej instytucji. Choć o swoich doświadczeniach mówi dziś z dystansem, sama została doprowadzona do łez.

– Tuż po wpłynięciu skargi na Budaka do urzędu miasta dowiedziałam się, że dyrektor chce rozmawiać ze mną i koleżanką z mojego działu – opowiada. – Zaczęło się zastraszanie i dręczenie psychiczne. Powiedział, że wie, kto zorganizował zbieranie podpisów pod skargą, oraz to, że my się też podpisałyśmy. Odmówiłyśmy udzielania tej informacji, ale on w kółko powtarzał: „Podpisałyście czy nie podpisałyście?!".

16 marca do krakowskiego magistratu wpłynęła skarga podpisana przez 37 osób, niemal dwie trzecie pracowników MOCAK-u. **Sformułowali wobec dyrektora 79 zarzutów.**

Potem, jak twierdzi Daria, miał mówić: „Nie dałyście mi nawet szansy!" oraz „Pracujemy ze sobą dopiero dwa miesiące!".

Po informacji Radia Kraków o rozpoczęciu prac miejskiej komisji w sieci zawrzało. Pojawiły się m.in. (prawdziwe) informacje o zakupionych do gabinetu dyrektora (i przez niego wybranych) meblach o wartości niemal 24 tys. zł (lampa, krzesło, stół, trzy fotele). A także o nowych 120 krzesłach do sali konferencyjnej – za 80 tys. zł.

– Dowiedziałam się o zakupie krzeseł przypadkiem – opowiada Magda, która pełniła w MOCAK-u funkcję koordynatorki dostępności. – Napisałam maila, że nie mają podłokietników i nie spełniają standardów dostępności. Dodałam, że podobne zakupy dobrze uzgadniać z muzealnymi koordynatorami. Odpowiedź na maila była złośliwa: „Informuję, że zakupiliśmy (...) także stojącą lampę do mojego gabinetu, poproszę, by skonsultowano z Tobą jakość tej lampy pod względem dostępności".

W kontekście finansów pojawił się również temat podpisanego przez MOCAK porozumienia w sprawie gwarantowanych minimalnych wynagrodzeń dla artystów za udział w instytucjonalnych wystawach. Deklaracje Budaka w trakcie zorganizowanego 4 grudnia 2025 r. spotkania, że „podpisaliśmy, choć nas nie stać", część środowiska artystycznego odebrała z sympatią. Te odczucia przydały się w chwili kryzysu wizerunkowego „czułego" dyrektora.

Murem za Budakiem

Ilekroć były już szef MOCAK-u ma problemy, pojawia się list w jego obronie. Tak było w 2019 r. w Pradze, gdy tuż po odwołaniu Budaka artyści z całego świata (był wśród nich Ai Weiwei) wnioskowali do czeskiego ministra kultury o zmianę decyzji. Podobnie było w 2024 r. w Hanowerze.

W Krakowie też powstał list: podpisało się pod nim kilkadziesiąt osób, głównie artystów. Wyrazili poparcie dla dyrektora, uznanego kuratora i krytyka sztuki, którego działalność – ich zdaniem – „daje nadzieję na rozwój placówki i jej włączenie do grona najlepszych muzeów tego typu w Europie".

Jednak zdaniem pracowników MOCAK-u, Budak uprzedmiotowił muzeum, a zarazem skupił się na grupie artystów, wobec których był niezwykle miły i którym stworzył doskonałe warunki, przy okazji mocno drenując budżet. Jeśli ktoś z nich znał tylko tę jego stronę, mogło mu się wydawać nie do pomyślenia, by jacyś tam – pewnie zblazowani – pracownicy odwoływali tak dobrego dyrektora.

Ludzie z MOCAK-u długo nie chcieli nagłaśniać tematu. Sara tłumaczy: – Mieliśmy takie podejście po zwolnieniu dyrektor Potockiej, że jesteśmy rodziną po przejściach, ale wszystkim zależało, by ludzie na zewnątrz nie wiedzieli o kolejnych problemach. Żeby wreszcie uwaga skoncentrowała się na tym, co robimy, a nie na wewnętrznych sprawach.

Sara postanowiła zabrać głos, bo skala nieprawidłowości – jej zdaniem – po prostu przekroczyła granicę. Mówi, że ludzie traktowali trudności jako chwilowe, które trzeba przeczekać. Potem, gdy w MOCAK-u było już bardzo źle, odchodzili w ciszy, nie mając żadnego zabezpieczenia. Robili to, bo byli na skraju wytrzymałości.

Wersja dyrektorska

Z dyrektorem Budakiem spotykam się kilka dni po jego odwołaniu. Jest rozczarowany, nie sądził, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Pytam, jak ocenia fakt, że to już czwarta instytucja, z którą rozstaje się w atmosferze skandalu. Przytaczam słowa jego przełożonego z Pragi, który publicznie zarzucił mu brak kompetencji komunikacyjnych. – Gdyby zrobił pan głębszy *research*, dotarłby do ludzi, którzy myślą inaczej – słyszę.

Zwracam uwagę na liczne historie o płaczu na spotkaniach w gabinecie. Wyżej przytoczoną opowieść Darii Adam Budak traktuje jak nieporozumienie.

– Pani, która się rozpłakała, myślała, że będzie musiała dużo robić, a ona nie miała nic do roboty – mówi.

Były dyrektor MOCAK-u prosi, by nie robić z niego potwora: – Pan wyolbrzymia. Tam nie było ludzkiej krzywdy. To jest po prostu niekompetentny zespół, który wymaga większej dyscypliny. Wcześniej nie było stresu, bo pracy było mało – dodaje.

Wszystkie „nieporozumienia" wynikały – zdaniem Budaka – z tego, że było za mało czasu, żeby się poznać. – Cóż to jest dziewięć miesięcy – mówi. Uważa, że po trzech latach rozumiałby się z zespołem bez słów.

Pytam o „krakowski plebs". – Kłamstwo, pomówienie – zapewnia. Kiedy naciskam, irytuje się. Pyta wręcz, czy ma odejść od stołu, przy którym siedzimy.

W kwestii zarzutu o wystawną kolację Budak informuje mnie, że w całości sfinansował ją sponsor (choć z dokumentów wynika, że ten pokrył koszty w połowie), a zakup mebli do gabinetu i krzeseł do sali konferencyjnej precyzyjnie konsultował z kierownikiem działu administracji (ten sam kierownik godzinę później przez telefon mówi mi, że dyrektor po prostu wydał polecenie zakupu). Dopytuję, czy lampa w gabinecie za trzy tysiące to nie przesada.

– No ale jaki jest problem? Wydaje mi się, że nowy dyrektor na to zasługuje.

Po serii zaprzeczeń (także w sprawie rzekomego kwestionowania L4), pytam, co jako dyrektor MOCAK-u ma sobie do zarzucenia. – Może brak cierpliwości, zbyt szybkie wprowadzanie zmian, uznanie, że to, co oczywiste dla mnie, oczywiste będzie też dla innych?

Potem dodaje, że zależało mu, by zespół był bardziej rozpoznawalny, a kuratorzy pokazywali się za granicą. Niewiele osób – zdaniem Budaka – było tym zainteresowanych. – Oczekiwałem, że zespół będzie bardziej otwarty, przyjazny i włączy się w proponowane zmiany – twierdzi.

Adam Budak potrafi urzekająco opowiadać o ideach. Jestem pewien, że szczerze w nie wierzy. Jednak w odpowiedzi na zarzuty mówi o nieporozumieniach, powołuje się na dorobek kuratorski, przerzuca odpowiedzialność na innych, mówi, że jego słowa wyrwano z kontekstu. Na koniec wręcza mi papierowe oświadczenie, w którym prace miejskiej komisji uznaje za pośpieszne, a odwołanie go ze stanowiska za bezpodstawne. Twierdzi, że komisja nie stwierdziła mobbingu.

■■■

W marcu 2025 r. głosowało za nim 9 z 11 członków komisji konkursowej. „Pan Budak posiada cenne kontakty branżowe i umiejętności zarządcze, które umożliwią realizację ambitnych projektów na wysokim poziomie" – podawał w komunikacie Urząd Miasta Krakowa.

Sara jest zdania, że MOCAK za jego kadencji przypominał designerską wazę. Z daleka świetnie się prezentowała, wystarczyło jednak się zbliżyć, by dostrzec, że jest popękana i ucieka z niej woda. Dla Sary wodą było to, co tworzy muzeum, czyli ludzie. O nich nikt nie pomyślał.

© TADEUSZ MAREK

Imiona większości bohaterów zostały na ich prośbę zmienione.

10. edycja **Nagrody im. Jerzego Turowicza**

■ Nagroda imienia Jerzego Turowicza została ustanowiona w 2012 roku, w setną rocznicę urodzin twórcy i wieloletniego redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego". Przyznawana jest za wybitne i oryginalne dzieło literackie, plastyczne, muzyczne, teatralne lub filmowe bądź pracę z dziedziny nauk humanistycznych, znajdujące się w kręgu wartości bliskich Jerzemu Turowiczowi i tematów, do których wracał on w swojej publicystyce i działalności publicznej.

■ Nagroda przyznawana jest za całokształt lub dzieło twórcy polskiego, żyjącego w chwili jej ogłoszenia, opublikowane bądź zaprezentowane w roku jej przyznawania oraz w ciągu dwóch lat kalendarzowych poprzedzających rok jej przyznania. Tegoroczna edycja obejmuje dzieła z lat 2024–2026.

■ Nagrodę stanowią statuetka oraz nagroda pieniężna w wysokości ogłaszanej co roku przez Zarząd Fundacji.

■ Wyboru laureata dokonują Zarząd i Rada Fundacji Jerzego Turowicza, ogłoszenie wyniku wyboru 15 października, wręczenie Nagrody 9 grudnia br.

■ Prawo zgłaszania kandydatur do Nagrody mają członkowie Zarządu i Rady Fundacji Jerzego Turowicza, redakcje „Tygodnika Powszechnego", „Znaku" i innych czasopism kulturalnych, wydawcy, związki twórcze oraz wcześniejsi laureaci.

■ **Zgłoszenia na piśmie** prosimy wysyłać na adres: Fundacja Jerzego Turowicza, ul. Leśna 21, 30-232 Kraków lub fundacja@turowicz.org do **30 czerwca 2026 roku**.

■ Właścicielem wszelkich praw materialnych i niematerialnych związanych z Nagrodą, a w szczególności takich jak logo i nazwa konkursu, jest Fundacja Jerzego Turowicza.

Jerzy Turowicz

FUNDACJA JERZEGO TUROWICZA

Projekt statuetki: Maciej Plewiński według pomysłu Krystyny Zachwatowicz-Wajdy

OGŁOSZENIE

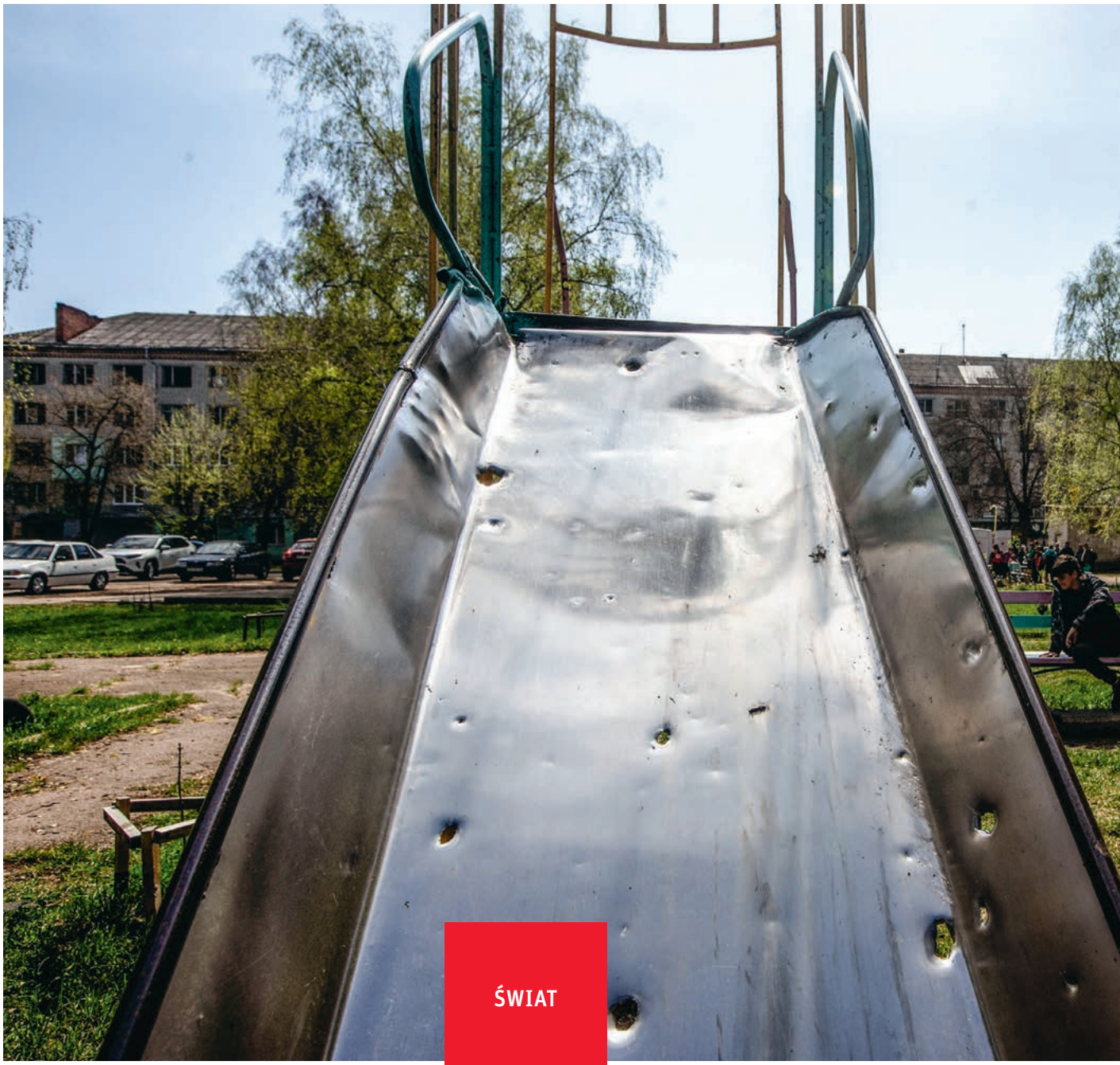

ŚWIAT

DLACZEGO SIĘ ZGŁOSIŁEM

Ukraiński pisarz, znany także w Polsce,
poszedł na ochotnika do armii.
Przez cztery lata był wolontariuszem, teraz jest operatorem drona.
Przyjaciołom z Europy objaśnia powody tej decyzji.

ANDRIJ LUBKA Z UKRAINY

FRANCISCO RICHART / ANADOLU / AFP / EAST NEWS

Na placu zabaw po rosyjskim ataku. Szostka w obwodzie sumskim, Ukraina, 4 maja 2026 r.

W styczniu tego roku z własnej woli zgłosiłem się do ukraińskiej armii – ja, do tej pory pisarz i wolontariusz. Decyzja ta zdumiała wielu moich przyjaciół, z zagranicy oraz z Ukrainy. Ci pierwsi pytali: dlaczego? Ci z Ukrainy: dlaczego dopiero teraz?

W tych dwóch pytaniach odbija się, niczym w lustrze, odmienność doświadczeń, tam i tutaj. Dla moich przyjaciół z Europy wojna jest, rzecz jasna, czymś strasznym, ale jednak odległym. Dla tych z Ukrainy wojna jest wszechobecna: dotyczy nas wszystkich i zmienia wszystkie sfery naszego życia. Jesteśmy w jej epicentrum.

Przyjaciele z Europy pytali: dlaczego się zgłosiłeś, skoro, pozostając w cywilu, mógłbyś być bardziej przydatny niż w mundurze. Jako pisarz jeździłeś za granicę, a twoje wystąpienia i teksty tam publikowane pokazywały prawdę o tej wojnie. Z kolei jako wolontariusz, który oddał swoje nazwisko i wiarygodność w służbie dobru wspólnemu, robiłeś zbiórki i kupowałeś auta terenowe, tak potrzebne na froncie (i kupiłeś ich 415 sztuk). To była konkretna robota, mógłbyś ją kontynuować. Dlaczego postanowiłeś to zmienić?

Natomiast przyjaciele z Ukrainy pytali: dlaczego zgłosiłeś się dopiero pod koniec czwartego roku inwazji, skoro nie poszedłeś walczyć w jej pierwszych dniach? Jaki miałeś powód, by zrobić to teraz, a nie na przykład w ubiegłym roku? Albo: czy nie mogłeś poczekać z tą decyzją do końca roku 2026? Może wojna skończy się do jesieni?

Dziękuję, kochana Julio!

Łatwiej mi odpowiedzieć na pytania z Ukrainy. Otóż na początku inwazji wydawało mi się, że będę bardziej użyteczny jako pisarz – jako ukraiński głos w świecie. Ponadto z czasem udało mi się zbudować zespół wolontariuszy i nieść konkretną pomoc naszej armii (co dawało również, nie ukrywajmy, moralną satysfakcję).

W 2025 r. nie zgłosiłem się, gdyż mimo wszystko wierzyłem, że Donald Trump będzie w stanie pomóc w zakończeniu tej wojny – jeśli nie w 24 godziny, to przynajmniej do końca roku 2025. Nastał jednak rok 2026, wojna trwa i postanowiłem nie odkładać już tej decyzji. Jestem przekonany, że ona nie skończy się szybko.

Fakt, że zgłosiłem się właśnie teraz, ma jeszcze jedną przyczynę, osobistą. Jesienią 2025 r. moja młodsza córka poszła do przedszkola i dobrze się tam zaaklimatyzowała, co jest ważne dla mojej żony, która od stycznia została sama z dwiema małymi córkami na głowie (druga, starsza, idzie jesienią tego roku do szkoły).

Rzadko, zbyt rzadko się o tym mówi: mężczyźni, którzy idą na wojnę, budzą ogólny szacunek w sferze publicznej. Natomiast ich żony, na których barkach spoczywa odtąd podwójny ciężar, już nie – choć dla mnie ich brzemię jest równoważne. Dziękuję, moja Julio. Kocham cię także za to!

Było mi wstyd

Gdy zaś idzie o pytania przyjaciół z Europy, to nie mam jednej odpowiedzi, heroicznej i jednoznacznej. Przyznam, że męczyłem się z tym przez te cztery lata, a na kilka miesięcy przed decyzją przestałem sypiać i nocami przewracałem się w łóżku. Miałem też huśtawkę nastrojów: czasem bardzo się bałem i wydawało mi się, że na froncie zginę od razu. Innym razem przeciwnie: myśl, że tam będę, napełniała mnie siłą i energią. W końcu, gdy podjąłem decyzję (było to w październiku), poczułem niewiarygodną ulgę.

Było to trochę tak, jakbym zrzucił z siebie ciężar, który męczył mnie przez minione cztery lata.

Główna przyczyna tego ciężaru jest prosta: było mi wstyd. Wstydziłem się, że w czasie, gdy żyję moim życiem na tyłach, ktoś inny, być może, płaci w tym momencie swoim życiem za bezpieczeństwo moje i moich bliskich. Że mężczyźni i kobiety na froncie bronią mnie i moich dzieci, choć przecież jestem, przy moich 38 latach, wciąż względnie młody i nadal zdrowy, więc jak najbardziej mógłbym ich tam zastąpić. ↦

Wielka niesprawiedliwość

↦ Zastąpić – to kluczowe słowo.

Przez minione ponad cztery lata pełnoskalowej wojny w Ukrainie – podobnie jak zapewne w każdym kraju, który doświadczał wojny, niezależnie od epoki historycznej – zaostrzyły się podziały w społeczeństwie, a nierówności stały się bardziej widoczne. Podczas wszystkich wojen jeden mechanizm jest odwieczny i podobny: im jesteś zamożniejszy i im więcej masz „układów", tym mniejsze prawdopodobieństwo, że trafisz do armii i na front.

To wielka niesprawiedliwość. Zwłaszcza wobec tych, którzy na tej wojnie są od kilku lat. Ukraińskie realia, czytaj: braki ludzi w wojsku, są tak poważne, że nie można odesłać do domu nawet tych weteranów, którzy na froncie są od czterech lat – bo nie ma ich kim zastąpić.

A gdy ktoś jest tam tak długo, to nawet gdyby miał przysłowiowe dziewięć kocich żyć, kiedyś one jednak mogą się skończyć. To zaś oznacza, że idąc na tę wojnę, idzie się jakby z biletem w jedną stronę. Bo wyrwać się z niej można tylko na dwa sposoby: ginąc lub odnosząc tak poważne rany, że odtąd jesteś inwalidą, niezdolnym do dalszej służby.

W takich okolicznościach bycie młodym i zdrowym mężczyzną gdzieś na tyłach – to wstyd. Wyobraź sobie: bawisz się ze swoimi dziećmi na placu zabaw. Obok, ze swoimi dziećmi, stoi kobieta, której mąż, wiesz o tym, od czterech lat jest na froncie. I napotykasz jej spojrzenie.

Zanim córka zapyta

Ale najważniejsze jest coś innego. W tym roku, jak wspomniałem już, moja starsza córka pójdzie do szkoły. Jest bystra, zadaje najtrudniejsze pytania na świecie. Nie chciałbym doczekać chwili, gdy spojrzy na mnie swoimi niebiańsko czystymi oczami i zapyta: tato, ojcowie wielu moich kolegów i koleżanek z klasy są na wojnie, a dlaczego ty nie?

Nie chciałbym zapaść się wtedy w ziemię pod ciężarem tego pytania, które sam sobie zadawałem od czterech lat. Nie miałbym też dobrej odpowiedzi, która nie brzmiałaby jak samousprawiedliwienie. Obrona własnego kraju – to sprawa wszystkich, więc teraz moja kolej. To uczciwe i sprawiedliwe. Chcę być dobrym ojcem, a najlepszy sposób wychowania to własny przykład.

Jest jeszcze inna przyczyna, dlaczego się w końcu zgłosiłem; mniej ważna, za to racjonalna. Jestem przekonany, że ta wojna potrwa jeszcze długo i na koniec walczyć będą musieli wszyscy. Może być też tak, że jej „gorąca" faza zostanie wstrzymana, ale dopóki nie zostaną rozstrzygnięte zasadnicze sprawy między Zachodem a Chinami (i ich autorytarnymi sojusznikami, w tym Rosją), spokojnego życia nie będzie nie tylko w Ukrainie, lecz także w Europie.

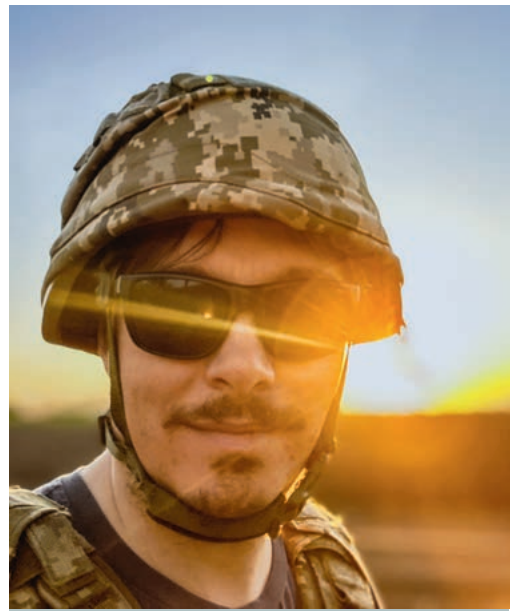

ARCHIWUM PRYWATNE

ANDRIJ LUBKA (ur. 1987) jest poetą i prozaikiem. W Polsce ukazały się jego tomy poezji, kilka powieści i opowiadania. Jest też tłumaczem z serbskiego, chorwackiego, angielskiego i polskiego.

Jeśli więc miałoby być tak, że prędzej lub później i tak zostałbym powołany, wolałem zrobić to na własnych warunkach. Ta logika się zresztą sprawdziła: kto w Ukrainie zgłasza się sam, może wybrać jednostkę, w której chce służyć, oraz przyszłą funkcję (na ile odpowiada to, rzecz jasna, kompetencjom). Najlepsze jednostki wojskowe konkurują o zmotywowanego ochotnika.

Jakby paradoksalnie to nie zabrzmiało, w armii czuję się teraz bezpieczniej – jestem przeszkolony i gotów bronić mojego życia. Teraz nie jest już tak, że ktoś inny musi bronić mnie i moich dzieci, gdyż sam potrafię o siebie zadbać. To niezwykłe uczucie.

Do końca naszych dni

Jest jeszcze jedna okoliczność, głupawa i egoistyczna, że aż niezręcznie mi o tym pisać. Przez całe życie marzyłem, by zostać dobrym pisarzem, napisać coś prawdziwego. Tymczasem wojna to doświadczenie, które określa całe moje pokolenie.

Jakkolwiek ona się skończy, wojenna trauma pozostanie z nami do końca naszych dni. Nie chciałem pozostawać jedynie obserwatorem. Wybaczcie, jeśli zabrzmi to jak wyznanie cokolwiek chłopięce, ale poszedłem do armii także po to, aby nie tylko znać prawdę, lecz mieć również moralne prawo, aby ją opisywać.

Ostatnią zaś kroplą, gdy idzie o moją decyzję, okazało się to, co na pierwszych etapach tej wojny pozwalało mi poczuć własną skuteczność i sprawczość na tyłach: wolontariat. Powiem szczerze: w tej dziedzinie wypaliłem się, maksymalnie.

Bo wolontariat, realizowany jako idea, jest jak wiersze dla poety: piszesz je, gdy masz natchnienie. Powinna to być też praca wykonywana w czasie wolnym, tymczasem pożerała ona coraz więcej i więcej czasu oraz sił, więcej niż główne zajęcie zawodowe. Z czasem zbieranie pieniędzy i utrzymanie tempa stawało się coraz trudniejsze, a poczucie satysfakcji z tej roboty, wykonywanej 24 godziny na dobę i siedem dni w tygodniu, było coraz mniejsze.

Żartuję sobie, że po prostu zachciało mi się przejść na inny poziom: z tych, którzy pomagają, stać się tym, komu się pomaga.

Rytuały pozwalają przetrwać

W styczniu zostałem więc żołnierzem. Początek służby to było dwumiesięczne podstawowe szkolenie. Z jednej strony – klasyczna musztra, która nie zmienia się od czasów imperium rzymskiego: wczorajszych cywilów uczy się znosić wysiłek fizyczny, posługiwać bronią i funkcjonować jako zgrany pododdział.

Podczas tego szkolenia najtrudniejsze były dla mnie warunki bytowe. Nasza jednostka przypominała w istocie rzym-

ski legion, który zatrzymał się na odpoczynek w marszu gdzieś w zimowym lesie. Życie w namiocie, gdy naokoło mróz sięga minus 25 stopni, to przygoda interesująca, ale nikomu bym jej nie życzył.

Kiedy masz prawie 40 lat, to właśnie brak codziennego komfortu staje się pierwszą próbą. Przyznaję, było ciężko, ale przetrwałem, a to za sprawą kilku prostych rzeczy. Miałem małe rytuały: budziłem się wcześniej i gotowałem w metalowym kubku moją ulubioną kawę. Mimo zmęczenia i zimna, codziennie zmuszałem się do starannej higieny. Przed snem choćby przez 15 minut, ale jednak czytałem książkę (elektroniczną).

Zarazem, choć było to szkolenie podstawowe, dostosowano je do realiów współczesnego frontu, a konkretnie do realiów wojny rosyjsko-ukraińskiej. Np. uczono nas, jak ostrzeliwać się z broni gładkolufowej, tzw. pompki, przed atakiem drona FPV, albo jak maskować swoje pozycje nie tyle już przed wrogą piechotą, co przede wszystkim przed rozpoznaniem z powietrza, przez wrogie drony. Także kurs medycyny taktycznej skupiał się bardziej na ranach od odłamków niż od kul.

Czego się boję?

Jednak wojna zmienia się szybciej niż szkoleniowe programy. To jak z nowym smartfonem: starzeje się w chwili, gdy wychodzisz z nim ze sklepu. Współczesna wojna rozwija się w szalonym tempie i myślę, że to właśnie zdolność adaptowania się do zmian, a nie siła ognia, zdecyduje o zwycięzcy.

Po kursie podstawowym „nowobraniec", jak nazywamy w Ukrainie rekruta, zaczyna szkolenie specjalistyczne. Wybrałem służbę w Siłach Systemów Bezzałogowych. Po pobycie w lesie, gdzie czułem się jak rzymski legionista z początków naszej ery, trafiłem więc od razu w wiek XXI, gdzie wojna prowadzona jest za pomocą tabletów, konsoli sterowniczych i gogli, przypominając – zwodniczo – grę wideo.

Co może wydać się dziwne, teraz najbardziej boję się nie śmierci, bo w takich warunkach śmierć to fatum, na które masz ograniczony wpływ – tutaj pozostaje liczyć na szczęście. Najbardziej boję się, że czas i dystans zniszczą moją rodzinę, zerwą moją więź z dziećmi. Że choć poszedłem ich bronić, to wojna i rozłąka zmienią nas tak bardzo, że nie będę miał do kogo wracać.

Czy żałuję mojej decyzji? Przeważnie nie. Czasem tylko czuję gorycz, a to za sprawą samotności. W takich momentach przypominam sobie jeden z moich pierwszych dni w armii, gdy, ubrany już w mundur wojskowy, zmarznięty, wszedłem do przydrożnego wiejskiego sklepiku, aby kupić gorącą kawę.

Starsza kobieta przygotowała kawę, podała mi papierowy kubek i zamiast podać cenę, powiedziała: dziękuję.

To wystarczy.

© ANDRIJ LUBKA

REKLAMA

Gdy wyjadą Amerykanie

IWONA WEIDMANN Z BAWARII

NATO | W Bawarii żołnierze ze Stanów Zjednoczonych są sąsiadami, klientami i pracodawcami. Zapowiadana redukcja ich obecności to sygnał końca epoki, w której bezpieczeństwo Europy spoczywało w cudzych rękach.

U.S. NAVY / ZUMA PRESS / BE&W

Sierżant sztabowa Michelle Borsani i jej syn Cael świętują jej ostatnie ponowne zaciągnięcie się do wojska. Zamek Dagestein w Vilseck w Bawarii. Niemcy, 6 maja 2025 r.

Vilseck, nieco ponad sześciotysięczne miasto, leży w Górnym Palatynacie na południu Niemiec. Za nim wyrastają koszary Rose Barracks, gdzie stacjonuje 2. Pułk Kawalerii Stanów Zjednoczonych. Amerykańscy żołnierze z rodzinami są tu od tak dawna, że stali się po prostu sąsiadami. Jednak niedługo może się to zmienić. Na początku maja Pentagon ogłosił, że w ciągu najbliższych sześciu-dwunastu miesięcy wycofa z Niemiec około 5 tys. żołnierzy. Waszyngton nie podał dotąd, których baz to dotyczy, ale niemieckie media wskazują na Vilseck.

Sąsiad z poligonu

Żeby zrozumieć, co to oznacza dla Bawarii i Niemiec, trzeba cofnąć się do 1985 r. W RFN stacjonowało wówczas blisko 250 tys. żołnierzy USA (i mniej więcej tyle samo członków ich rodzin oraz pracowników cywilnych). To w sumie pół miliona Amerykanów – rozsianych od bawarskich poligonów, przez palatynacki Kaiserslautern, po heskie centra dowodzenia w Wiesbaden – którzy kupowali u lokalnych rzeźników, strzygli włosy u miejscowych fryzjerów, chrzcili dzieci w kościołach, których nazw nie potrafili początkowo poprawnie wymówić. Wrośli.

Po zjednoczeniu liczba amerykańskich żołnierzy systematycznie malała. Obecnie jest ich w całych Niemczech blisko 40 tys.

Historia koszarów w Vilseck zaczęła się na długo przed przybyciem Amerykanów. Teren wojskowy istniał tu od początku XX wieku, a w latach 1937-1938 Wehrmacht rozbudował go do postaci dużego obozu garnizonowego, zwanego Südlager, zaplecza dla jednostek ćwiczących na poligonie w Grafenwöhr. Armia USA przejęła go w kwietniu 1945 r.

Grafenwöhr to dziś jeden z jej największych obiektów szkoleniowych poza Stanami Zjednoczonymi (obok Vilseck w Bawarii działają jeszcze koszary w Hohenfels i Garmisch-Partenkirchen). To właśnie stąd 2. Pułk Kawalerii wyruszał na misje do Polski i krajów bałtyckich, regularnie wspierając wschodnią flankę NATO.

Tygrysy Europy

Zależność od stacjonujących w regionie Amerykanów ma konkretną cenę. Thorsten Grädler, niedawno wybrany na burmistrza Vilseck, szacuje, że ich obecność przynosi tamtejszej gospodarce 650-700 mln euro rocznie, daje też około 3 tys. miejsc pracy cywilom.

– Sama obecność amerykańskich żołnierzy ma bardzo ważny wymiar gospodarczy – mówi „Tygodnikowi" dr Karol Janoś, ekspert ds. niemieckiej polityki bezpieczeństwa z Instytutu Zachodniego. – W całym kraju na rzecz sił zbrojnych USA pracuje bezpośrednio około 10 tys. Niemców, a przedsiębiorstwa je obsługujące zapewniają kolejne około 70 tys. miejsc pracy – dodaje.

W regionach słabiej rozwiniętych gospodarczo armia amerykańska bywa głównym pracodawcą i inwestorem. Wyjazd tysięcy żołnierzy może więc mocno uderzyć w lokalną gospodarkę. Fatmir Fazliji, właściciel pizzerii Friends Pizza w Vilseck, mówi wprost: jeśli wyjedzie 5 tys. żołnierzy, odczuje to każdy. Robert Grassick, który prowadzi salon samochodowy nastawiony na klientów wojskowych, zbudował swój biznes w 90 proc. na Amerykanach. Premier Bawarii Markus Söder zaapelował do rządu federalnego o działania rekompensujące zapowiadaną redukcję. Minister gospodarki landu Hubert Aiwanger zapewnił, że region ma gotowy plan wsparcia dla dotkniętych gmin.

Rządzący muszą działać szybko. Utrata tysięcy miejsc pracy może przełożyć się na rosnące niezadowolenie społeczne. Na którym najwięcej może zyskać prawicowo-populistyczna Alternatywa dla Niemiec, która już w ostatnich wyborach samorządowych osiągnęła w Bawarii rekordowe wyniki. Paliwem dla AfD jest obecnie stagnacja niemieckiej gospodarki. Rządząca od dziesięcioleci landem chadecka CSU tego trendu nie może lekceważyć.

Ale liczy się nie tylko ekonomia. Żołnierze, pracownicy cywilni i ich rodziny rozsiani są po około 250 miejscowościach regionu. Mieszane małżeństwa, dzieci w tych samych szkołach. Bo to coś więcej niż sąsiedztwo. – Nigdy nie znałem innego Vilseck niż to, które żyje ramię w ramię z Amerykanami – mówi burmistrz Grädler.

Parasol Waszyngtonu

Przez dekady Niemcy nie musieli się pytać o sens obecności Amerykanów. Odpowiedź była oczywista: chronią nas. Po II wojnie światowej żołnierze USA mieli dbać o to, by historia się nie powtórzyła. Potem stali na linii potencjalnego sowieckiego natarcia. Po zjednoczeniu Niemcy stały się jedną z najważniejszych baz logistycznych dla amerykańskich operacji wojskowych, między innymi na Bliskim Wschodzie. Schowane pod waszyngtońskim parasolem, systematycznie ograniczały wydatki na obronność. W 1963 r. RFN przeznaczała na zbrojenia prawie 5 proc. PKB. W 2015 r. było to już tylko 1,1 proc. Teraz Niemcy próbują nadrobić zaległości.

A jak patrzą dziś na Amerykanów? Długoletnią sympatię, którą Joe Biden zdołał odbudować, Donald Trump skutecznie nadwyrężył. Czego pierwsze sygnały było widać już podczas jego pierwszej kadencji. W 2019 r. 41 proc. Niemców uznało Trumpa za największe zagrożenie dla światowego pokoju (przywódcę Korei Północnej Kim Dzong Una wskazało 17 proc., prezydenta Rosji Władimira Putina – 8 proc.). Dziś liczby są inne. Według Instytutu Allensbacha 65 proc. Niemców postrzega USA jako zagrożenie dla pokoju na świecie. – To historycznie bardzo wysokie wskazania. Tylko niespełna jedna trzecia Niemców wierzy, że w razie ataku lub zagrożenia dla jednego z państw europejskich Stany Zjednoczone przyszłyby mu z pomocą – podkreśla dr Janoś.

Opinie o wyjściu Amerykanów zależą od tego, gdzie o nie pytamy. – A niech się wycofują, nikt ich tu już nie chce – mówi Oliver, sześćdziesięcioletni dyrektor zarządzający jedną z bawarskich firm. – Sami sobie poradzimy.

Inaczej jest tam, gdzie z Amerykanami żyją na co dzień. W Vilseck mało kto patrzy na amerykańskiego żołnierza przez pryzmat działań Trumpa w Wenezueli czy ataku na Iran. Choć skutki tych konfliktów odczuwają wszyscy, choćby płacąc za paliwo na stacji benzynowej.

Anatomia strachu

W Niemczech strach przed wojną z Rosją jest odczuwalny. Z badań przeprowadzonych na początku roku przez Uniwersytet w Lipsku i Politechnikę Monachijską konfliktu militarnego państw NATO z Rosją obawia się 62 proc. Niemców. 42 proc. jest zaniepokojonych, że konflikt ten mógłby dotyczyć bezpośrednio Niemiec.

Dlatego nie samo wycofanie 5 tys. żołnierzy z Bawarii jest problemem. Bardziej niepokojąca wydaje się rezygnacja z planów rozmieszczenia amerykańskiego batalionu z systemami Typhon, zdolnymi do odpalania rakiet manewrujących Tomahawk. – Żadne państwo europejskie nie dysponuje dziś porównywalnymi systemami. Odejście od tych planów to sygnał znacznie poważniejszy niż samo ograniczenie liczby żołnierzy – mówi dr Janoś. Europejskie projekty zastępcze, rozwijane między innymi we współpracy Niemiec i Wielkiej Brytanii, mają być gotowe najwcześniej za dziesięć lat.

Przyjedź mamo na przysięgę

Berlin nie zamierza jednak czekać. Już w maju 2025 r., w pierwszym przemówieniu w Bundestagu, kanclerz Friedrich Merz zapowiedział, że przeznaczy wszystkie niezbędne środki, by Bundeswehra stała się najsilniejszą konwencjonalną armią w Europie. – Siła odstrasza agresję, słabość do niej zaprasza – powiedział.

W kwietniu tego roku Ministerstwo Obrony ogłosiło pierwszą w historii Niemiec strategię wojskową, zakładającą rozbudowę sił zbrojnych. Bundeswehra ma docelowo liczyć 260 tys. żołnierzy zawodowych i 200 tys. rezerwistów. Na razie to dość odległe cele. Na początku tego roku aktywnych żołnierzy było niespełna 186 tys., niektóre bataliony obsadzone są w zaledwie 30-50 procentach. Niemcy zobowiązały się też przeznaczać na zbrojenia 3,5 proc. PKB do 2029 r., a do 2035 r. 5 proc., zgodnie z celami NATO.

Wprawdzie nasi zachodni sąsiedzi chcą silnej armii, ale niekoniecznie chcą w niej służyć. Ponad 80 proc. społeczeństwa popiera rozbudowę Bundeswehry i zwiększenie wydatków obronnych, ale tylko 38 proc. deklaruje, że w razie ataku chwyciłoby za broń (w pełni zdecydowanych na to jest jedynie 16 proc.). Rząd próbuje temu zaradzić. Od początku roku wszyscy osiemnastoletni mężczyźni w Niemczech muszą wypełnić ankietę o gotowości do służby wojskowej. Ci, którzy nie odpowiedzą lub podadzą fałszywe dane, mogą zostać ukarani grzywną. Rośnie natomiast liczba młodych Niemców, którzy odmawiają służby w wojsku ze względu na sumienie.

Napięcie wywołane informacjami o prawdopodobnym wycofaniu części amerykańskich wojsk z Vilseck pokazuje, przed jakimi problemami stanęli dziś Niemcy. Przez dziesięciolecia bezpieczeństwo było dla nich kwestią zewnętrzną. Mniejsze zaangażowanie Amerykanów zamyka tę epokę. Teraz najtrudniejsze zadanie: zadbać o bezpieczeństwo przy pomocy własnej armii, na co znaleźć trzeba środki budżetowe oraz – co ważniejsze – polityczną wolę. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 620/24 toczy się postępowanie z wniosku Elżbiety Radwańskiej z udziałem: Wojciecha Radwańskiego, Jadwigi Radwańskiej i Agnieszki Radwańskiej-Sołtys o stwierdzenie, że Jerzy Radwański s. Juliana i Zofii stał się z dniem 4 listopada 1971 roku z mocy samego prawa właścicielem nieruchomości składającej się z działki ewidencyjnej nr 990, położonej w Brzeziu, obręb gminy Kłaj, objętej Lwh nr 883 – Brzezie.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i wykazali swoje prawa do wskazanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie będą pominięci w dalszym toku postępowania.

BALINT SZENTGALLAY / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Péter Magyar po zaprzysiężeniu na premiera Węgier. Budapeszt, 9 maja 2026 r.

Czwarta Republika

DOMINIK HÉJJ

WĘGRY | Na Węgrzech rozpoczęła się era Tiszy. Péter Magyar zastąpił Viktora Orbána, kończąc sześcioletni okres rządów dekretami.

W sobotę dziewiątego maja rozpoczęła się nowa „era" w węgierskiej polityce. Takie hasło jest lansowane przez zwycięską Tiszę, znajduje jednak zrozumienie także wśród politologów. Otóż nie mamy do czynienia ze zwykłym przekazaniem władzy, ale z potencjalną całkowitą przebudową państwa. Podobny stan zapanował w węgierskiej polityce wiosną 2010 r., po zwycięstwie koalicji Fidesz-KDNP – tej samej, która teraz pożegnała się z władzą. Nowy początek ma być całkowitym odcięciem się od przeszłości. Ma także sprawić, by rządy takie jak poprzedników już nigdy się nie powtórzyły. Stąd też zapowiedź wręcz nowej republiki.

Sposób przypieczętowania tej transformacji ustrojowej nie jest jeszcze znany. Na razie mamy zapowiedź zmian w konstytucji, a także opracowania całkowicie nowej ustawy zasadniczej. Jest też przekonanie, że to, co teraz dzieje się w węgierskiej polityce, na stałe zapisze się na kartkach historii.

PRZEŁOM | Inauguracyjnej sesji Zgromadzenia Krajowego i wyborowi Pétera Magyara na premiera towarzyszyła wielka impreza na Placu Kossutha (przed parlamentem). W jej trakcie minister zdrowia, Zsolt Hegedűs, ponownie odtańczył taniec zwycięstwa, który przyniósł mu ogromną, międzynarodową popularność. Najwytrwalsi zakończyli zabawę o 1:30 w nocy.

Ale czas karnawału niebawem się skończy. Już niedługo wielkiemu społecznemu entuzjazmowi zacznie towarzyszyć wszechogarniające poczucie potrzeby sprawstwa – udowodnienia, że coś naprawdę się zmienia. To tym bardziej kluczowe, że Tisza niosła zwycięstwo na barkach najmłodszej grupy wyborców.

Rządzący mają tego pełną świadomość. Jeszcze w sobotę uchwalono pakiet ustaw, który pozwala na nieprzedłużanie obowiązującego na Węgrzech od 2020 r. stanu zagrożenia. Najpierw wprowadzonego z powodu pandemii covid-19, a następnie – od 24 maja 2022 r. – ze względu na trwający na terytorium Ukrainy konflikt zbrojny, traktowany jako katastrofa humanitarna, której węgierskim następstwom należy zapobiec.

Po raz ostatni Fidesz przedłużył stan zagrożenia w październiku 2025 r. – na okres sześciu miesięcy. Dokładnie 13 maja nastąpił jego koniec. Oznacza to, że po raz pierwszy od sześciu lat premier przestaje rządzić poprzez rozporządzenia i ustaje supremacja władzy wykonawczej nad pozostałymi. A to nie tylko symbolicznie ważna sprawa.

FACHOWCY | Gabinet Pétera Magyara to rząd fachowców – osób, które w swoich dziedzinach osiągnęły sukces, także komercyjny, i z których doświadczenia premier postanowił teraz skorzystać. Nie ze względu na ich polityczne umocowania, ale eksperckie doświadczenie. Zresztą żaden ze 141 posłów frakcji Tisza nigdy wcześniej nie zasiadał w parlamencie (w liczącym 52 posłów klubie Fidesz-KDNP jest 15 nowych parlamentarzystów, a w Mi Hazánk tylko jeden na sześciu).

Może dlatego niemal każdego dnia dzieje się coś, czego nikt się nie spodziewał. Trudno przecież było sobie wyobrazić, że Tisza będzie rządzić w sposób w zasadzie nieograniczony. Stąd choćby powtarzany jak mantra apel, by prezydent Tamás Sulyok ustąpił najdalej do końca tego miesiąca. Przybiera on czasem wręcz bezczelną formę. We wtorek 12 maja, w trakcie zaprzysiężenia rządu przez prezydenta, Péter Magyar ostentacyjnie fotografował się bez stojącego obok Sulyoka. Wcześniej, jak mówił, poinformował prezydenta, że nie życzy sobie zdjęć w jego obecności, gdyż – tu cytat – „nie będzie go potem z nich retuszował".

ROZLICZENIA | Péter Magyar rozpoczął bieżący tydzień od wejścia do dotychczasowej kancelarii premiera na Wzgórzu Zamkowym (nowy premier już wcześniej zaznaczył, że nie będzie z tego budynku korzystał) i oprowadzeniu sympatyków po tym gmachu „na żywo" w swoich mediach społecznościowych.

Kolejnego dnia opublikował film z wnętrza „ministerstwa propagandy", w którym zasiadał Antal Rogán, a którego wnętrza były dotychczas skrzętnie przed opinią publiczną chronione. Zwiedzanie ich z pewnością daje wielu zwolennikom Tiszy satysfakcję, bo przypomina choćby zwiedzanie posiadłości Wiktora Janukowycza po jego ucieczce do Rosji w 2014 r. Trzeba jednak pamiętać, że do lutego 2024 r. częścią tego krytykowanego systemu był sam Péter Magyar, a jego odejście z partii zostało wymuszone przez sprawy rodzinne – rozwód z prominentną działaczką Fideszu, Judit Vargą, ministrą sprawiedliwości.

Budowanie „nowych Węgier" odbywa się pod parlamentarną nieobecność Viktora Orbána oraz innych jego bliskich współpracowników (np. László Kövéra, b. przewodniczącego Zgromadzenia Krajowego), którzy nie przyjęli mandatów. Orbán ma zająć się przebudową partii i przygotowaniem jej do ponownego przejęcia władzy. Co ciekawe, były premier i lider Fideszu wciąż nie dostrzega przyczyn swojej porażki. Sprowadza je nie do błędów w rządzeniu, ale do zmiany kulturowej, którą ma tłumaczyć masowe poparcie Tiszy przez ludzi do 40. roku życia. Viktor Orbán pozostaje więc w swojej mentalnej bańce, w której brak miejsca dla samokrytyki. Ale też niesiona społecznym i europejskim optymizmem Tisza powinna pamiętać o pokorze – jednej z najważniejszej cnót. Jeśli nie chce popaść w zgubne samouwielbienie. ©

REKLAMA

Miss od pociągów

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISZPANII

KORUPCJA | Nie tylko Polska zna afery z zakupem sprzętu w czasie pandemii i obsadą spółek publicznych. Hiszpanie martwią się, że w globalnym rankingu przekupstwa wypadają coraz gorzej.

Trzech oskarżonych, osiemdziesięciu świadków i miliony wydane na maseczki poza procedurami: to jedna z najgłośniejszych od lat spraw korupcyjnych w Hiszpanii. Dotyczy zarządzania zamówieniami publicznymi w czasie pandemii. Wyrok ma zapaść pod koniec maja.

KASA I WILLA | Prócz José Luisa Ábalosa, ministra transportu z Partii Socjalistycznej (PSOE) z lat 2018-21, na ławę oskarżonych trafili jego doradca Koldo García i przedsiębiorca Víctor de Aldama. Były minister oskarżony jest o łapówkarstwo, handel wpływami, sprzeniewierzenie środków publicznych, udział w organizacji przestępczej, wykorzystanie poufnych informacji i fałszerstwo. Od listopada jest w areszcie.

Víctor de Aldama, który zdecydował się współpracować z prokuraturą, twierdzi, że ówczesnemu ministrowi i jego doradcy zapłacił ok. 4 mln euro łapówek. Ponadto miał im płacić po 10 tys. euro miesięcznie „na stałe wydatki". García zaprzecza temu i przekonuje, że „jedyną" troską ministra było „zdobycie materiału sanitarnego". Ábalosowi prokuratura zarzuca też korzystanie z mieszkania w Madrycie i willi w Kadyksie – wlicza to jako łapówki na podstawie zeznań przedsiębiorcy.

Choć sprawy korupcyjne potrafią ciągnąć się w Hiszpanii nawet kilkanaście lat, to proces byłego ministra bardzo przyspieszył. Przesłuchania świadków zaczęły się w kwietniu, a kończyły już na początku maja. Jako ostatni zeznawał były minister. „Raport policji kończy się tabelą, która przypisuje mi 94 400 euro o nieznanym pochodzeniu. To cały dowód przeciw mnie w sprawie tych milionów, które rzekomo miałem przywłaszczyć" – bronił się i zaprzeczył wszystkim oskarżeniom.

ALBERTO ORTEGA /EUROPA PRESS / GETTY IMAGES

Była Miss Asturii, Claudia Montes, przed procesem „w sprawie maseczek" przed Sądem Najwyższym w Madrycie. Hiszpania, 8 kwietnia 2026 r.

ŁATWA ROBOTA | W trakcie przesłuchań w Sądzie Najwyższym wyszły też na jaw przypadki obsadzania znajomymi kierowniczych posad w spółkach państwowych. Opinię publiczną bulwersuje zwłaszcza przypadek Claudii Montes. Ta była miss Asturii i pracowniczka perfumerii dostała pracę w spółce kolejowej zależnej od ministerstwa transportu. Formalnie była zatrudniona od grudnia 2019 r. do lutego 2022 r., podczas gdy faktycznie do pracy w ogóle nie chodziła.

Gdy ówczesny dyrektor firmy José Ángel Mendez chciał zwolnić ją dyscyplinarnie, z dnia na dzień stracił posadę. Kobieta zaś, zamiast zwolnienia za nieobecności, dostała awans. W sądzie zeznała, że wprawdzie nie pojawiała się w pracy, ale za to codziennie rano szła do biblioteki, aby czytać książki związane z pociągami. „Chciałam wiedzieć wszystko o pociągach" – mówiła 46-latka.

Kobieta stanowczo zaprzecza, że dostała pracę po znajomości. Zapewnia, że wysłała CV przez portal z ofertami pracy. Claudia Montes to ważny świadek, bo choć nie zjawiała się w pracy, to wiedziała, że w firmie z dnia na dzień „znikały pieniądze".

Z kolei była partnerka ministra, Jéssica Rodríguez, wprost przyznała, że przez dwa lata nie chodziła do pracy. Była zatrudniona w dwóch spółkach zależnych od ministerstwa transportu, za co, jak wylicza dziennik „El País", dostała blisko 44 tys. euro pensji.

WSKAŹNIK ROŚNIE | W swoim programie w telewizji Telecinco dziennikarka Ana Rosa Quintana tak komentowała ten nepotyzm: „W spółkach kolejowych zbyt wiele osób zatrudnia się przypadkowo i po znajomości. Niekompetentne osoby to nie anegdota".

Skutki tego mogą być fatalne. W grudniu 2025 r. w okolicy miasta Adamuz w Andaluzji doszło do czołowego zderzenia dwóch pociągów. „Wiemy, że tor kolejowy w Adamuz zepsuł się dużo wcześniej – był uszkodzony przez 22 godziny i nic z tym nie zrobiono. Zaniedbanie doprowadziło do śmierci 46 osób" – mówiła Ana Rosa Quintana.

Tymczasem w kraju rośnie wskaźnik korupcji. Sędzia Victoria Rosell podkreślała w telewizji publicznej TVE, że współczesna korupcja to już nie „walizki z pieniędzmi", lecz wpływy, nieruchomości i stanowiska w spółkach publicznych. W Indeksie Percepcji Korupcji 2025, publikowanym przez Transparency International, Hiszpania osiągnęła najgorszy wynik od 30 lat, zajmując 49. pozycję. Wyprzedzają ją nawet Arabia Saudyjska i Rwanda.

NA PRZEMIAN | José Abreu Alemán, autor pracy doktorskiej o korupcji, która stała się w tych dniach słynna, zauważa, że w latach 2000-20 na wszystkich szczeblach terytorialnych kraju ujawniono ponad 3,7 tys. przypadków korupcji. Większość w trzech regionach: Andaluzji, Walencji i Galicji.

Jeśli zaś chodzi o partie polityczne, za trzy czwarte przypadków odpowiadają dwie formacje: Partia Ludowa (ponad 40 proc.) i Partia Socjalistyczna (ponad 38 proc.). Od lat 80. zeszłego stulecia w Madrycie rządzą naprzemiennie premierzy z tych dwóch ugrupowań. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”

W świecie, w którym informacje coraz częściej przybierają formę skrótów, nagłówków i emocjonalnych impulsów, warto sięgnąć po medium, które proponuje coś więcej niż szybkie reakcje. Wybierając prenumeratę, inwestujesz nie tylko w dobre czytanie, ale też w stały kontakt z myśleniem, które wykracza poza codzienny informacyjny szum.

„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie. Treści „Tygodnika Powszechnego” są unikatowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

Kupując lub przedłużając prenumeratę roczną „Tygodnika Powszechnego” w maju, otrzymujesz specjalną ofertę:

OFERTA CENOWA PRENUMERATY ROCZNEJ

InPost	~~cena 1000 zł~~	**nowa cena 686 zł**
Odbiór w Żabce	~~cena 736 zł~~	**nowa cena 688 zł**
Zamówienie prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost oraz z odbiorem w Żabce można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl		
Poczta	~~cena 734 zł~~	**nowa cena 687 zł**
Poczta + wydania specjalne	~~cena 834 zł~~	**nowa cena 787 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

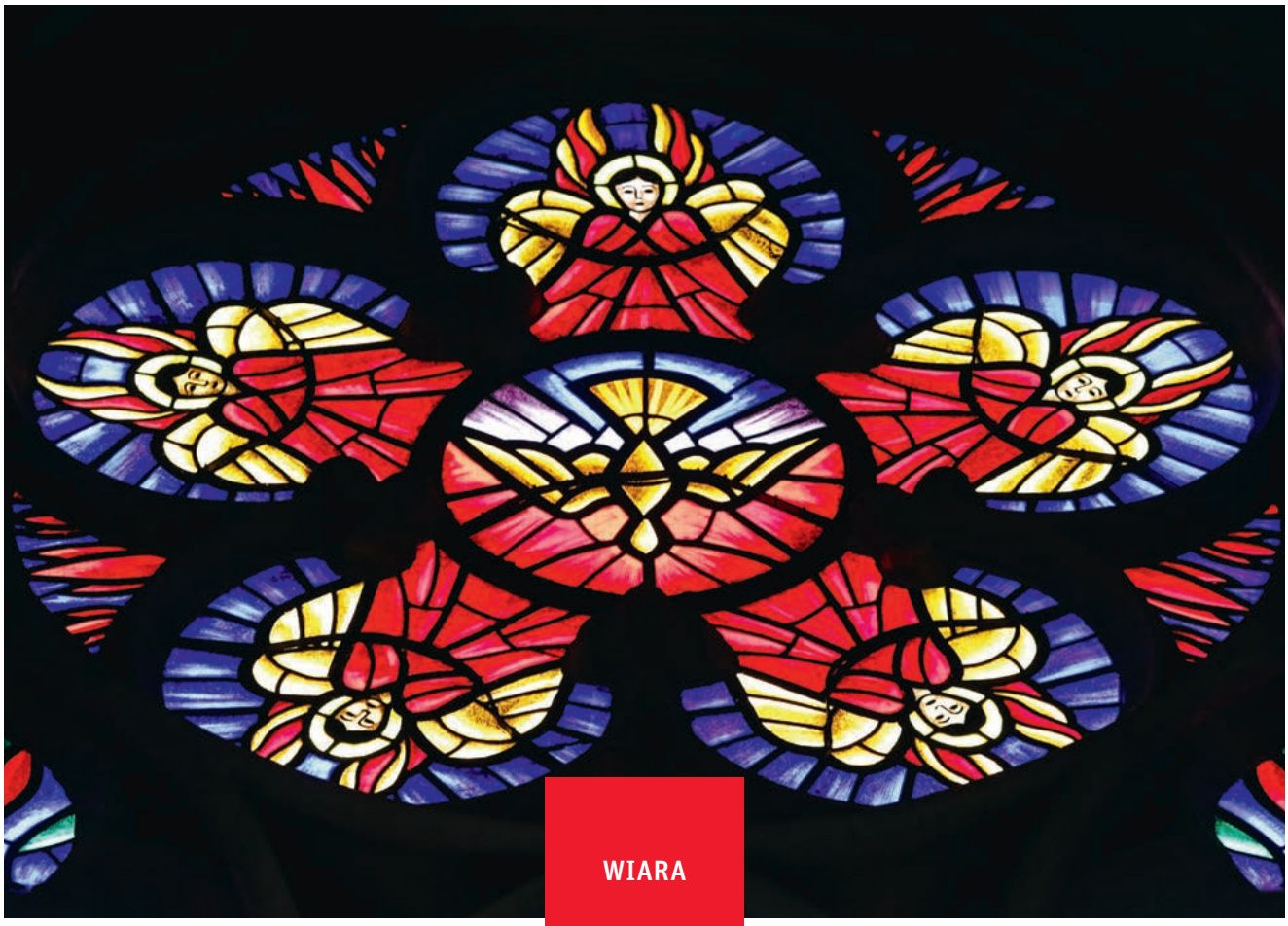

PASCAL DELOCHE / GODONG / BE&W

WIARA

Święta Trójca, witraż, Kościół Wotywny w Wiedniu

PRZYBĄDŹ, DUCHO ŚWIĘTA

Czy w Bogu – w Trójcy Świętej – jest miejsce na kobiecość? Żeńska forma dla trzeciej osoby wyrywa naszą wyobraźnię z patriarchalnych ram. Odkrywamy Boga, który nie jest zamknięty w jednej płci.

ZUZANNA RADZIK

Ojciec, Syn i ptak – tak w ikonografii. W zaimkach: on, on i on. Biedny Duch Święty, bo choć z hebrajskiego nazwany jest *ruah* (żeńsko), a po grecku *pneuma* (nijako), to po łacinie i po polsku brzmi twardo i męsko.

Z tym małym niuansem rodzaju gramatycznego tracimy lekkie zróżnicowanie płci w Trójcy. W Bogu, którzy rzecz jasna płci nie ma, bo jakby miał mieć, ale uparcie w kulturze przedstawia się Świętą Trójcę jako starca, młodzieńca i gołębia. Do tego, na trzy osoby dwie brody. Więc ostatecznie upłciowiony jest na potęgę. On, on i on. W Trójcy jedyny.

Zaimki są trochę ciasne

Czasem próbuję rozepchać tę płciowo ciasną przestrzeń. Przeciągnąć Ducha na żeńską stronę. Dla zaczepki, dla zabawy – poważnej, duchowej zabawy w elastyczność religijnej wyobraźni, uwalnianie jej od idoli obrazów, do których przywykliśmy. Duch poddaje się temu łatwiej niż

Ojciec czy Syn. Ducha Święta – piszę, a korekta zgrzyta zębami, ale rozumie. Duchini Święta. Albo moje ulubione: Duszyca Święta. Co czytelnik lub czytelniczka czasem odnotowują w liście do redakcji, z zadowoleniem lub bez.

Najczęściej jednak pracuję w zaimkach, podmieniam on na ona. Łatwo, niewinnie, celowo, chcąc delikatnie zmącić odruch używania męskich słów i obrazów. Albo wzdycham modlitewnie (to najłatwiej): Pocieszycielko! Przyjdź!

Po co mi to? Język i obrazy to potężne narzędzie religijnej kultury, kształtujące nasze wyobrażenia i układające potem słowa modlitw. Feministyczne teolożki szybko poczuły, że trzeba krytycznie podejść właśnie do języka i obrazów. A potem kreatywnie je podmienić, zaproponować nowe. Z tym nowym bywa jednak ciężko, bo nie jest łatwo zrezygnować ze starych hymnów i nawyków. Nawet samym feministkom. Niełatwo mierzyć się z własnymi językowymi nawykami.

Ale nawet mała zmiana, drobne przesunięcie otwierają nowe światy. Mam przyjaciółkę, która od lat mówi i modli się, używając żeńskiej formy: Boga. Potykamy się o tę formę w rozmowach i modlitwie z nią, ale pozytywnie. Zatrzymuje, zwraca uwagę, otwiera na inne możliwości.

Płeć bez właściwości

Eksperymentuję, ale potem czytam u innych feministycznych teolożek, że trzeba z tym uważać. Duch Święty jest najmniej rozwiniętą teologicznie osobą Trójcy, najbardziej wypełniającą luki i szczeliny. Służebną, relacyjną, bez właściwości, bez własnego głosu... No więc... żeńską? Tak stereotypowo?

Jak jeszcze dodamy żeńskie zaimki, to zrobimy z Ducha właśnie stereotypową kobiecą postać w Trójcy. A chyba nie o to chodzi. Wprost ujęła to dwie dekady temu Nicola Slee, pisząc: „Ukrycie, anonimowość, niewidoczność kobiet jest lustrzanym odbiciem braku twarzy i imienia Ducha w chrześcijańskiej liturgii, teologii i życiu".

Przyjmuję ostrzeżenie, ale testuję dalej. Partyzancko zaczepiam, bo nie mam przecież szans zrobić skutecznie z Duszycy Świętej stereotypowej kobiety bez właściwości. Zmienić jej obrazu w oczach miliarda katolików. Ale pozaczepiać myśl zawsze warto albo pozaszczepiać pomysły, które wietrzą głowę. W końcu cokolwiek powiemy o Bogu, to nam się Bóg wymknie. Tak jest i tu.

Boga Towarzyszka

Ciekawe, jak niewiele mamy w tradycji chrześcijańskiej modlitw – może poza Kościołem syryjskim – kierujących się do Pocieszycielki bezpośrednio. Zgodnie jednak przywołujemy, błagamy o przyjście, zapraszamy: niech zstąpi, niech wejdzie w nasze serca, w nasze wspólnoty. Najczęściej powtarzające się słowo, we wszystkich tradycjach, to „przyjdź!".

Może to pokorne uznanie niewystarczalności, braku, potrzeby bycia wypełnioną, jest tu najważniejsze? Zarówno w noc Pięćdziesiątnicy, jak i w prywatnych wezwaniach. Wołanie o Bogę Towarzyszkę, bliską, wspierającą.

Próbuję.

Przybądź, Duszyco Święta, Pocieszycielko! Która unosiłaś się nad wodami, mówiłaś ustami proroków. Przybądź, światłości prawdziwa, życie wieczne, szczęśliwości bez końca. Przybądź, mocna, acz delikatna, potężna, choć dyskretna, która odnawiasz wszystko. Przyjdź, pragnienie mojej duszy. Przyjaciółko, opatrująca rany.

Ta, która jest

Zabawa zaimkami i językiem to najprostsze feministyczne ćwiczenie, pozwalające rozkuć trochę patriarchalny język teologii. Ale co można jeszcze osiągnąć, spotykając feministyczną teologię z Pocieszycielką? Ducha jest tym najbliższym sposobem bycia Boga w świecie, blisko, przy ciele, w ziemskości, w ludzkich sprawach. I tak właśnie zdają się widzieć opowiadanie o Duchu Świętym feministki, czytając go właśnie w tym, co bliskie, zmysłowe, cielesne, relacyjne.

Oto świat stworzony, materialny, utytłany w życiu. Przestrzeń działania Duchy, jej arena, plac zabaw. O Duchu klasyczka feministycznej teologii s. Elizabeth Johnson pisze w książce „She Who Is" (Ta, która jest), że ma dwie główne role: ożywiania, bo będąc kreatywną siłą stwarzającą świat, teraz go podtrzymuje. A także odnawiania i wzmacniania tego, co zostaje dotknięte grzechem. To Duch jest energią zmiany, odnowy, od osobistych przez społeczne, polityczne i kosmiczne. Materia nie jest oddzielona od Ducha, bo on ją przenika i uświęca, tak samo ciała. Również ciała kobiet. W jej teologii Duszyca Święta staje się zatem wszechobecna, wszechnapędzająca, zaangażowana w powstawanie i przywracanie wszystkiego.

Modlitwa Hildegardy

Co ciekawe, nie jest to dalekie od intuicji Hildegardy z Bingen, jednej z nielicznych kobiecych autorek wcześniejszych wieków, których słowa znamy. Spod której pióra wyszła piękna inwokacja do Ducha Świętego, inna niż te, które mają męskich autorów, poetycka, pełna obrazów pielęgniarskich i przyrodniczych. Hildegarda nie używa wobec Ducha feminatywów, ale na własne potrzeby można w modlitwie to łatwo zmienić. Cytuję, jak napisała mistyczka z XII wieku:

„O ogniu Ducha, Wspomożycielu, który jesteś życiem życia całego stworzenia. Święty jesteś Ty, który nadajesz życie kształtom. Święty jesteś Ty, który nakładasz balsam na szkodliwe złamania. Święty jesteś, który obwiązujesz ropiejące rany. O tchnienie świętości, o ogniu miłości. O łagodny smaku w sercach, deszczu w duszach, rozsiewający woń cnót. O czysta fontanno, w której widać, jak Bóg gromadzi nieznanych i odnajduje zagubionych. O osłono życia, nadziejo zjednoczenia wszystkich ludzi, zacisze piękna – zbaw wszystko, co istnieje! Strzeż tych, których uwięził nieprzyjaciel; wyzwól tych, którzy są w więzach; tych, których pragnie zbawić boska moc. O najpewniejsza drogo, przechodząca przez wszystkie miejsca, na szczytach, w dolinach, przepaściach, aby zbliżyć i zjednoczyć wszystko, co istnieje! Ty sprawiasz, że lecą chmury i unosi się powietrze, że kamienie pokrywają się wilgocią i wody stają się strumykami, a ziemia wydaje zieleniejące soki. To Ty również prowadzisz zawsze mądrych i napełniasz ich radością z natchnienia Twojej mądrości. Chwała więc Tobie, który sprawiasz, że rozbrzmiewają hymny pochwalne i który radujesz życie. Ufność i cześć i moc Tobie, który przynosisz światło!".

Usta Boga

Niewiele jest feministycznych teolożek zajmujących się wprost rozważaniami o Duchu. Tak zresztą, jak ogólnie nie jest to szeroki nurt teologii, wciąż jakoś niedopieszczony. Z drugiej strony, wiele intuicji, na które da się natrafić, dotyka właśnie ucieleśnienia, zmysłowości. Andrea ↦

Hollingsworth pisze o Duchu jako o głosie Boga, potrzebującym jednak strun głosowych i ust, by wybrzmieć. Istnienie poza materialnością będzie nieme. Duch jest dla niej wymianą wokalną słuchających i mówiących, wielogłosowym dialogiem, relacyjnym i zróżnicowanym. A to już prawie eklezjologia, bo czyich strun głosowych potrzebuje Duch, jeśli nie naszych, kolektywnych? Strun głosowych wszystkich ochrzczonych

Pozostając w logice zmysłowo-cielesnej, Anna-Claar Thomasson-Rosingh porównuje doświadczenie Ducha i seksualnej ekstazy. Stawanie się jednym z drugą osobą jawi się podobne do spotkania z Bogiem. Nie jest to nowy trop – spójrzcie na średniowieczne mistyczki i mistyków. Thomasson-Rosingh pisze: „Gdyby linia, na której lokujemy duchowość i seksualność jako opozycje, stała się kołem, duchowość i seksualność byłyby sąsiadkami". I dodaje: „spojrzenie na pneumatologię przez soczewkę seksualności może sprawić, że w Duchu dostrzeżemy więcej zabawy, konkretu, ziemskości i zakorzenienia w relacji".

Wietrzenie głowy

A może marginalizacja Ducha i marginalizacja kobiet mają coś wspólnego? – zastanawiają się teolożki. Może dominacja przyrody również łączy się z tym w jakiś sposób? – przychodzi mi na myśl. Co innego podbijać świat z brodatymi mężczyznami na sztandarach, a co innego wpisać w nie... no właśnie, co? Deszcz, powiew, płomień, dyskretną siłę przenikającą cały świat?

Może faktycznie potrzebujemy rozpasanej, gęstej, odważnej pneumatologii, mocnej opowieści o Duchini Świętej, Pocieszycielce i Ożywicielce wszystkiego. Gdyby od strony Ducha, a nie przez naszą hierarchiczną, stabilną teologię spojrzeć na człowieka, Kościół i świat, to pewnie byśmy zobaczyli ich nieco inaczej. Opowieść z lekkiego powiewu, łagodnego smaku w sercu, drogi prowadzącej przez wszystkie miejsca. Jaka by była taka teologia?

A może marginalizacja Ducha i marginalizacja kobiet mają coś wspólnego?

Co innego podbijać świat z brodatymi mężczyznami na sztandarach, a co innego z... no właśnie: z czym? Z tchnieniem wiatru?

Teologiczne mówienie o Duchu Świętym najczęściej nabiera ciała jako eklezjologia. Opowieść o Duchu, niewidzialnym, przybierającym różne formy, zyskuje konkret (i ciało), gdy mowa o Kościele, w którym wszyscy ochrzczeni mają jakieś zadania i charyzmaty, warte rozpoznania, jak nauczał Sobór Watykański II. W końcu to właśnie Kościół świętujemy w Pięćdziesiątnicę, a dokładniej: Kościół głoszący, różnorodny, jednoczący, bez lęku przed światem, Kościół, którym stała się grupa przestraszonych uczniów i uczennic natchnięta Pocieszycielką.

Nie bój się wiatru

Papież Leon XIV zachęca nas w tym roku do lektury tekstów Soboru Watykańskiego II, więc może na Pięćdziesiątnicę moglibyśmy zadać sobie do czytania na przykład fragmenty Konstytucji Dogmatycznej o Kościele „Lumen gentium", gdzie mowa o charyzmatach rozdawanych przez Ducha Świętego, „każdemu, jako chce". Duch Święty „rozdziela między wiernych wszelakiego stanu także szczególne łaski, przez które czyni ich zdatnymi i gotowymi do podejmowania rozmaitych dzieł lub funkcji mających na celu odnowę i dalszą pożyteczną rozbudowę Kościoła" – czytamy w rozdziale 12.

Jan XXIII, inicjator soboru, chciał, by był on nową Pięćdziesiątnicą. Zgromadzeni na soborze rozpoczynali zresztą dzień od modlitwy do Ducha Świętego napisanej przez Izydora z Sewilli w VII w., którą otwierają słowa: „Stajemy przed Tobą, Panie Duchu Święty. Stajemy wprawdzie obciążeni ludzkimi grzechami, ale specjalnie zgromadzeni w Twoje imię. Przybądź do nas, pozostań z nami, zechciej przeniknąć nasze serca. Ukaż nam drogę, którą mamy kroczyć. Zdziałaj to, czego mamy dokonać".

Dziś kościołotwórcze rozpychanie się Świętej Duszycy można najpełniej zobaczyć w synodalności, rozbudowującej soborową teologię. Jeśli to ma być nasz sposób bycia Kościołem – relacyjność, słuchanie nawet słabych i marginalnych głosów, szacunek dla idących obok członków Bożego Ludu – to widać w nim fundament takiej teologii, w której Duch jest tam, gdzie chce i przy kim chce, a jego ustami stają się niekoniecznie biskupi i teologowie.

Niech wieje przez nasz Kościół, prowadzi, ożywia, zaskakuje.

© ZUZANNA RADZIK

REKLAMA

MYŚL
BEZ KOŃCA

Nowe tomy kultowej serii
Biblioteka Myśli Współczesnej PIW

Osiemdziesiąt lat
Państwowego Instytutu
Wydawniczego

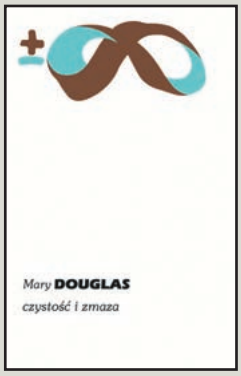

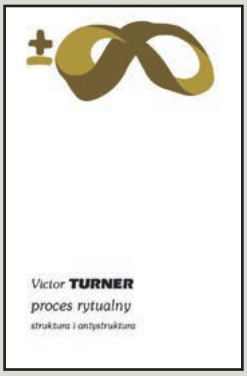

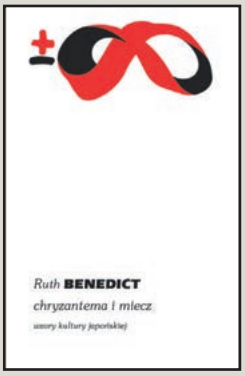

Papież karci Niemców

ARTUR SPORNIAK

DOKTRYNA | Zdaniem Watykanu niemiecki Kościół w praktyce błogosławienia par homoseksualnych poszedł za daleko.

MARTIN MEISSNER / AP PHOTO / EAST NEWS

Pary jednopłciowe otrzymują błogosławieństwo podczas publicznej ceremonii przed katedrą w Kolonii, 20 września 2023 r.

Dlaczego problem miejsca w Kościele osób homoseksualnych należy do najbardziej gorących obecnie tematów? I dlaczego pobłogosławienie par tej samej płci wywołuje wśród katolików takie emocje (przecież papież w wielkie święta błogosławi całemu światu – *Urbi et orbi*!)? Szybka odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: bo chodzi o konieczność zdefiniowania człowieka od nowa (bagatela!). A na drugie: bo wyraz niewinnej zdawać by się mogło życzliwości i otwarcia jest odbierany jako pierwszy krok do daleko idących zmian, których konsekwencji nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

Nie dziwi więc zaniepokojenie Watykanu reformatorskimi poczynaniami w niemieckim Kościele. W ostatnich dniach byliśmy świadkami kolejnej odsłony tego sporu.

Pytanie zadane w samolocie

Temat na nowo wywołała niemiecka dziennikarka, która podczas powrotu Leona XIV z Afryki zapytała papieża, co sądzi o decyzji kard. Reinharda Marksa, arcybiskupa Monachium i Fryzyngi, który udzielił zgody na błogosławieństwo par tej samej płci w swojej diecezji, i w jaki sposób zamierza zachować wobec tego jedność Kościoła.

Papież odpowiedział, że Stolica Apostolska rozmawiała już z niemieckimi biskupami i jasno dała do zrozumienia, iż nie zgadza się na formalne błogosławieństwo par homoseksualnych, wykraczające poza to, na co zezwolił już papież Franciszek.

Kilka dni później prefekt Dykasterii Nauki Wiary kard. Víctor Manuel Fernández opublikował, za zgodą papieża, swój list z listopada 2024 r., w którym krytykował projekt przygotowywanych w Niemczech wytycznych na temat błogosławieństw. A potem bardzo szybko, jak na standardy dykasterii, zareagował na sugestię rzecznika niemieckiego episkopatu (z 5 maja), że list ten jest w zasadzie nieaktualny, bo ostateczna wersja wytycznych uwzględnia uwagi Watykanu. Już na drugi dzień (6 maja) w serwisie Vatican News kard. Fernández potwierdził, że jego list odnosi się także do najnowszej wersji wytycznych, w której nie uwzględniono najważniejszych poprawek.

Nowatorstwo Niemiec

Ale zacznijmy od początku. Obrzędy błogosławienia par homoseksualnych odbywały się w licznych niemieckich parafiach już od wielu lat. Wpływowa i postępowa świecka organizacja – Centralny Komitet Niemieckich Katolików (ZdK) – postanowiła to sformalizować i w 2015 r. wezwała do „rozwoju form liturgicznych, w szczególności błogosławieństw związków partnerskich osób tej samej płci, nowych związków partnerskich osób rozwiedzionych oraz ważnych wydarzeń w życiu rodzinnym". Co ciekawe, skrytykował ten pomysł kard. Reinhard Marx (wówczas pełniący funkcję przewodniczącego niemieckiego episkopatu), ten sam, który dziś wprowadza, wraz z kilkoma innymi biskupami, błogosławienie w swojej diecezji. Prawdopodobnie intuicyjnie wyczuwał przyszły raban.

Potem temat błogosławieństw przejęła Droga Synodalna (Synodaler Weg) i uczyniła jednym z głównych swoich postulatów. Niemiecka Droga Synodalna to eksperymentalne forum biskupów i świeckich (w większości członków ZdK), powstałe pod wpływem szoku wywołanego raportem o nadużyciach seksualnych wobec małoletnich w Kościele. Obradując w latach 2019-2023, Synodaler Weg wypracowała szereg reform kościelnych, m.in. gwarantujących uczestnictwo świeckich w zarządzaniu Kościołem, co też wywołało duży niepokój Watykanu.

Droga miała silnych przeciwników na świecie (np. wśród konserwatywnych katolików w USA), ale także w samych Niemczech. Dlatego postulat opracowania oficjalnych ceremonii ↦

↦ błogosławieństw szybko trafił do ówczesnej Kongregacji Nauki Wiary jako tzw. *dubium*, czyli pytanie. Brzmiało ono: czy Kościół ma władzę udzielania błogosławieństwa związkom osób tej samej płci? Ówczesny prefekt – konserwatywny jezuita kard. Luis Ladaria Ferrer – za zgodą papieża Franciszka dał, w lutym 2021 r., odpowiedź negatywną. Czytamy w niej, że Bóg „nie błogosławi i nie może błogosławić grzechu" (chodzi o seks uprawiany przez pary homoseksualne). I dalej: „Obecność w takich związkach elementów pozytywnych, które same w sobie zasługują na uznanie i docenienie, nie może jednak ich usprawiedliwić i w ten sposób uczynić z nich prawowitego przedmiotu błogosławieństwa kościelnego, ponieważ elementy te służą związkowi, który nie jest ukierunkowany według zamysłu Stwórcy".

Oczywiście takie postawienie sprawy nie zamknęło tematu – przeciwnie, niemieccy duszpasterze w wielu parafiach zorganizowali dzień protestu, przeprowadzając ceremonie błogosławieństw, w których uczestniczyły pary jednopłciowe. A Droga Synodalna nie zrezygnowała z postulatu opracowania ceremoniarza (specjalnego podręcznika) dla takich błogosławieństw.

Widząc swój błąd, Franciszek zmienił taktykę, a przy okazji także prefekta Dykasterii Nauki Wiary. Na jej czele w lipcu 2023 r. stanął teologiczny doradca Bergoglia, Víctor Manuel Fernández. Nowy ton pojawił się już w pierwszym dokumencie opublikowanym przez prefekta-nowicjusza: odpowiedzi papieża na pięć pytań zadanych przez konserwatywnych kardynałów Raymonda Burke'a i Waltera Brandmüllera. Wśród poruszonych kwestii znalazło się ponownie błogosławienie osób tej samej płci. Odpowiadając, papież zwrócił uwagę, że obrona obiektywnej prawdy nie jest jedynym wyrazem miłości pasterskiej, która obejmuje również „życzliwość, cierpliwość, zrozumienie, czułość i zachętę". „Dlatego – zauważał Franciszek – nie możemy stać się sędziami, którzy jedynie negują, odrzucają i wykluczają".

Watykańska rewolucja

Prawdziwą rewolucją stała się jednak dopiero opublikowana w grudniu 2023 r. deklaracja „Fiducia supplicans" o duszpasterskim znaczeniu błogosławieństw. Zezwala ona na błogosławienie par tej samej płci oraz znajdujących się w sytuacjach nieregularnych (np. po rozwodach). Pod warunkiem, że błogosławieństwo będzie udzielane poza kontekstem liturgii, by nie przypominało sakramentu małżeństwa. Jego sens jest następujący: proszący o nie „nie domagają się uprawomocnienia własnego statusu, ale błagają, aby wszystko, co jest prawdziwe, dobre i po ludzku ważne w ich życiu i relacjach, zostało przeniknięte, uzdrowione i wzmocnione obecnością Ducha Świętego".

> Nie ma na świecie wspólnoty katolickiej bardziej otwartej na pary homoseksualne niż Kościół w Niemczech. **Watykan się niepokoi, ale interweniować nie będzie.**

Franciszek niewątpliwie chciał tym dokumentem odebrać inicjatywę reformatorom z Niemiec, ale wywołał pożar na świecie. Bojkot zapowiedziały nie tylko Kościoły afrykańskie, ale także Kościół katolicki na Węgrzech i greckokatolicki w Ukrainie. Kard. Fernández, by ratować sytuację, publicznie zezwolił na zignorowanie deklaracji w krajach, których kultura kłóci się z błogosławieniem par homoseksualnych, co jest precedensem w historii dykasterii. Groteskowo zareagował natomiast Episkopat Polski – jego rzecznik zasugerował, że deklaracja nic nie zmienia i nadal można błogosławić jedynie pojedyncze osoby homoseksualne „żyjące we wstrzemięźliwości seksualnej" (przeciwko takiej interpretacji zaprotestował prymas abp Wojciech Polak).

Spór o spontaniczność

Wracając do sporu Watykanu z Niemcami o wytyczne. Meritum dotyczy rozumienia słowa „spontaniczne". Według Watykanu oznacza to, że błogosławieństwo może być udzielane jedynie poza kontekstem liturgii.

Według wytycznych „Błogosławieństwa dla par, które się kochają", przygotowanych przez Wspólną Konferencję Episkopatu Niemiec i Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików (ZdK), „spontaniczność błogosławieństwa" oznacza, że nie ma dla niego stałych tekstów liturgicznych. Co wcale nie znaczy, że nie należy się do niego dobrze przygotować. Przeciwnie, wskazania mówią o umiejętnym doborze tekstów biblijnych i śpiewów oraz o modlitwie w szerszym gronie. Ewidentnie wytyczne chcą nadać błogosławieństwu wymiar paraliturgiczny, dużo większy niż przypadkowy, spontaniczny gest kapłana.

Nic się więcej nie wydarzy

Jakie znaczenie ma zatem ostatnia odsłona watykańsko-niemieckiej potyczki o błogosławieństwa?

W komentarzach pojawiły się sugestie, że to zaostrzenie relacji między Rzymem a Kościołem niemieckim. Pytano nawet, czy papież będzie dyscyplinować niemieckich biskupów.

Uważam jednak, że nic więcej na razie się nie wydarzy. Strony wyraziły różnicę poglądów i tak zostanie. Niemcy nadal będą eksperymentować z nowymi praktykami w Kościele. To ważne, bo często już zdarzało się w historii chrześcijaństwa, że kontrowersyjne, ale ważne zmiany wprowadzane były metodą faktów dokonanych.

Nie wydaje się też, by Watykan chciał je za wszelką cenę blokować. Jego bierność w tej kwestii, z trudem skrywaną, widać po ostatnich reakcjach. Kard. Fernández nie wydał nowego dokumentu, który spór by zaostrzał, tylko wyciągnął z szuflady list sprzed kilku lat, mówiąc, że to „jedyna ostateczna odpowiedź". Leon XIV zaś, odpowiadając niemieckiej dziennikarce, pomniejszył wagę dyskusji o seksualności. „Przede wszystkim uważam, że bardzo ważne jest zrozumienie, iż jedność lub podziały w Kościele nie powinny obracać się wokół kwestii seksualnych. Mamy skłonność do myślenia, że kiedy Kościół mówi o moralności, to jedyną kwestią moralną jest seksualność. Uważam, że w rzeczywistości istnieją znacznie ważniejsze kwestie, takie jak sprawiedliwość, równość, wolność mężczyzn i kobiet, wolność wyznania" – podkreślił papież.

Co znaczy, że kościelna debata o naturze człowieka, która uwzględniałaby różne jej wersje (homoseksualną, transseksualną, interseksualną itd.), ciągle jeszcze przed nami. ©℗ ARTUR SPORNIAK

Rozmowa musi wystarczyć

MARTYNA MAZUREK

KSIĄŻKI | Amerykański duszpasterz środowisk LGBT+ mówi o szacunku, delikatności i współczuciu. Osoby nieheteronormatywne muszą na razie się tym zadowolić.

W kazaniu wygłoszonym podczas bierzmowania biskup potępił małżeństwa jednopłciowe. Jeden z parafian, ojciec homoseksualnego mężczyzny, napisał do niego gniewny list. Hierarcha odpowiedział w podobnym tonie. Zaczęła się korespondencja. Z listu na list jej ton łagodniał. W końcu doszło do pierwszego spotkania, potem kolejnych. Ojciec wyrażał ból związany z odrzuceniem jego syna przez Kościół katolicki. Biskup nie rozumiał, dlaczego gej czuje się wykluczony. Spierali się, lecz mimo to rozmawiali długimi godzinami.

„Jest czas na protest, ale jest też czas na pełen szacunku dialog" – puentuje James Martin, amerykański jezuita, duszpasterz środowisk LGBT+, który opowiada tę historię w książce „Budując most". Autor sam daje narzędzia do takiego dialogu. Wizję spotkania i pojednania opiera na trzech zasadach, zgodnie z którymi Katechizm Kościoła Katolickiego traktuje (przynajmniej w teorii) osoby homoseksualne.

SZACUNEK | „Oznacza co najmniej dostrzeżenie faktu, że społeczność LGBT istnieje, oraz określanie tych osób w sposób przez nie wybrany".

Impulsem do napisania książki były wydarzenia z 12 czerwca 2016 r. w Orlando. W klubie nocnym Pulse, przeznaczonym dla społeczności LGBT+, doszło do strzelaniny. Zginęło 50 osób, drugie tyle zostało rannych. Smutek i przerażenie z powodu tragedii wyraziło wielu liderów wspólnot religijnych, jednak „zaledwie garstka z ponad dwustu pięćdziesięciu katolickich biskupów użyła określenia gej czy lesbijka" – wspomina Martin.

James Martin SJ
BUDUJĄC MOST. JAK KOŚCIÓŁ KATOLICKI I SPOŁECZNOŚĆ LGBT MOGĄ NAWIĄZAĆ RELACJĘ OPARTĄ NA SZACUNKU, WSPÓŁCZUCIU I DELIKATNOŚCI
Więź 2026

To pokazało, jak wielka jest przepaść między Kościołem a wykluczoną społecznością LGBT+. Jezuita zauważa, że istnienie zaczyna się od nazwania. To pierwszy krok do zmiany. Jak szacują różne badania, osoby queerowe stanowią od 5 do 10 proc. społeczeństwa. Trzeba przyjąć, choćby ze względu na statystykę, że osobami nieheteronormatywnymi musiała być nawet część świętych Kościoła.

No dobrze, istnieją. Co dalej?

WSPÓŁCZUCIE | „To towarzyszenie katolikom LGBT, doświadczanie ich codzienności i dzielenie wraz z nimi cierpienia".

Rzeczywistość pokazuje, że jest czego współczuć. Jacek Prusak, psychoterapeuta i również jezuita, w przedmowie do książki Martina pisze o szkodliwości tzw. trzeciego przykazania miłości, które obowiązuje katolików LGBT+. Nie wystarcza, że mają kochać Boga i bliźniego. Muszą jeszcze pamiętać, że Bóg ich kocha, ale... nie w pełni. „Bóg nie kocha twojej orientacji. Nie stworzył cię takim, jakim jesteś, nie możesz więc w pełni akceptować siebie, bo to grzech". Przez taką narrację osoby queerowe przypłacają chęć bycia w Kościele zdrowiem psychicznym.

DELIKATNOŚĆ | „To świadomość i zrozumienie uczuć innych osób".

Spróbujmy zrozumieć złość, jaką wywołała w Polsce książka „Budując most". Paweł Rakowski, kiedyś jezuita, dziś aktywista ruchu Wiara i Tęcza, uważa, że proponowane przez Jamesa Martina zmiany wcale nie idą w dobrym kierunku. Mówienie: „tak, zapraszamy gejów do Kościoła, przecież wszyscy jesteśmy grzeszni" oznacza, zdaniem Rakowskiego, stawianie znaku równości pomiędzy seksualnością osób queerowych a grzechem.

„Nie czuję się mile widziany, dopóki nie będę mieć równych praw, jak wszyscy ochrzczeni, i dostępu do wszystkich sakramentów" – pisze Rakowski na swoim blogu, dodając, że katolicy LGBT+, którzy oczekują zmiany nauczania Kościoła, mogą czuć się rozczarowani koncepcją Martina.

Ale może warto, jak proponuje amerykański duszpasterz, „ofiarować Kościołowi instytucjonalnemu dar czasu"? Tylko ile? Z pewnością długo. Na pewno przez dziewięć lat, które dzielą amerykańską premierę książki od jej polskiego wydania, nic się w tej kwestii nie zmieniło.

ROZMOWA | Ojciec i biskup z przytoczonej na początku historii pewnie nigdy nie spotkają się idealnie pośrodku. Kościół jeszcze długo będzie miał zastrzeżenia do osób queerowych, nawet jeśli będzie starał się traktować je z miłosierdziem. Jako lesbijka dochodzę do wniosku, że moja orientacja (a szczególnie seksualność) to problem, o którym trzeba dyskutować. Przyczyna konfliktu.

Jednak nie pozostaje nic innego niż te wielogodzinne rozmowy. Dialog jest ogromnym postępem (niemal komplementem) w porównaniu do nienawiści. Nam, społeczności LGBT+, na razie musi to chyba wystarczyć. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Dobry człowiek

Kiedy nadszedł dzień Pięćdziesiątnicy, byli wszyscy w tym samym miejscu. Nagle rozległ się szum z nieba, jakby gwałtownie wiejącego wiatru. I napełnił cały dom, w którym przebywali. Zobaczyli też języki podobne do ognia. Rozdzielały się one i na każdym z nich spoczął jeden. Wszystkich napełnił Duch Święty. Zaczęli mówić różnymi językami, tak jak im Duch pozwalał się wypowiadać. Przebywali wtedy w Jeruzalem mieszkańcy Judei i pobożni Żydzi ze wszystkich krajów świata". Coś podobnego miało miejsce 29 kwietnia w sosnowieckim Kościele św. Joachima. Zgromadzili się tam ludzie z powodu śmierci człowieka, po którym wiele „się spodziewali". Wiatr trochę przycichł i zgromadzeni usłyszeli: „Pokój wam". Nikt też nie widział żywego ognia nad głowami, ale w miarę wypowiadanych słów kaznodziei, kto chciał, ten poczuł, jak rozluźniają się pięści, wzrok łagodnieje, łzy swobodnie płyną i to, co jeszcze przed mszą było niemożliwe, stawało się możliwe.

Jednak najważniejszym okazało się to, co nie zostało powiedziane, i to wcale nie dlatego, że bp Artur Ważny cokolwiek przemilczał. A miał przed sobą ludzi, którzy przyszli do kościoła prosto z okopów, a przyprowadził ich „dobry człowiek", Łukasz Litewka. Biskup mówił: „Wiem (...) że wielu ma swoje powody, by na tym etapie swego życia stać tyłem lub z dystansem do Kościoła. Łukaszowi wychowanemu w Kościele też nie było łatwo. Mówił: »Polski Kościół popełnia błędy, a zawsze, gdy ma możliwość je naprawić i wyciągnąć konsekwencje, nie robi tego«. Ta swoista skarga jest wołaniem, modlitwą o piękniejszy i lepszy Kościół. Chcemy to naprawić i wyciągać wnioski, Łukaszu. Jeśli powodem tego dystansu są błędy i winy pasterzy, nasz brak uważności, pycha czy arogancja, proszę was dzisiaj przy tej trumnie z głębi serca o wybaczenie".

Czy mogło być inaczej? Mogło, gdyż było i wciąż bywa. Inaczej, to znaczy nie w tym duchu, jaki spajał zgromadzonych na pogrzebie Łukasza Litewki. Był to duch gościnności, współobecności, współodczuwania i współodpowiedzialności. Duch pisany wielką literą, który sprawia, że jeden „dobry człowiek" potrafi otworzyć drzwi z obu stron zaryglowane i uwięzionych zaprowadzić do domu, w którym przy stole jest „wiele miejsca". ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Zmiana perspektywy

W miniony piątek Liturgia zaprosiła nas do towarzyszenia św. Pawłowi w samym środku nocy, jaką dla człowieka staje się lęk (zob. Dz 18, 9-18). Apostoł doznał właśnie klęski ewangelizacyjnej w Koryncie. Został odrzucony przez miejscowych Żydów: „sprzeciwiali się i bluźnili; otrząsnął swe szaty i powiedział do nich: Krew wasza na waszą głowę, jam nie winien" (Dz 18, 6). Gwałtownie, ostro. Z zapowiedzią: „Od tej pory pójdę do pogan". A przecież nie potrafi tego zrobić, choć boi się o swoje życie. Ucieka w milczenie. Pora, by objawił się Zmartwychwstały. I przychodzi: „W nocy Pan przemówił do Pawła w widzeniu: Przestań się lękać, a przemawiaj i nie milcz, bo Ja jestem z Tobą i nikt nie targnie się na ciebie, aby cię skrzywdzić, dlatego, że wiele ludu mam w tym mieście" (w. 9-10). Spotkanie, które całkowicie zmienia perspektywę. O ludziach, w których Paweł widzi potencjalnych zabójców, Pan mówi: To są moi ludzie. Zanim przyszedłeś do Koryntu, ja już tutaj działałem.

Dokąd Paweł widzi w Koryntianach potencjalnych morderców, dotąd doświadcza paraliżującego strachu. Ale Pan mówi: zobacz w nich „moich ludzi", to znaczy: swoich bliskich. Odkryj to, co w nich jest ze Mnie. Wtedy miejsce lęku zajmie w Tobie entuzjazm ku ewangelizacji. Taka sama zmiana postrzegania świata dokonała się w naszych czasach na Soborze Watykańskim II. Przez blisko dwa stulecia Kościół nie mówił o otaczającym go świecie inaczej jak „pogański". Chował swój strach za anatemy i inne kary. Sobór zaowocował w Kościele radykalną zmianą myślenia. Najlepiej widać to w siedmiu końcowych przesłaniach skierowanych przez św. Pawła VI do różnych grup społecznych (polityków, uczonych, artystów, robotników, kobiet, chorych i młodzieży), którym Kościół oferuje przyjaźń.

Czy ta oferta przyjaźni była czczym idealizmem wielkiego papieża? Ależ skąd! Paweł VI dobrze widział wszystkie dramatyczne napięcia między ówczesnym Kościołem i światem. Wiedział jednak również, że nie strach przed światem każe chrześcijanom wyjść do niego z Ewangelią. Tego może w skuteczny sposób dokonać jedynie miłość! Właśnie ta zmiana widzenia zaowocowała w Kościele wielkimi pontyfikatami ewangelizacji: Jana Pawła II i Franciszka. Czy taka zmiana dokonała się już również w nas? ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik: *Długie trwanie*

PRZECZYTAŁAM, ŻE WITRAŻE W BRUKselskiej katedrze opowiadają historię rzekomej desakralizacji hostii przez Żydów. Przeczytałam przypadkiem, w książce na inny temat. Jak to? Przecież tam byłam, zwiedzałam. Nie zauważyłam? Lubię ten przysadzisty flamandzki gotyk, niezbyt strojny. Potem wielokrotnie wracałam, czy to na ładnie śpiewaną mszę, czy na licznie odbywające się w tym wnętrzu koncerty. Ale że w skarbcu nawet można zobaczyć te hostie, ponoć zbezczeszczone, to nie wiedziałam. Zwykle skarbce mnie nie interesują.

Mam do katedry 15 minut piechotą, więc czytam i w zasadzie chcę pójść, żeby zobaczyć na własne oczy. Wgapić się w kolorowe szkła okien i dostrzec coś, co wcześniej przeoczyłam. Średniowieczną antysemicką legendę wypisaną na serii XVI- i XIX-wiecznych witraży, bo (jak wiadomo) wiara w średniowieczne legendy nie minęła razem ze średniowieczem.

I tu niespodzianka. Kiedy szybko sprawdzam jeszcze w innych źródłach, czy to prawda, okazuje się, że dosłownie dwa dni wcześniej (na początku maja 2026) odbyła się uroczystość zdjęcia witraży. Szukam dalej, jednak nie tyle była to uroczystość zdjęcia, co umieszczenia stosownych tabliczek, informujących o pomówieniu, jakim było oskarżenie o bezczeszczenie hostii. Legenda głosiła – podobnie jak w innych częściach Europy – że Żydzi ukradli hostię, nakłuli nożem, a z rany popłynęła krew Chrystusa. Tyle legenda. W zupełnie zaś prawdziwym życiu, 22 maja 1370 r., sześciu (lub dwudziestu) Żydów zostało spalonych na stosie na brukselskim rynku (lub po prostu zamordowanych), a resztę niewielkiej społeczności wypędzono z księstwa Brabancji, konfiskując ich majątek. Dla jednych był to zatem cud eucharystyczny, dla innych „brukselska masakra". Odtąd tradycyjnie w Brukseli odbywały się procesje z hostią. Na pamiątkę cudu.

Gdy Sobór Watykański II zmienił nauczanie o Żydach, inaczej spojrzano też na witraże. W 1977 r. odsłonięto tabliczkę, która mętnie tłumaczyła legendarność oskarżenia, jednak nie okazała się satysfakcjonująca. W końcu w 2007 brukselski historyk Roel Jacobs stwierdził, że miejscowa katedra jest największym w kraju pomnikiem antysemityzmu. Teraz odsłonięto nowe cztery tablice, w językach Brukseli (flamandzkim i francuskim), angielskim oraz hebrajskim, z jasnym nazwaniem legendy antysemityzmem, który przysporzył wiele bólu, i z przeprosinami. Tablica odsłonięta przez arcybiskupa Brukseli, rabina miasta oraz przedstawiciela magistratu przypomina, że po soborze Kościół chce oczyścić pamięć, potępia antysemityzm, chce pogłębiać dialog.

Może to historia lokalna, pewnej katedry w zachodnioeuropejskim mieście. A może jednak uniwersalna, bo w końcu w niejednym miejscu w Polsce są ślady, legendy, obrazy, rzeźby, historie o Żydach porywających dzieci lub hostie. Nie zawsze oznaczone i skomentowane tak, jak powinny. A czasem, gdy nawet opisane stosownie, to relatywnie od niedawna. Jest to więc przypowieść o długim trwaniu. Bo żeby tak oczywista bajka musiała czekać ponad 655 lat na stosowny kościelny komentarz, to jednak coś znaczy.

Dla mnie to historia o tym, że tak konsekwentnie budowanej nienawiści i przesądu, które trwały kilkanaście wieków, nie odczyni się jednym dokumentem soborowym. Ani świetnymi dokumentami, które przyszły potem jako jego solidne wdrożenie. Ani wzruszającymi wypowiedziami papieży, z Janem Pawłem II na czele. Nie, wielowiekową pracę nad szerzeniem antysemityzmu odczynia się potem niestety wiele lat, wiele dziesiątków. Może nawet, niestety, wiele wieków. Na razie minęło nam na liczniku 60 lat od soboru i w sumie wciąż jesteśmy na początku tej drogi. To się nazywa długie trwanie.

W ramach odczyniania wielowiekowej pracy wciąż czekam, czy w końcu pojawi się jakiś poważny projekt uczenia polskich seminarzystów, katechetów i teologów o Żydach i nowej teologii judaizmu. Jak dotąd różne próby, zewnętrzne projekty, propozycje warsztatów – wszystko, co widziałam, zderzyło się z niechęcią i zamkniętymi drzwiami. Jednak po festiwalu buntu wobec magisterium, jaki obejrzeliśmy po liście episkopatu na 40. rocznicę wizyty Jana Pawła II w synagodze, chciałoby się zobaczyć polskich biskupów wkurzonych na tę dezynwolturę. Reagujących konkretnym działaniem. Namacalnym jak tabliczka w brukselskiej katedrze. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

MAŁE RĘCZNIKI

Z jej wiarą było chyba trochę jak z paleniem:
ćmiła tylko jednego papieroska wieczorem, stojąc pod wiatą i delektując się tą chwilą odprężenia przed snem, która nie wiem, czy nadchodziła.

BARTOSZ SADULSKI

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Dwie rzeczy nie dają mi spokoju i nigdy nie odpuszczą: szum w uszach i żałoba po śmierci mamy. Do obu trudno się przyzwyczaić. Pewnie dlatego, że jak napisała Joan Didion: „Żal po stracie, kiedy nadchodzi, zupełnie nie przypomina tego, czego się spodziewaliście". Nie wiem, czego się spodziewałem, ale bardzo nie chciałem tego przeżywać.

POWIDOK | W tym roku minie od jej śmierci czternaście lat, niedługo będę mógł obejrzeć „Czterdziestolatka" i powiedzieć, że to film o mnie, a nieprzepracowana żałoba wciąż powraca falami. Zacząłem pisać ten tekst w styczniu, zupełnie nagle w środku nocy, bo zdałem sobie sprawę, co wyprawiam: przed każdym wyjściem z domu nerwowo patrzę przez okno w kuchni, kryjąc się za wielkim liściem monstery postawionej ryzykownie na lodówce, żeby sprawdzić, czy moja sąsiadka jara szluga. Robię to z największą dyskrecją, jakby chodziło o wojskowy wywiad albo graniczący z fobią lęk przed przelotnymi pogawędkami o niczym w pośpiechu na tramwaj. Nic jednak z tych rzeczy. Moja ulubiona sąsiadka choruje, a każda rozmowa z nią przypomina mi o mojej – wydawałoby się: głęboko zakopanej – stracie.

Sam sobie nie wierzę, kiedy mówię jej, że na pewno wszystko będzie dobrze, a kiedy nic nie mówię, czuję się jeszcze gorzej. Reakcje mojej sąsiadki, nałogowej palaczki, która po zawale próbowała przerzucić się na papierosy elektroniczne, teraz zaś jest już na etapie, kiedy odstawienie szlugów mogłoby jej tylko zaszkodzić, a na pewno pozbawić rudymentarnej przyjemności, czynią sprawy trudniejszymi, bo żywo przypominają zachowanie mojej umierającej mamy.

ZAPISKI | Kiedy po wszystkim odziedziczyłem jej laptopa, srebrnego, dziwacznie kwadratowego Lenovo, na którym mogłem grać w gry, jakie nie chodziły na moim sprzęcie, w samym rogu, wystający jak but licealnego palacza zza winkla, zerkał na mnie wordowski plik z czymś, co było jej ostatnimi zapiskami. Ledwie kilka zdań, w tym otwierające, wyrażające troskę o rodzinę, której jądro za chwilę ulegnie rozszczepieniu. O tym moja mama myślała przed śmiercią. O swojej rodzinie. Musiała już wtedy wiedzieć, że nie zostało jej dużo czasu.

Sąsiadka nie mówi mi o swojej rodzinie, ale przed pierwszą chemią posprzątała mieszkanie, żeby jej mąż, mający na imię tak samo jak mój ojciec, miał łatwiej, bo przecież nawet nie wie, gdzie są małe ręczniki. Nie wie, gdzie są małe ręczniki.

Powtórzyła to zdanie właśnie tak, dwukrotnie, a ja z choroby mojej mamy jak przez mgłę pamiętam, że małe ręczniki są bardzo ważne, może nawet bardziej istotne niż niepraktyczne duże frotowe ręczniki, dobrze prezentujące się na plaży albo w beskidzkim SPA, ale niekoniecznie na ciele pochłanianym przez nowotwór. Bardzo bym chciał, żeby wszyscy ojcowie wiedzieli nie tylko, gdzie są małe ręczniki, ale też na przykład poszewki i wyciskarka do czosnku, zanim ich żony zachorują.

MGŁA | Niemal wszystko pamiętam jak przez mgłę, czas kondensuje się do rozmiarów pudełka po butach, w którym zmieszczą się pocztówki: z diagnozą, szybką operacją, w trakcie której niczego już nie da się wyciąć, tabletkami z morfiną, pokojem na półpiętrze w domu, hospicjum, nadzieją i cierpieniem, domem, cierpieniem i nadzieją, hospicjum, pogrzebem w słoneczny dzień pierwszego meczu polsko-ukraińskiego Euro 2012. Pogrzeb pogrzebem, ale mecz otwarcia trzeba obejrzeć. Wydaje mi się, że naprawdę to powiedziałem, siadając przed telewizorem. Było ciepło i jasno.

Mgła nie jest dla mnie tylko metaforą. Któregoś zimowego wieczora przyjechałem pociągiem z Warszawy. Ojciec czekał na mnie przed dworcem i kiedy wsiadłem, zapytał, czy chcę jechać do szpitala. Chciałem, przez następne kilkadziesiąt minut pruliśmy w ciszy przez las, a kiedy ojciec włączał długie światła, między drzewami we mgle i mroku błyskały oczy dzikich zwierząt, które zamarłe w bezruchu czekały, aż przejedziemy.

Na początku grudnia, kiedy mama dostała diagnozę, byłem na koncercie artystki, którą lubiłem. Nie mogłem znieść ↦

↦ muzyki, napawała mnie obrzydzeniem i lękiem. Kiedy podzieliłem się ze znajomą na koncercie tym, jak się czuję i dlaczego, patrzyła na mnie dokładnie tak samo, jak teraz ja patrzę na moją sąsiadkę i pewnie każdego, kto mówi mi o swojej nowotworowej diagnozie. Wyobrażam sobie, że mam wyraz twarzy bezmyślny do granic, życzliwie można go nazwać osłupiałym, a tak naprawdę pewnych wiadomości nie da się usłyszeć ponownie. Kiedy sąsiadka powiedziała mi o diagnozie, usłyszałem coś zupełnie innego i uśmiechnąłem się do niej, zanim zdałem sobie sprawę, o czym naprawdę mówi.

STARCIE | Moja sąsiadka jest zadaniowcem. Przez wszystkie fazy przeskakuje z gracją najlepszego tyczkarza na świecie. W maju jara już z takim samym zaangażowaniem jak rok temu, może nieco rzadziej, ja przed wyjściem nie chowam się za monsterą, która na moje potrzeby wypuściła nowy, olbrzymi liść z dziurami. Chociaż model pięciu etapów nie jest liniowy ani uniwersalny, profesjonalni chorzy biorą go sobie do serca. Kiedy zimą rozmawiam z nią po raz drugi, ma już w sobie zgodę na wszystko i ogromną siłę, żeby walczyć. Moja mama nie miała tej szansy. W jej przypadku metafora „walki" z rakiem brzmiała jak wyjątkowo ponury żart, bo ja miałbym więcej szans w bójce na gołe pięści z gorylem niż ona ze swoją chorobą. Fazy przeszła tak szybko, że chyba nawet nie zdążyła się potargować.

Po szukaniu szamana w Amazonii, niczym Andy Kaufman w filmie Formana, i okładaniu się magnesami, przez kurczowe trzymanie się domu, w którym opiekowali się nią babcia i ojciec, przeszła do krótkotrwałej rozpaczy. Trwała tyle, co przedwiośnie. Próbowałem jej wtedy czytać opowiadania Kereta, ale była w stanie znieść jedno albo dwa, bo ze śmiechu bolał ją zaguzowany brzuch. Raz w tygodniu jeździła na kroplówkę do dużego miasta, ale wydaje mi się, że równie dobrze mogła zostać w domu i pić smoothie albo zażywać dożylnie kisiel. Czy z bezsilności może narodzić się akceptacja? Być może musi.

PRZEJŚCIE | Mama też była zadaniowcem, ale jej zadaniem nie było wyzdrowieć. Nie miała takiej możliwości. Zdrowienie jest dla zarządu, dla niej została herbata Saga. Postanowiła więc dobrze umrzeć, bez histerii odchodzenia, czym pozostałym przy życiu wyświadczyła przysługę. W ostatnich tygodniach przypominała postać ze średniowiecznych traktatów, sumiennie, mimo bólu i strachu, realizującą wytyczne z podręcznika „Dobra śmierć w weekend". Przyjechał do niej nawet ksiądz, chociaż mama nie dość, że nie była dewotką, to sprawowała jeszcze mandat radnej z ramienia lewicowej partii. Z jej wiarą było chyba trochę jak z paleniem: ćmiła tylko jednego papieroska wieczorem, stojąc pod wiatą i delektując się tą chwilą odprężenia przed snem, która nie wiem, czy nadchodziła.

Starszy kapłan, ksiądz Robaczek (naprawdę się tak nazywał), budził mój strach, kiedy grzmiał w niedzielę z ambony w Kościele św. Krzyża albo spowiadał nas, młodych gniewnych gimnazjalistów z grzechów samogwałtu i kłamstwa, ale oswoiłem go w końcu, gdy spostrzegłem rażące podobieństwo do Mela Brooksa, reżysera mojej ulubionej komedii „Robin Hood. Faceci w rajtuzach". Dla mamy był zaskakująco łagodny i zapewnił ją, że nawet po kremacji będzie mogła zmartwychwstać. Nie miałbym nic przeciwko, bo bardzo za nią tęsknię. Jej piękne umieranie z pewnością zostałoby wysoko ocenione przez średniowiecznych stoików, ale nie uchroniło mnie przed rozłożoną na raty rozpaczą, z odroczeniem pierwszej płatności.

CIĘŻAR | Przy mnie rozpłakała się chyba tylko raz. Kiedy dwa magnesy boleśnie złapały jej skórę na udzie, przyszła do mojego pokoju. Rozdzieliłem je chyba tą samą siłą, z jaką matki podnoszą samochody, pod które wpadły ich dzieci. Moja mama mogła podnieść coraz mniej, prawie nic, sama siebie nosiła już z trudem i być może dlatego rozpłakała się wtedy i mnie przytuliła. Nigdy nie powiedziała, że nie chce umierać, bo mamy takie są, nie chcą robić kłopotu. Wie o tym nawet Louis C.K., odstawiony na boczny tor zawodowy komik i zboczeniec, który w jednym ze swoich skeczy twierdził, że z dwojga rodziców umiera zawsze nie to, które powinno. Odchodzi to dobre. Czasem mówimy, że złego diabli nie biorą.

Powiedziała mi, że nie żal odchodzić, kiedy zostawia się takie dzieło jak ja, ale wtedy byłem co najwyżej nędznym rusztowaniem na człowieka. Moja nostalgia nie dotyczy przeszłości, ale wspólnej przyszłości, która została nam zabrana, bo nigdy nie porozmawialiśmy jak dorośli.

ŚWIATŁO | Powinienem był napisać o świetle. Było go więcej, niż zdrowy człowiek mógłby znieść. W jej pojedynczej sali duże okna wychodziły na parking i rozłożyste dęby. Czasami długo przez nie patrzyłem i liczyłem przejeżdżające samochody. W tym samym szpitalu ćwierć wieku wcześniej urodziłem się w mikołajkową sobotę nad ranem. Podobno wrony straszliwie wtedy krakały. Pamiętam jej siwe włosy, które od lat farbowała, i chude nogi. Miała jeszcze siłę, żeby się śmiać, że zawsze chciała takie mieć. Pamiętam sok pomarańczowy na stoliku i wodę w pojemniku z rurką.

Przez cały ten czas oszukiwałem się, że na pewno będzie dobrze, i zaliczanie faz szło mi znacznie gorzej niż mamom. Z fazy negacji i negocjacji nagle znalazłem się w fazie zmywania, bo właśnie tym się kompulsywnie zająłem, kiedy pół roku później ojciec zadzwonił z informacją, że już po wszystkim. Wiele osób po usłyszeniu o czyjejś śmierci robi coś pozornie bezsensownego, na przykład parzy herbatę, której nie pije, odpisuje na maile lub porządkuje szafę. Ja zacząłem zmywać i do dzisiaj czuję, jakbym nie skończył.

RUSZTOWANIE | Właściwie nigdy nie przeżyłem żałoby. Po telefonie od ojca pojechałem do miasta, żeby porozmawiać z partnerką, i głównie martwiłem się tym, co będzie z babcią, mamą mojej mamy, która żyje do dzisiaj. Nie przeszło mi przez myśl, że powinienem się pomartwić o siebie. Też jestem zadaniowcem, więc uznałem, że jakoś to będzie, i zanim się obejrzałem, ryczałem na opowiadaniach Juliana Barnesa o odchodzeniu i z rozmachem rozwalałem swoje życie. Nie wiedziałem, jak mam przeżyć żałobę, bałem się jej, byłem niedojrzałym, dwudziestopięcioletnim szczylem. Powinienem był wziąć przykład z babci, kobiety doświadczonej w stracie, ale myślałem, że sobie poradzę, gdyż moim zadaniem było poradzić sobie.

Moja sąsiadka ma trzech dorosłych synów, i choćby nie wiem jak była gotowa na każdy scenariusz, to oni nie są. Nie mogę być tego pewien, ale jestem. Byłem maminsynkiem, moi rodzice śmiali się, że jeśli wezmę w życiu ślub, to chyba tylko

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Bardzo bym chciał, żeby wszyscy ojcowie wiedzieli nie tylko, gdzie są małe ręczniki, ale też na przykład poszewki i wyciskarka do czosnku, zanim ich żony zachorują.

z mamą, i niewiele się pomylili, bo jakoś do dzisiaj go nie wziąłem. Ale nie sądzę, żeby chodziło tylko o to. Dzięki mamom rodziny działają. Nie wszystkie, oczywiście, ale niektóre właśnie wyłącznie dzięki nim. To mamy wiedzą, gdzie są małe ręczniki, dzięki którym życie staje się niezauważalnie lepsze albo przynajmniej znośne.

ROZPAD | Kiedy słucham o raku mojej sąsiadki, albo przyjaciółki, też matki, jestem sparaliżowany. Czuję strach i bezsilność, jakie towarzyszyły mi czternaście lat temu, i wiem, że nie potrafię reagować właściwie. Badania potwierdzają, że społeczne oczekiwania wobec mężczyzn tłumią ich zdolność do wyrażania i przetwarzania żałoby w zdrowy sposób. Wielu mężczyzn unika wsparcia i cierpi w samotności, co w dłuższej perspektywie prowadzi do izolacji, odwracania uwagi od żalu kompulsywnymi zajęciami czy powracającymi napadami gniewu. U mężczyzn obserwowano wyższy poziom ostrego stresu niż u kobiet. Jake Gyllenhaal oddający się spektakularnej rozwałce po śmierci żony w filmie „Destrukcja" to nie precedens i wybryk, ale raczej z trudem powstrzymywana męska fantazja, brutalne wołanie o pomoc. Wiem coś o tym. Nie znając żadnego społecznie sankcjonowanego sposobu okazywania żalu, zająłem się eskapizmem, odwróconą archeologią, czyli zakopywaniem tego, co było dla mnie ważne, i wielopoziomową destrukcją. Mało brakowało, a wylądowałbym na ulicy, bo nie miałem siły, żeby pracować. W moim przypadku czas liczył rany.

DŁUG | U większości osób żałoba ulega adaptacji w czasie od pół do roku, ja w swojej mógłbym już zamieszkać, bo spłacam ją jak kredyt hipoteczny. Dopiero po kilku latach nabrałem przekonania, że coś robię źle. Że pod powierzchnią coś ciągle wrze i buzuje. Stratę matki przeżywałem zapośredniczywszy ją w zakończonym romansie i popadając w przesadzoną rozpacz. Bałem się bliskości, ale bałem się też samotności. Na wspomnienie mamy kupującej mi króliczka w drodze ze szkoły w sklepie na Szkolnej dostawałem spazmów. Mijały dni, mijały lata, myślałem, że jest coraz lepiej, ale wtedy zobaczyłem siebie kryjącego się za liściem monstery w kuchni, zerkającego, czy sąsiadka skończyła jarać szluga.

Przecież ona się nawet nie boi śmierci. Mówi do mnie, że jest gotowa na wszystko, a ja jej wierzę, bo też chciałbym być.

NURT | O mamie opowiadam już bez łez w oczach. Czasem, kiedy nie mogę wytrzymać szumu w uszach, zazdroszczę jej, że się z nim uporała. To u nas rodzinne, jak słabe zęby. Nie pamiętam jej głosu, ale pamiętam, że wkurzał mnie sposób, w jaki czytała na głos artykuły z gazet i książki. „Czytaj normalnie!", krzyczałem do niej. „Czyli jak?". „Normalnie!".

Życie po stracie to ciąg pozornie racjonalnych i normalnych ruchów prowadzących do bolesnego *katharsis*. W opowiadaniu Johna Cheevera „Pływak" Neddy Merrill drogę do domu przez bogate przedmieścia przemierza przepływając uparcie baseny swoich sąsiadów. Przedsięwzięcie ma jawnie kompulsywny charakter, który nie może zostać zaburzony przez zerwanie łańcucha basenów, pogodę czy przedłużające się pogawędki. Neddy swoją odyseję, będącą metaforą i bilansem jego życia, musi zakończyć w sposób, jaki wybrał albo jaki został mu objawiony i nadany. Nie powstrzyma go pusty akwen. Pod koniec dnia ma dość, płacze chyba po raz pierwszy w dorosłym życiu, bo „z pewnością po raz pierwszy w życiu czuł się tak nieszczęśliwy". Ostatni basen pokonuje upokarzającym dla pływaka pieskiem i dociera do swojego domu, w którym nikogo już nie ma.

Odłożona żałoba to próba utrzymania się na wodzie. Dni i lata są jak baseny, które trzeba pokonać, żeby nie pójść na dno. Ostatnie płynie się na plecach albo jakimś pokracznym stylem, przystaje co chwila na krawędzi, żeby złapać oddech. Na końcu jest pusty dom, a przy odrobinie szczęścia ktoś z małym ręcznikiem.

© BARTOSZ SADULSKI

TAJNA MISJA KOSMITÓW

Amerykański rząd rozpoczął odtajnianie dokumentów poświęconych UFO. Na razie miłośnicy zielonych ludzików są rozczarowani, ale psychologowie i socjologowie będą zachwyceni.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Widać światła. Punkty światła, błyski światła. Płyną przez przestrzeń". Alan Bean, astronauta misji Apollo 12, próbował opisać to, co widział nad powierzchnią Księżyca w listopadzie 1969 r. Chwilę później dodał: „Wygląda, jakby część tych rzeczy uciekała z Księżyca".

Nie był jedynym. Kilku astronautów misji Apollo miało obserwować na powierzchni Księżyca i nad nią zjawiska, które wydawały się im dziwne. Ich relacje zostały właśnie opublikowane przez amerykański rząd. Donald Trump i jego poplecznicy mówią o radykalnej transparencji. Przeciwnicy twierdzą, że prezydent próbuje kolejnym świecidełkiem odwrócić uwagę od prawdziwych problemów. A ci, którzy nie mogli doczekać się na oficjalne zdjęcia kosmitów z Roswell, zastanawiają się, co właściwie mamy zrobić z następnym zestawem fotografii rozmazanych plam.

Kosmiczna nostalgia

Pakiet dokumentów opublikowanych na stronie stworzonej przez Departament Obrony (obecnie nazywany Departamentem Wojny) składa się z ponad 160 pozycji. Są wśród nich wojskowe nagrania z Bliskiego Wschodu, relacje astronautów, fotografie z misji Apollo, raporty FBI z lat 40., a także współczesne opisy świetlistych obiektów obserwowanych przez żołnierzy i federalnych urzędników. Strona wygląda jak dzieło miłośnika „Archiwum X" z czasów wczesnego internetu. Czarne tło, „wojskowa" typografia i komunikaty o „nierozwiązanych przypadkach" budują atmosferę mrocznej tajemnicy.

Jednocześnie po kilku dniach analiz trudno wskazać choć jeden materiał, który rzeczywiście zmieniałby nasz stan wiedzy o UFO. Dominują nagrania niewyraźnych świateł, relacje pozbawione pełnego kontekstu i dokumenty z dużymi fragmentami zaczernionymi przez wojskową cenzurę. Nie oznacza to, że nic interesującego nie dzieje się czasem na naszym niebie. Ale jeśli to rzeczywiście ma być przegląd tego, co znajduje się w archiwach Pentagonu, to wojskowi też nie mają zielonego pojęcia, czym są niezidentyfikowane obiekty.

Faktem jest jednak, że UFO, po długiej przerwie, wraca do mainstreamu. Temat, który rozpalał wyobraźnię w latach 70. czy 80., został na kilka dekad relegowany do kulturowej piwnicy razem z potworem z Loch Ness, Yeti czy telewizyjnymi jasnowidzami. Kojarzył się z tabloidami, tanimi serialami i internetowymi forami poświęconymi teoriom spiskowym.

Dziś sytuacja wygląda inaczej. W 2022 r. Pentagon powołał All-domain Anomaly Resolution Office, w skrócie AARO, czyli specjalne biuro zajmujące się analizą niezidentyfikowanych zjawisk obserwowanych w powietrzu, na morzu i w przestrzeni kosmicznej. Jednostka powstała po serii nacisków ze strony Kongresu i medialnym rozgłosie wokół wojskowych nagrań zarejestrowanych przez pilotów marynarki wojennej USA. AARO działa w strukturach Departamentu Obrony i ma zbierać oraz analizować zgłoszenia dotyczące UAP – niezidentyfikowanych zjawisk anomalnych. Sama zmiana nazwy jest znacząca. „UAP" brzmi jak techniczny termin z raportu

CFHDESIGN / ADOBE STOCK

bezpieczeństwa narodowego, podczas gdy „UFO" (niezidentyfikowany obiekt latający) wciąż kojarzy się z popkulturą i *science fiction*.

Kongres wrócił do tematu po raz pierwszy od pół wieku w maju 2022 r., kiedy odbyło się publiczne przesłuchanie poświęcone UAP. Kolejne miały miejsce w latach 2023 i 2024. Największy rozgłos przyniosło przesłuchanie z lipca 2023 r., podczas którego były oficer wywiadu David Grusch twierdził, że amerykański rząd od lat ukrywa programy związane z odzyskiwaniem „nieludzkich technologii". Nie przedstawił jednak publicznie dowodów potwierdzających te oskarżenia.

Prezydenckie fantazje

Równolegle NASA opublikowała własny raport dotyczący UAP. Agencja stwierdziła, że nie ma dowodów na pozaziemskie pochodzenie obserwowanych zjawisk, ale jednocześnie przyznała, że część przypadków pozostaje niewyjaśniona z powodu ograniczonej jakości danych.

Amerykańskie państwo bada zresztą podobne przypadki od dekad. Już pod koniec lat 40. siły powietrzne prowadziły Project Sign, później Project Grudge, a następnie najbardziej znany Project Blue Book. W latach 1952-1969 amerykańskie lotnictwo zebrało ponad 12 tys. zgłoszeń dotyczących UFO. Ostateczny raport Blue Book stwierdzał, że nie znaleziono dowodów na zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego ani potwierdzenia pozaziemskiego pochodzenia obserwowanych obiektów. Mimo to temat regularnie wracał. W 2021 r. Biuro Dyrektora Bezpieczeństwa Narodowego opublikowało raport analizujący 144 „wojskowe" przypadki UAP. Większości nie udało się jednoznacznie wyjaśnić, ale raport również nie zawierał dowodów na obecność obcych technologii.

Trump nie jest zresztą pierwszym prezydentem, który temat wykorzystuje. Jimmy Carter publicznie opowiadał o własnej obserwacji UFO nad Georgią w 1969 r. Ronald Reagan podczas przemówienia w ONZ mówił, że „zewnętrzne zagrożenie z kosmosu" mogłoby zjednoczyć ludzkość. Bill Clinton przyznawał po latach, że interesował się Area 51 (położoną na pustyni w Nevadzie bazą wojskową, służącą testowaniu nowych technologii) i sprawdzał, czy rzeczywiście nie ukrywa się tam coś niezwykłego. Barack Obama żartował w telewizji, że gdyby rząd naprawdę posiadał dowody na obecność kosmitów, „któryś strażnik zrobiłby sobie *selfie* z obcym i wysłał dziewczynie". Jednocześnie dodawał już całkiem serio, że istnieją nagrania obiektów, których trajektorii i sposobu ruchu nie umiemy dobrze wyjaśnić.

To zresztą właśnie Obama jest powodem, dla którego Pentagon ujawnił najnowszy pakiet. W lutowym wywiadzie stwierdził, że kosmici „są prawdziwi", po czym musiał doprecyzować, że chodziło mu o statystyczne prawdopodobieństwo życia we wszechświecie, a nie o zielonych lokatorów Area 51. Internet zawrzał, a Donald Trump nie mógł najwyraźniej puścić płazem tego, że ktoś znowu rozmawia o znienawidzonym przez niego poprzedniku. Niemal natychmiast oświadczył na portalu Truth Social, że Obama powiedział za dużo, nazwał to „wielkim błędem" i zapowiedział ujawnienie akt UFO. Wystarczyło, że Obama znów znalazł się w centrum uwagi, by Trump odpowiedział własnym spektaklem.

Wina kosmitów

W nowych aktach Pentagonu znalazł się zapis rozmowy z misji Gemini 7 z grudnia 1965 r. Astronauta Frank Borman zgłosił centrum kontroli lotów obecność niezidentyfikowanego obiektu obok kapsuły. „Mamy tu coś przed sobą" meldował podczas transmisji. Chwilę później mówił też o „trylionach małych cząstek" widocznych po lewej stronie statku. Kontrola lotów próbowała ustalić, czy mogą to być fragmenty rakiety albo odbicia światła, ale dokument nie zawiera jednoznacznego wyjaśnienia incydentu.

Wspomniany na początku Alan Bean nie był jedynym astronautą, który widział „coś" podczas księżycowych misji. Już podczas lotu Apollo 11 Buzz Aldrin wspominał o „jasnym źródle światła" widocznym podczas podróży na Księżyc. Załoga podejrzewała działanie lasera albo odbicie światła od elementu rakiety Saturn V, która wyniosła statek w kosmos.

Trzy lata później załoga Apollo 17 podczas lotu wokół Księżyca obserwowała regularne błyski światła za oknami statku. Harrison „Jack" Schmitt porównał je do fajerwerków i powiedział, że wygląda ↦

↦ to „jak czwarty lipca”. Astronauci zastanawiali się, czy mogą to być odbicia kryształków lodu albo drobin wyrzuconych przez statek, ale nie udało się tego potwierdzić. Pentagon opublikował również zdjęcia wykonane podczas misji, na których nad księżycowym horyzontem zaznaczono jasne punkty i smugi światła.

Bliżej Ziemi ujawnione raporty FBI sięgają 1957 r., kiedy świadek opisywał „duży, okrągły pojazd” unoszący się nad lądem. Według relacji obiekt był metaliczny, miał kształt dysku i poruszał się bezgłośnie.

W innych materiałach FBI opisano incydent z września 2023 r. Kilku federalnych pracowników obserwowało nad zachodnią częścią USA jasne kule pojawiające się na niebie o zmierzchu. Według relacji obiekty pozostawały nieruchome, po czym jedna z kul miała wypuszczać kolejne punkty światła. Świadkowie twierdzili również, że obiekty poruszały się bezgłośnie i gwałtownie zmieniały kierunek.

W innym raporcie FBI opisuje sytuację, w której do śmigłowca uczestniczącego w akcji poszukiwawczej zbliżyły się obiekty zidentyfikowane przez czujniki podczerwieni jako „bardzo gorące”. Jeden z nich miał znaleźć się około trzech metrów od maszyny. Dokument nie podaje miejsca zdarzenia ani wyjaśnienia obserwacji.

W tym samym zbiorze znajduje się raport o elipsoidalnym obiekcie widzianym w 2023 r. nad jednym z pól w USA. Według świadków pojawił się po jasnym błysku i zniknął po kilku sekundach. Laboratorium FBI przygotowało szkic obiektu na podstawie relacji świadków. W dokumentach opisano go jako metaliczny i brązowawy.

W materiałach wojskowych pojawia się także nagranie wykonane nad Bliskim Wschodem w 2022 r. Kamera rejestruje jasny, owalny obiekt przecinający kadr z lewej do prawej strony. Pentagon zaznaczył w raporcie, że mógł to być pocisk, ale sprawy formalnie nie zamknięto. Inne nagranie z 2024 r. pokazuje biały obiekt określony przez wojskowych jako „nieregularna kula światła” widziana nad Syrią.

W jednym z bardziej nietypowych dokumentów opisano zdarzenie z października 2001 r. Gruzińskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych oskarżyło wtedy rosyjskie lotnictwo o naruszenie przestrzeni powietrznej i bombardowanie wąwozu Kodori. Rosjanie odpowiedzieli, że Gruzini widzieli UFO. W aktach Pentagonu zachował się dokument z odpowiedzią strony gruzińskiej, która określiła rosyjskie wyjaśnienie jako „bezczelne kłamstwo”.

Błędy perspektywy

Trudno uznać którąkolwiek z tych relacji za przełomową czy nawet mgliście oryginalną, bo podobnych opowieści i rozmazanych zdjęć piłek, kul, cygar czy światełek w archiwach ufologów są miliony. Wyróżnia się tu chyba tylko gruziński incydent, choć raczej trudno uznać go za dowód na istnienie kosmitów.

Nawet osoby głęboko zaangażowane w tropienie obcych cywilizacji wydają się rozczarowane, że ten pakiet jest wszystkim, na co w ramach „transparencji” stać było Biały Dom. Avi Loeb, były profesor fizyki teoretycznej na Uniwersytecie Harvarda, który po przejściu na emeryturę zajął się głównie poszukiwaniem śladów kosmitów, z jednej strony mówi, że czytając raporty, czuł się jak „dziecko w sklepie z cukierkami”, ale z drugiej przyznaje, że obecna partia dokumentów nie zawiera żadnego przekonującego dowodu na pozaziemskie pochodzenie obserwowanych obiektów. Dodaje z nadzieją, że „najlepsze dopiero przed nami”, bo kolejne materiały mają zostać opublikowane po zakończeniu procedur odtajniania.

Mick West, jeden z najbardziej znanych sceptyków zajmujących się analizą nagrań UAP, skwitował nową publikację Pentagonu krótko: „więcej kropek, więcej błędów perspektywy”. Michael Shermer, wydawca magazynu „Skeptic”, zwraca uwagę, że nawet większość środowiska zainteresowanego UFO przyznaje, iż 90-95 proc. zgłoszeń znajduje później zwyczajne wyjaśnienie. Wśród najczęstszych przyczyn wymienia się balony meteorologiczne, satelity, drony, odbicia światła, zjawiska atmosferyczne, planety widoczne nisko nad horyzontem oraz błędy aparatury.

A że część obserwacji zgłaszali zawodowi piloci i astronauci? Oni sami dobrze

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ CZAS!

ZIELONA GÓRA, środa, 20 maja, godz. 18.00, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13), spotkanie dyskusyjne z Natalią Kaźmierską, szwedzką dziennikarką śledczą, i Romanem Kaźmierskim, poetą. Moderator spotkania: Konrad Stanglewicz.

KATOWICE, środa, 20 maja, godz. 18.00, Dom Śląski (ul. Stalmacha 17), „Synod obok papieża” – Droga Synodalna w Niemczech: argument z Biblii czy świata? Wprowadzenie: Bogusław Tabaszewski.

TRÓJMIASTO, środa, 20 maja, godz. 18.00, Biblioteka Manhattan (Al. Grunwaldzka 82, Gdańsk), „Mniej znane oblicze Teatru Wybrzeże”. Goście: Małgorzata Abramowicz, Jerzy Kiszkis. Prowadzenie: Ewelina Stefańska. Spotkanie współfinansowane przez Miasto Gdańsk.

WARSZAWA, czwartek, 21 maja, godz. 18.30, sala KIK (ul. Freta 20/24A), „Adhortacja apostolska »Dilexi te« Leona XIV w świetle katolickiej nauki społecznej”, panel dyskusyjny z udziałem Moniki Białkowskiej, Ignacego Dudkiewicza i Ryszarda Szarfenberga. Prowadzenie: Magdalena Macińska. Spotkanie współorganizowane z ATD Czwarty Świat Polska.

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

wiedzą, jak łatwo w powietrzu i przestrzeni kosmicznej pomylić rozmiar, odległość albo prędkość obserwowanego obiektu.

Scott Kelly, trzykrotny dowódca Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, który w 2015 i 2016 r. spędził na jej pokładzie rok, opowiadał trzy lata temu o licznych sytuacjach, gdy w powietrzu czy kosmosie spotykał niezidentyfikowane obiekty.

„Pamiętam, jak kiedyś latałem nad wojskowym obszarem operacyjnym w rejonie Virginia Beach" – mówił podczas publicznego spotkania zespołu NASA ds. UAP. „Mój RIO, czyli oficer przechwytujący cele radarowe siedzący z tyłu Tomcata, był przekonany, że właśnie minęliśmy UFO. Ja go nie widziałem, więc zawróciliśmy, żeby przyjrzeć się temu jeszcze raz. Okazało się, że to był balon z Bartem Simpsonem".

Kelly przywoływał też historię swojego brata bliźniaka, Marka, również astronauty, a dziś senatora. Podczas misji promu kosmicznego STS-124 załoga zauważyła obiekt unoszący się nad ładownią wahadłowca. Astronauci sądzili, że może to być śruba albo fragment wyposażenia, który potencjalnie mógłby uszkodzić drzwi ładowni podczas zamykania. Rozważano nawet spacer kosmiczny, by usunąć zagrożenie. Dopiero po wykonaniu zdjęcia i jego powiększeniu okazało się, że „obiekt nad ładownią" był w rzeczywistości Międzynarodową Stacją Kosmiczną znajdującą się około 120 km dalej.

Kosmici z głównego tematu konspiracyjnych teorii **stali się zmyłką. Wabikiem na frajerów.** Prawdziwe spiski mają być dzisiaj o wiele bardziej przyziemne.

Ten prawdziwy spisek

Opublikowane akta szybko zostały wciągnięte w bieżącą walkę polityczną. Donald Trump przedstawia ich odtajnienie jako element szerszej polityki transparentności. Problem w tym, że część jego własnego zaplecza interpretuje całą operację dokładnie odwrotnie.

Marjorie Taylor Greene, była gorąca zwolenniczka Trumpa, która kilka miesięcy temu ostro się z nim skłóciła, nazwała publikację „propagandą błyskotek". Według Greene administracja wykorzystuje publikację akt UFO, by odwrócić uwagę od sprawy przestępcy seksualnego Jeffreya Epsteina i pytań o sieć jego politycznych oraz biznesowych kontaktów.

To ciekawe przesunięcie. UFO od dekad funkcjonowało jako symbol przekonania, że państwo coś ukrywa przed obywatelami. Dziś ujawnienie dokumentów na ich temat jest interpretowane przez część opinii publicznej jako próba ukrycia czegoś innego. Kosmici z głównego tematu konspiracyjnych teorii stali się zmyłką. Wabikiem na frajerów. Prawdziwe spiski mają być dzisiaj o wiele bardziej przyziemne.

W tym sensie najnowsza fala zainteresowania UFO mówi prawdopodobnie więcej o współczesnej Ameryce niż o życiu pozaziemskim. Temat stał się elementem szerszego kryzysu zaufania do instytucji, mediów i państwa. Każda czarna belka zasłaniająca fragment dokumentu natychmiast uruchamia podejrzenie, że gdzieś istnieje „prawdziwa historia", której społeczeństwo nadal nie zobaczyło.

A jednocześnie kolejne publikacje Pentagonu pokazują coś znacznie bardziej banalnego: świat pełen nieostrych obrazów, błędów percepcji, wariujących wojskowych sensorów i zjawisk, których po prostu nie da się jednoznacznie zinterpretować. Nie dlatego, że są pozaziemskiego pochodzenia, tylko dlatego, że wciąż brakuje nam na ich temat danych.

Czy oznacza to, że prawdy nie ma „gdzieś tam", jak mawiał Fox Mulder w serialu „Z Archiwum X"? Że jesteśmy w kosmosie sami? Niekoniecznie. Nauka od dawna podziela przekonanie Baracka Obamy, że życie w kosmosie najprawdopodobniej istnieje. Ale kiedy wreszcie staniemy z nim twarzą w twarz, prawdopodobnie natychmiast będziemy mieli dowody lepsze niż kolejna rozmazana fotografia. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep „Tygodnika Powszechnego"

DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA

SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl

HISTORIA

HEGSETH Z MARSA

Kultura, w której tożsamość wojownika manifestuje się w brutalności, nie sprawia, że staje się on groźniejszy dla wrogów. Tak było w średniowieczu, tak jest dziś.

MACIEJ TALAGA

Stany Zjednoczone przystąpiły do starcia z Iranem, mając przytłaczającą przewagę technologiczną, najdroższą armię świata i sekretarza wojny, który w programowym przemówieniu obiecał swoim generałom, że „zmiażdżą" każdego wroga „przemocą, precyzją i furią". Aktualny wynik, przynajmniej w aspekcie militarnym, okazuje się jednak mniej imponujący. Popełniono błędy, które badacze wojskowości będą zapewne analizować przez wiele lat.

Jednak był w tym także pewien dużo starszy wzorzec, który sprawił, że obecnemu amerykańskiemu przywództwu trudno było tych błędów uniknąć. Być może nie jest zatem całkowicie bezużyteczne, jeśli mediewista-antropolog, specjalizujący się w historii praktyk bojowych, pokusi się o ocenę.

PRZED PUBLIKĄ | Badam ludzi, którzy znaczną część swojego życia i uwagi poświęcali walce. To, czego byłem świadkiem w ostatnich miesiącach – od przemówienia sekretarza wojny Pete'a Hegsetha do jego generałów w Quantico aż po amerykańsko-izraelską wojnę na Bliskim Wschodzie – podąża według wzorca, który w moich źródłach powtarza się często.

Jest to wzorzec, który aktywuje się, gdy armia myli odgrywanie tożsamości, czyli inscenizowanie wojowniczości przed własną publiką, z praktykowaniem sztuki wojennej.

Świat średniowieczny – ten środkowoeuropejski, bliski nam geograficznie i kulturowo – miał nawet nazwę dla tego rodzaju pomyłki. Mentalność, która ją rodzi, uważał za domenę Marsa – planety, a zarazem antycznego boga-wojownika – i rozumiał, nauczony własnymi kosztownymi doświadczeniami, że Mars często przegrywa wojny.

MARS I SŁOŃCE | Późnośredniowieczna europejska kosmologia dzieliła świat między rządzące nim planety, których cykle wpływały na zachowania ludzi i przyrody. Mars władał wojną impulsywną, łamiącą normy, nastawioną na dominację i zniszczenie. Natomiast Słońce rządziło czymś zgoła innym: społecznie usankcjonowanymi, a więc honorowymi i wspólnototwórczymi formami walki. Ówczesna ikonografia przedstawia je obok takich godnych pochwały zachowań jak modlitwa, jałmużna czy praktykowanie dworności.

Późnośredniowieczne rękopisy należące do niemieckiego cyklu „Planetenkinder" (Dzieci planet) ukazują „dzieci Marsa" jako zbójców i żołdaków, trudniących się rabunkiem i niestroniących od mordowania bezbronnych. „Dzieci Słońca" zaś to zapaśnicy, szermierze, rycerze: wojownicy, których waleczność cechuje wzajemny respekt i uznanie człowieczeństwa przeciwnika.

Pozornie jest to więc rozróżnienie dwóch postaw wobec przemocy jako środka do celu. Jednej, która uważa, że cel uzasadnia najdrastyczniejsze środki. I drugiej, która zakłada samoograniczenie walczących w taki sposób, by nie przekreślić możliwości budowania wspólnoty z wrogiem po walce. Jednak takie postawienie sprawy pomija kluczowy aspekt.

KULT PRZEMOCY | Historyk Richard Kaeuper w swoim wpływowym studium „Chivalry and Violence in Medieval Europe" (Rycerskość i przemoc w średniowiecznej Europie) wykazał, że średniowieczne rycerstwo było chronicznie dotknięte czymś, co nazwał „kultem półboskiej dzielności" (*cult of demigod prowess*) – sakralizacją wojowniczości tak daleko posuniętą, że „marsowa" przemoc stapiała się z honorem, pobożnością i etosem zawodowym, stając się w efekcie fundamentem rycerskiej tożsamości.

Podążając za takim ideałem „dzielności", rycerz nie walczył przede wszystkim po to, aby osiągnąć określone cele, lecz dlatego, że walka była konstytutywna dla tego, kim był.

ANN RONAN PICTURES / BE&W

Pierwsza krucjata (1096-1099), Les Passages d'Outremer, manuskrypt XV w.

Kaeuper wykazał, że ideologia ta była nie tylko ubocznym elementem niestabilności średniowiecznego społeczeństwa i jego podatności na wybuchy przemocy, lecz zarazem ich głównym źródłem. Kult dzielności wytwarzał strategiczny chaos – w postaci sił zbrojnych niezdolnych do deeskalacji, składających się z wojowników, którzy dla podtrzymania własnej tożsamości potrzebowali istnienia wrogów.

MOWA HEGSETHA | Rzecz w tym, że nie są to jedynie dawne dzieje. 30 września 2025 r. sekretarz wojny USA przemawiał do generałów i admirałów swego resortu, który właśnie przemianował na Departament Wojny. Jego mowa to dokument niezwykły, a jego ciężar staje się jaśniejszy w miarę rozwoju wypadków. Jeśli ogołocić ją ze współczesnej stylistyki, typowej dla środowiska politycznego, z którego wywodzi się Hegseth, jest ona w gruncie rzeczy średniowiecznym manifestem kultu dzielności.

Hegseth wprost stawia fizyczną dominację, agresję i śmiercionośność jako naczelne wartości tożsamości wojskowej. Imię Boga wymienia jednym tchem z wyrachowanym zabijaniem. Krytykuje mechanizmy odpowiedzialności – kontrolę inspektora generalnego, procedury równego traktowania, ocenę psychologicznej stabilności dowódców – jako tłumiące „etos wojownika" (i je rozmontowuje).

Dalej: Hegseth odrzuca podejście administracji Bidena, które określa jako „przywództwo unikające ryzyka", uznając je za porażkę także moralną (potem będzie zwalniać oficerów nie tyle za brak strategicznej skuteczności, lecz za kulturowe skażenie). Oświadcza, że wojownicy „zawodowo zabijają ludzi i niszczą rzeczy" i „niekoniecznie przynależą do grzecznego towarzystwa".

Oznajmia też, że mottem plutonu, którym dowodził na początku swej kariery oficera, było antyczne powiedzenie: *si vis pacem, para bellum* – chcesz pokoju, szykuj się do wojny.

Jednak rzeczywista logika jego przemówienia staje w poprzek tego motta: próbuje budować nie pokój przez projekcję siły, lecz tożsamość przez wojnę.

KWESTIA MIARY | Tym, co Hegseth demontuje, jest właśnie „słoneczność", którą składa na ołtarzu „marsowości".

Tymczasem tradycja średniowiecza, którą tu przywołuję – wypracowana w czasach naznaczonych przemocą, gdy polityczna siła klasy zawodowych wojowników była większa niż dziś – rozumiała „słoneczność" jako fundament skutecznych sił zbrojnych. Kulturowe dowartościowanie kooperatywnych, kształtujących zdolność do samoograniczenia sposobów prowadzenia walki miało umożliwiać długotrwały i celowy wysiłek wojskowy.

W tym świetle owe mechanizmy odpowiedzialności, które Hegseth obarcza winą za uwiąd „etosu wojownika" w USA, są raczej instytucjonalnym odpowiednikiem tego, co średniowieczni mistrzowie walki nazywali „miarą" lub „umiarkowaniem" – zdolnością kalibrowania siły do okoliczności i celu (wypracowaną przez długotrwałą praktykę).

O CO WALCZYMY? | Anonimowy rękopis z przełomu wieków XIV i XV, jeden z najstarszych znanych europejskich traktatów o sztuce walki, przestrzega przed poleganiem na czystej sile i agresji, gdyż takie podejście, choć czasem zwycięskie, jest bardziej podobne do hazardu niż do prawdziwego męstwa.

Takie porównanie – współczesnej operacji wojskowej ze średniowieczną myślą na temat sztuki walki – jest może nieortodoksyjne, ale nie sądzę, aby było chybione. ↦

Tak jak w średniowieczu, kult dzielności dostarcza dziś potężnych bodźców do walki. Czego jednak nie potrafi dostarczyć, to spójnej odpowiedzi na pytanie, przed którym każda siła zbrojna musi w końcu stanąć: o co walczymy i po czym poznamy, że osiągnęliśmy cel?

Postępowanie Iranu w tej wojnie stanowi studium przypadku tego, co następuje, gdy siła ożywiana „marsową" kulturą wojowania napotyka przeciwnika, który ma wprawdzie nadal „marsową", brutalną i bezwzględną, ale jednak wyraźniejszą odpowiedź na to pytanie.

LOGIKA IRANU | Ważne jest przy tym, aby oprzeć się fałszywej symetrii.

Strategia Iranu nie była ani powściągliwa, ani humanitarna. Teheran eskalował szybko i celowo, uderzając w infrastrukturę cywilną w państwach Zatoki niebiorących udziału w tej wojnie – atakując odsalarnie, lotniska, hotele, instalacje energetyczne. Eskalacja Iranu była zarówno horyzontalna (dotknęła 14 krajów), jak i wertykalna, przesuwając się od celów wojskowych do cywilnych. Nie była to żadną miarą odpowiedź „słoneczna".

A jednak miała strategiczną logikę, której podejściu USA wyraźnie brakowało. Celem Iranu, jasno sformułowanym i realizowanym, było uczynienie tej wojny na tyle kosztowną, by stała się – w ujęciu Teheranu – „ostatnią wojną". Miała stanowić akt odstraszania tak bolesnego, że przyszłe działania wojskowe stałyby się politycznie nie do pomyślenia. Każdy eskalacyjny ruch (jakkolwiek brutalny i nierzadko nieskuteczny) wpisywał się w określony jasno cel końcowy, który wykraczał poza afirmowanie własnej wojowniczości.

Innymi słowy, za przemocą Iranu kryła się odpowiedź na pytanie: „jakie praktyczne cele chcemy osiągnąć?".

FAFO | Nowy amerykański „etos wojownika" nie dostarcza porównywalnej odpowiedzi. FAFO – f*uck around and find out*, wulgarny akronim, którym Hegseth posłużył się przed generałami (z grubsza: „rób głupoty i ponieś skutki") – nie jest strategią. Podobnie „zmiażdżyć ich przemocą, precyzją i furią" nie jest zdefiniowanym celem. Gdy Iran odczytał postawę Hegsetha jako sygnał, że Stany nie są zainteresowane proporcjonalnością ani powściągliwością, odpowiedział w podobny sposób.

Sięgnijmy znów do wieków średnich. Romans arturiański „Jaufre" z precyzją oświetla tę dynamikę. Jaufre to biegły rycerz, który okazuje miłosierdzie pokonanym wrogom – ale tylko wtedy, gdy ci działają w ramach konwencji regulowanej walki. Wobec tych, którzy sygnalizują, że zabiją go niezależnie od jego „grzeczności", bez wahania odzwierciedla ich bojową, „marsową" intencję.

Jak zauważa badaczka Laura Bernardazzi, „zachowanie Jaufre'a jest bezpośrednio powiązane z zachowaniem jego przeciwników". Inaczej mówiąc: wojownik „słoneczny" nie może jednostronnie zachować powściągliwości, gdy druga strona ją porzuca. Poziom przemocy w starciu wyznacza zatem jego najbardziej „marsowy" uczestnik.

Cykl eskalacyjny USA/Izrael-Iran – ruch jednej strony, prowokujący ruch drugiej i go usprawiedliwiający – jest tą właśnie dynamiką, tyle że w skali geopolitycznej. A strona, która zainicjowała porzucenie konwencji „słonecznych", mając najdroższą armię świata i ideologię celebrującą przemoc jako konstytutywną dla tożsamości, znalazła się na wojnie, dla której nie ma, jak dotąd, ram pozwalających ją zakończyć.

NASZA SPRAWA | Dlaczego powinno to niepokoić nas, Europejczyków, a zwłaszcza Polaków, znajdujących się na wschodniej flance NATO?

Nasz region się zbroi – koniecznie i z uzasadnionych powodów. Wojna Rosji z Ukrainą unaocznia, że zdolności wojskowych nie można delegować na zewnątrz. Zbrojenia to jednak nie tylko kwestia budżetów i decyzji administracyjnych. To także, nieuchronnie, kwestia kultury. Tego, jaka tożsamość zbiorowa jest konstruowana – obok nowych systemów uzbrojenia i powiększonych budżetów obronnych.

W tym kontekście atmosfera w części Europy Środkowej zmierza w kierunku zasługującym na uwagę. Podczas wizyty w Warszawie w lutym 2025 r. Hegseth oświadczył, że łączy nas z Amerykanami „niezrównana więź" oparta na wspólnym „etosie wojownika".

Strona polska przyjęła to bez wahania. Sama kategoria „etosu wojownika" weszła w polski dyskurs publiczny jako termin neutralny lub pozytywny – relacjonowany i niekiedy afirmowany, lecz, jak dotąd, niepoddany głębszemu namysłowi.

Tymczasem retoryka zbliżona do popularyzowanego przez administrację USA „etosu wojownika" – a więc fascynacja męstwem pojmowanym jako bezwzględna śmiercionośność, podejrzliwość wobec mechanizmów wymuszających proporcjonalność jako objawu słabości, pogarda dla przywództwa „unikającego ryzyka" – znajduje w naszym regionie podatny grunt.

Często odczytywana jest przy tym jako przejaw determinacji, która jest dla wielu odbiorców odświeżająca po dekadach czegoś, co postrzegają jako pacyfistyczny marazm.

LEKCJA SPRZED WIEKÓW | Tymczasem historia sugeruje, że sprawa jest bardziej złożona.

Średniowieczne źródła argumentujące za umiarkowaniem – tj. za skalibrowaną kulturą walki – nie były pisane przez ludzi, którzy nie widzieli przemocy. Przeciwnie: żyli oni w czasach powszechnych konfliktów i widzieli z bliska, czym skutkuje niepohamowany „kult dzielności". Anonimowy autor pieśni „Raoul de Cambrai" (to realistyczny portret rycerzy z przełomu wieków XII i XIII) stwierdzał rzeczowo, że „człowiek nieokiełznany ma wielkie trudności z przeżyciem" – i w walce, i w życiu w ogóle.

Kultura, w której tożsamość wojownika manifestuje się głównie w „marsowości", nie sprawia, że staje się on groźniejszy dla wrogów. Taka kultura jest groźna dla samych wojowników. I dla społeczeństw, które ci powinni chronić.

Średniowieczni nauczyciele sztuk walki rozumieli, że choć i Mars, i Słońce były potrzebne w naznaczonym konfliktem kosmosie, to jednak powinno się podążać przede wszystkim za tym drugim. I co kluczowe: Słońce było ich wyborem właśnie dlatego, że – prócz pobudzania wojowniczości – podtrzymywało też życie w ogóle.

© MACIEJ TALAGA

Autor jest adiunktem na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie zajmuje się historią praktyk bojowych w późnośredniowiecznej Europie. Jest też trenerem szermierki historycznej.

REKLAMA

INSIDER

TWOJA PODRÓŻ DO ŚWIATA FILMU

31.05–7.06.

KRAKÓW

66.KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY
66th KRAKOW FILM FESTIVAL

kadr z filmu „Cichy potop", reż. Dmytro Sukholytky-Sobchuk

krakowfilmfestival.pl

Zapraszam do kin i na KFF VOD
Anita Piotrowska, dyrektorka artystyczna

ORGANIZATOR
KRAKOWSKA FUNDACJA FILMOWA

WSPÓŁORGANIZATOR
60 lat Stowarzyszenie Filmowców Polskich

WSPARCIE FINANSOWE
Projekt współfinansowany ze środków
Kraków
POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską
Kreatywna Europa MEDIA

PARTNER
TVP

ELIZA

Kącka: *Krótkie są nogi*

Zielonogórski Hotel Retro, schodzę tuż po siódmej do śniadaniowni. Tam nastu mężczyzn, przyjechali w interesach. W kilka minut wchłonęli jajecznicę i zmietli większość z talerzy na długim stole. Przed nimi piętrzą się stertki bułek, składziki plasterków, baterie soków. Gość z teczką: „Dorób sobie jeszcze". Młody: „Nieee. Do obiadu dojadę". Gość w skórach: „Tylko potem nie żebraj o moją bułeczkę". Teczkowy: „Róbcie, dorabiajcie. Oni to wszystko wyrzucą". Stół sąsiedni: „Jak to? Bo co?". Teczkowy: „RODO. Muszą wyrzucić, kontaktowaliśmy się z talerzami". „Aaa". Młody: „Nie lubię jajek". „Masz w cenie pokoju". „Lubię parówki". Teczkowy: „Powiem ci tak, chłopaku, poza domem lubisz chleb i bułeczkę, i nie marudzisz". Skórzany czule: „Jak ty coś powiesz, stary, to ja płaczę. Bułeczka...". „No tak, bułeczka. Z jajkiem, z serkiem. Ja ci mówię, mały, idź i ratuj te resztki przed hotelarzem". Skórzany: „Ototo. Bo jeszcze je co złego spotka". „Zaopiekujemy się". „Zjemy, zjemy".

Zielona Góra, poranek, krótki spacer przed wyjazdem. Skwerek, siadam na ławce. „Znowu narobiłeś?! Już nie mam torebek – pani tuż obok strofuje sporego kundla, wilkowatego. – Muszę kanapkę zjeść teraz. Siadaj!". Pies siada kornie i patrzy. „Chleba nie wyrzucę. Będę gruba przez ciebie". Szybko wcina: „Ale jak narobisz w drodze do domu, to sam posprzątasz, wiesz?". Pies kładzie się na płask i zerka przepraszająco. Kobieta łapie moje spojrzenie: „Ma pani torebkę plastikową?". „Nie, niestety". Do psa: „I widzisz, nikt cię nie chce sponsorować".

Spacer po Zielonej Górze. Plac Matejki, krążę, przystaję. Na ławce dwaj starsi. Pierwszy: „A ja, proszę ja ciebie, lecę do Warszawy za kilka dni". Drugi: „Pociągiem?". „Samolotem, proszę ja ciebie". „W kraju?! Niesłychane". „Po raz pierwszy w życiu lecę, słuchaj. Syn mnie wiezie na lotnisko, synowa odbiera na Okęciu". „A to tu jest lotnisko?". „Babimost, malutkie". „Pewno jeden peron". Pierwszy na rozmarzeniu: „Będę widział winnice z góry". „Spisałeś testament?". „Nie. Po co?". „A jak spadniesz?". „Co miałbym spaść?". „Stary jesteś".

Pociąg na Berlin, acz ja do Świebodzina. W przedziale dziewczyna w wieku studenckim, nadaje w telefon, spłoszona: „Poszedł do kibla, to mogę do ciebie zadzwonić". Pauza. „Oj, facet z miejsca obok. Bosz, ja tak mam, pół wagonu wolne, a przy mnie zawsze ktoś zalega". Pauza. „Nie, jest tylko jakaś babka, ale jej się nie boję ogólnie. Coś czyta". Pauza. „Przesiądź się, przesiądź. Chrzanisz...". Pauza. „Oj nie, jeszcze pomyśli, że go unikam czy coś". Pauza. „Nie, to nie mój znajomy, no co ty". Wychodzi na korytarz, wraca. „Znów dostajesz paranoję". Pauza. „Bosz, mówię, to obcy facet. Idzie, rozłączam się". Pauza. Jedziemy. Kutno, przystanek. „Uff, wyszedł. Co tak ciągle wydzwaniasz?". Pauza. „Mówię ci, ty jesteś mój facet, to był jakiś obcy". Pauza. „Bo cię rzucę, jak się tak będziesz rzucał". Pauza. Idziemy do toalety. Ona na zniecierpliwieniu: „Wiesz co, tak, jestem z nim od roku. Żyję w Kutnie". Pauza. „Zaraz stracę zasięg. W Kutnie nie ma zasięgu".

Folder Inne nie traci wigoru: „Szanowna Pani, że się tak wyrażę jeśli wolno mężczyźnie, Kontzka. Pani nazwisko daje do myślenia w kontekście ekspansji Pani. Zwłaszcza, co było do ukrycia, upraszczając zapis na Kącka. Typowy jest to przypadek którego, nie popieram. Ma Pani problem z prawdą, Pani Kontzka. A może Frau? Działa Pani w przykryciu prawdziwej tożsamości. Ale Pani chce uznania! Podszycie się w Kącką ma takim ludziom jak Pani kupić sympatię swojskością. I nasza Frau bierze się do literatury obcej czyli polskiej i próbuje różnym fortelem ją podbić. Chcę ostrzec, że krótkie to są intrygi i ludzie odkryją farbowaną lisicę jak Kmicic Radziwiłła. Krótkie są nogi u Pani zdrady, Pani Kontzka!".

Pociąg z Lublina, tuż obok rodzina z dwojgiem dzieci. Ojciec: „Wolę się przed sobotą zmyć". Mała: „Taaak, mamaaa, krótko u babci". Matka: „Oj, nie narzekaj, babcia zawsze ma prezenty". Mały: „Ale prezenty da dziś i można wracać". „Nie mów tak, babcia was zabierze na lody". Ojciec: „Ocieplanie wizerunku". Matka: „Złośliwiec". „Nie, po prostu stwierdzam. Dzieci się lodami nie kupi". Mała: „A te lody to w czwartek?". Matka: „Babcia to babcia, nie musi przekupywać". Ojciec: „Oj, musi". „Bo...?". Mały: „Ja bym wolał do babci Toli". Mała: „Tak! Do Krakowa, mamaaa". Matka: „Ale dlaczego niby moja matka ma przekupywać dzieci?!". Ojciec: „Hm, jak ci to powiedzieć. Jest z Warszawy".

Park Promenada, niedaleko starszy pan z papierową torebką w dłoni. Podchodzi do drzewa, trwa w oczekiwaniu. Przesiadam się na ławkę bliżej akcji wabienia. Po chwili twarz starszego jaśnieje: na pniu pojawia się wiewiór. Rozpłaszczony jak lotopałanka, przemieszcza się w dół. „Jesteś, stworzaczku" – starszy wysypuje orzeszki. Do mnie: „Tak ją kocham, wie to na pewno". „Podzielam miłość". „Tak?". „No, hoduję obsesję wiewiórczą". Rozczulił się: „Swój człowiek! Widzi pani, jak się waha, czy tu zleźć, ale zejdzie, moja ślicznotka". Milkniemy. Wiewiórka już drepce pod drzewem. Starszy z trudem przykuca i trzyma w dłoniach orzeszki. Podbiegła, wzięła z ręki. „To mnie trzyma. Trzeba mieć kogoś, kto nic nie musi, a czeka". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

REKLAMA

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

scena mos

teatrwkrakowie.pl

Maria Wojtyszko

NIESPODZIEWANE ZWYCIĘSTWO UNII POLSKO-CZESKIEJ W TRZECIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Reżyseria: **Jakub Krofta**

PREMIERA W PRADZE
14 maja 2026

PREMIERA W KRAKOWIE
22 maja 2026

Koprodukcja Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie z Teatrem Narodowym w Pradze

WIĘCEJ O SPEKTAKLU:

National Theatre

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

KULTURALNA MAŁOPOLSKA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Patronat Honorowy: Ambasada Republiki Czeskiej w Warszawie

Partner wydarzenia: CZESKIE CENTRUM WARSZAWA

Partnerzy Teatru: BMW M-Cars Group, Bielenda Group

SŁOWA ZAMIAST ŁEZ

Nie wstydzimy się chorowania, cierpienia, żałoby. Przeciwnie: coraz chętniej swoje doświadczenia spisujemy. Papier zniesie każde wyznanie, ale czy każdym warto się dzielić?

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Poetka Justyna Bargielska prowadzi w mediach społecznościowych dziennik kryzysu psychicznego. W lutym z okazji Światowego Dnia Walki z Depresją mogliśmy oglądać na YouTubie wywiady z Marią Seweryn i Haliną Mlynkovą o psychicznej presji odciskającej się na ich życiu. W marcu dziennikarz Andrzej Morozowski wrócił na antenę TVN24, dzieląc się świadectwem walki, którą stoczył z chorobą nowotworową.

Aktorka Marta Nieradkiewicz opowiedziała Monice Olejnik w TVN24+ o swojej batalii z rakiem piersi. Dziennikarka przywołała własne doświadczenie choroby i nazwała rozmówczynię (onko)siostrą. W tym samym czasie Sylwia Peretti, znana z *reality show* „Królowe życia", promowała wywiad rzekę „Niepożegnani. Historia o życiu i śmierci" o żałobie po stracie dwudziestoletniego syna w wypadku samochodowym. Na okładce widnieje twarz celebrytki.

Wiosna to start podkastu Filipa Chajzera, człowieka wielu talentów. Słuchaczom przedstawia się jako „gość, który upadł po to, by wstać jeszcze mocniejszym". Większość odcinków to rozmowy z osobami, które doświadczyły nałogu, przemocy, niepełnosprawności lub straty bliskiego. A w majowych „Wysokich Obcasach Extra" można przeczytać dziennik Doroty Szelągowskiej – to zapis czekania na wynik badań wykrytej w piersi zmiany.

Szelągowska jest trochę jak bohaterka filmu „Cléo od piątej do siódmej" Agnès Vardy, tylko na sterydach. Boi się, że jeśli zachoruje, nie będzie mogła sprzedawać szczęśliwego życia i reklamodawcy się wycofają. Żeby o tym nie myśleć, wylatuje na zagraniczne wakacje. Zmiana okazuje się łagodna.

Dwa wilki

To tylko mała próbka osobistych aleturgii, czyli sposobów ujawniania prawdy o sobie i życiu. Są jeszcze liczne książki o stracie i chorobie pisane przez osoby, które na co dzień parają się literaturą. O tej stronie życia piszą częściej kobiety, bo współczesna kultura terapeutyczna kierowana jest głównie do kobiet. Przemysł szczęścia, opierający się na imperatywie pokazywania zadowolenia z życia, silnie rezonuje z żeńskim doświadczeniem bycia ocenianym.

Na moim stoliku nocnym wypiętrza się góra tomów świadczących-prawdę-o-życiu-i-śmierci. Przenoszę wzrok na półkę z książkami urodzonego sto lat temu Michela Foucaulta, który poddawał krytyce społeczne techniki panowania nad szaleństwem, chorobą i ciałem.

Obok stoją „The Promise of Happiness" Sary Ahmed oraz wydana w tym roku „Explosive Emotions: How Modern Society Shapes What We Feel" Evy Illouz. Obie dotyczą paradoksu kultury późnokapitalistycznej. Zewsząd jesteśmy zachęcani do poznawania siebie i nietłumienia emocji, mimo że one już dawno przestały być nasze. Dla każdej rozpaczy i strachu możemy znaleźć gotowy scenariusz i instrukcję ich pokonywania. Nasza jest tylko porażka.

I dwa wilki walczą we mnie. Jeden skomle, że przeszliśmy długą drogę od czasów, o których pisał Foucault, kiedy choroby duszy i ciała były brutalnie wypychane z widoku publicznego, ludzie byli izolowani, a żałoba poddawana dyscyplinującemu nadzorowi. Świetnie, że dziś nie wstydzimy się choroby, cierpienia i śmierci, pokazujemy je, dzielimy się doświadczeniem i radą, by badać się i nie poddawać.

Ale drugi wilk wyje, że już ma tych wyznań po kokardę i że nie warto z każdego życia robić epopei. Poetyka wyznania stawia w centrum tego, kto mówi i pisze, choćby był tylko świadkiem cudzego cierpienia. Indywidualne świadectwo ma być uniwersalną matrycą, na której inni mogą odnaleźć swoje losy. Zwycięzcą jest ten, kto zamieniając trudne, czasem graniczne doświadczenie w opowieść, przejmuje nad nim kontrolę. Emocje wymienia na kapitał symboliczny i moralny, przechodzi autoterapię, potwierdza, że nadal istnieje.

Papier zniesie każde wyznanie, ale czy każdym warto się dzielić?

Dwa plany

Podróż przez książki o „prawdziwym" życiu zacznijmy od końca, czyli od narracji o śmierci – tej nagłej i zapowiedzianej. Amerykańsko-australijska pisarka Geraldine Brooks, autorka powieści „Koń" (polskie wydanie: 2024) i „Rok cudów" (2026), w „Dniach pamięci" wraca do 27 maja

RAWPIXEL / THAI / ADOBE STOCK

2019 r., kiedy odbiera oschły telefon ze szpitala, że jej mąż, ceniony reporter Tony Horwitz, zmarł.

Zasłabł osiemset kilometrów od domu, będąc w trasie promującej książkę. „W książkach i filmach nikt nie otrzymuje takich wieści w samotności (...) Ktoś upewnia się, że siedzisz, podaje wodę, pyta, do kogo ma zadzwonić" – Brooks żali się na fałsz mitu.

Ale „Dni pamięci" same są mitem. To scenariusz, który przypomina kojące produkcje Netfliksa. Bohaterowie są lubiani i zamożni, a smutki koją w pięknych okolicznościach oceanicznej przyrody. Akcja rozgrywa się na dwóch planach, w 2019 r. w Massachusetts i Maryland oraz w roku 2023 na malowniczej Wyspie Flindersa w pobliżu Tasmanii.

Autorka leci tam, gdy pozałatwia sprawy, skończy pisać „Konia" i odbędzie trasę promującą. Wreszcie ma czas na żałobę. Ona i Horwitz mieli po sześćdziesiąt lat, odchowane dzieci, szereg sukcesów i ich finansowy ekwiwalent na koncie. Chcieli zwolnić tempo i podróżować dla przyjemności.

Traci życie, które planowała z mężem, ale wraca do niegdyś porzuconych miejsc i pasji. Coś się kończy, coś się zaczyna, nie przegap tego – czyta się to wyznanie jak mowę motywacyjną. Opowieść Brooks jest pozbawiona chropowatości. Albo nie ma trudnych wspomnień, albo rozmyślnie je pomija. Nawet słowa, jakie małżonkowie wypowiadają do siebie, kiedy widzą się ostatni raz, są pełne miłości.

Dla fanów

W trakcie żałoby autorka czyta „Rok magicznego myślenia" Joan Didion, której Horwitz zarzucał, że za bardzo skupia się na ego. Coś podobnego robi Brooks. Koncentrując się na obrazach dzikiej przyrody i czułych wspomnieniach, realizuje projekt pozytywnej żałoby i pisarski przywilej jej umagicznienia.

Podobnie robi Elisabeth Gilbert, autorka bestsellera „Jedz, módl się i kochaj", z tą różnicą, że jej wspomnienia są rozpięte między skrajnymi emocjami. Na przeszło czterystu stronach książki pt. „Aż do rzeki. Opowieść o miłości, stracie i wyzwoleniu" rozkłada na części pierwsze swoją relację z Rayyą Elias, pochodzącą z Syrii queerową buntowniczką o wyjątkowej charyzmie.

Po latach uzależnienia alkoholowego i narkotykowego, Rayya staje na nogi, prowadzi zakład fryzjerski. Pisarka, finansowo niezależna, ale uzależniona od seksu i miłości, zaprzyjaźnia się z nią, a potem w niej zakochuje. Kiedy Rayya otrzymuje diagnozę raka w terminalnym stadium, Gilbert rozstaje się z mężem i związuje się z przyjaciółką, teraz już kochanką, aby trwać przy niej „aż do rzeki", co w ich intymnym języku ↦

↦ oznacza śmierć. Okazuje się, że Rayya nie jest „czysta" od używek i kiedy spotyka ją choroba, ostatecznie osuwa się w macki alkoholu i narkotyków, pociągając ze sobą partnerkę prawie na dno.

Przejmująca historia i pochwała kobiecej miłości zostaje udekorowana wierszowanymi modlitwami, rysunkami, zapiskami z dziennika i fragmentami poradnika. Pisana nieznośnym językiem, z patosu i egzaltacji czyni regułę, a nie wyjątek. Jest pulpą poppsychologii, terapii uzależnień i mindfulnessu. Gilbert wyznaje, jak rozpaczliwie szukała uznania, rozdając swój majątek przypadkowym ludziom, a potem dziwiła się, że czepiają się jej niczym pijawki. W jedną z nich zmienia się też Rayya. Autorkę ratuje terapia i ponowne odkrycie Boga.

Roztacza swoiście panteistyczną wizję świata, w którym na każdym kroku można spotkać Boga, ale najłatwiej na Manhattanie. Choć ma w jednym palcu techniki pisania „wyciskaczy łez", to na własne życzenie psuje ich działanie. Notorycznie usprawiedliwia swoje myśli i działania, kaja się, szuka akceptacji. Jakby wciąż była uzależniona, tym razem od poklasku publiczności.

Jej książka jest propozycją tylko dla wiernych fanów.

Pro bono

Szczersza wydaje się opowieść Anastazji Jakubiak, żony Tomasza Jakubiaka, popularnego kucharza i jurora programu „MasterChef", który zmarł na raka w wieku 41 lat. Choć w punkcie wyjścia mamy kolejną parę atrakcyjnych ludzi, którzy ślub biorą na Bali, a problemy rozwiązują w gabinetach psychoterapeutycznych, to nie ma tu napuszenia i megalomanii charakteryzujących książkę Gilbert.

Cel jest misyjny, autorka chce upomnieć się o perspektywę rodziny osoby chorującej. Nie udaje, że jest profesjonalną ekspertką. Jej zapiski zostały uzupełnione komentarzami psychologów Roberta Kowalczyka i Mai Pisarek. Część dochodu ze sprzedaży idzie na cele Fundacji w Kosmosie im. Tomka Jakubiaka, wspierającej dzieci oraz młodych kucharzy. Do zakupu książki zachęca sama Katarzyna Grochola.

Nie ma sposobu, aby przygotować się na diagnozę złośliwego nowotworu – taka myśl przyświeca temu wyznaniu. Jakubiak otrzymał diagnozę, kiedy był pół roku po ślubie, jego syn miał cztery lata i wydawało się, że życie rodzinne i zawodowe właśnie mu się ustabilizowało. Autorka skupia się na zmienności uczuć i postaw, które ujawniły się w trakcie nieco ponad rocznej batalii o zdrowie jej męża.

Geraldine Brooks **DNI PAMIĘCI** *Relacja*

Anastazja Jakubiak **SPOTKAJMY SIĘ TAM, W KOSMOSIE** *Fundacja w Kosmosie*

Joanna Mizielińska **KSIĘGA UMARŁYCH** *Agora*

On postanowił chorować publicznie, dzielił się w mediach przebiegiem leczenia, pokazywał wychudzone ciało. I mógł liczyć na wsparcie społeczne. Mimo że jest pewna przesada w padającym na początku książki twierdzeniu, że rak nadal jest w Polsce tabu, Anastazja Jakubiak podejmuje dwa zaniedbane tematy. Jednym jest ojcostwo w chorobie. Drugim seksualność, która przegrywa ze zmieniającą się cielesnością i asystowaniem w krępujących czynnościach higienicznych (o szczegółach opiekuńczej rutyny już nie przeczytamy).

Choć pewnie tylko nieliczne rodziny chorych rozpoznają siebie w tym wyznaniu, z czytelnikami i czytelniczkami zostaną poruszające obrazy. Na przykład scena, kiedy ciężko chory kucharz gotuje dla najbliższych obiady, których sam już nie jest w stanie jeść.

W metaforze

Doświadczenie opieki i asysty przy odchodzeniu członków rodziny łączy ponad innymi podziałami. Jednak akademiczki i intelektualistki zwierzają się inaczej. Logos nie ustępuje miejsca patosowi, ale to etos jest siłą sprawczą. Od czytelniczek oddziela opowieść parawan „uszyty" z dyskursu filozoficznego i środków literackich. Joanna Mizielińska, w autofikcyjnej „Księdze umarłych" obdarza swoje *alter ego* obsesją śmierci.

Protagonistka, ukryta pod inicjałem J., traci bliskie osoby ludzkie i zwierzęce. Sposobem adaptacji do żałoby staje się dla J. pisanie i wypominki ważnych bliskich. Do wydania zapisków o stracie ośmieliło Mizielińską uczestnictwo w warsztatach pisania osobistego prowadzonych przez Mikołaja Grynberga. Być może dlatego konstrukcja „Księgi umarłych" opiera się na ćwiczeniach z formy.

Autorka raz prowadzi narrację pierwszoosobową, raz trzecioosobową, przekazuje kostium narratora siostrze, ojcu, partnerce lub ciotce głównej bohaterki. Na kartach książki z twarzami umarłych meldują się ukochana babcia, cioteczne babki, stygmatyzowany kolega z klasy, niestabilna psychicznie matka i koty, wiele kotów, które chorują i cierpią jak ludzie. Narratorka traktuje żałobę jak zadanie intelektualne i projekt pisarski. Jeszcze za życia niedołężniejącej babci postanawia opisać jej odchodzenie i rutynę opieki nad jej ciałem, pokornie poddającym się zabiegom pielęgnacyjnym.

W przeciwieństwie do Gilbert i Jakubiak, pisze o tym bez ogródek. Reszta jest ego-literaturą, pisemną formą terapii i medytacji. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką J. robi, gdy dowiaduje się, że babcia zmarła, jest włączenie programu do edycji tekstu. „Zaczęłam wylewać z siebie słowa zamiast łez" – i jest to najlepsze

podsumowanie nie tylko jej książki, ale kultowej poetyki wyznania.

W kulturze

Karolina Wigura zamiast – jak Mizielińska – stylizować swoje wyznanie, intelektualizuje je. Jej książka nosi tytuł „Endo. Sztuka akceptacji choroby". Endo to w jej prywatnym języku endometrioza – przewlekła choroba, która atakuje różne organy oraz system odpornościowy i prowadzi do znaczącego obniżenia się jakości życia. Przyczyny choroby nie są znane, ale zaczyna się ona od zmian w kobiecym układzie rozrodczym i bólu, który nasila się w trakcie miesiączki.

Do niedawna objawy zgłaszane przez pacjentki rzadko były traktowane z należytą powagą, zbywano je jako zwykłą „kobiecą przypadłość", co prowadziło do późnej diagnozy. Problem właściwego rozpoznania dotyczy także poczucia wartości. Kultura mierząca kobiecą przydatność jej płodnością i seksualnością zasiewa irracjonalne wątpliwości, czy kobieta z nieczynną macicą (albo bez niej) nadal jest tym, za kogo się podaje.

Trzeba więc „kobiecą przypadłość" oswoić i zaakceptować. Wigura to maestra tej sztuki, a jej orężem są języki medycyny i filozofii. Jednak jest w jej wyznaniu głębokie pęknięcie. Drobiazgowo relacjonuje swoje badania, zabiegi, operację, doświadczenia z miesiączką i antykoncepcją. Niemal dosłownie siadamy z nią na niewygodnym i odzierającym z prywatności fotelu ginekologicznym. Wigura chce wziąć za rękę inne zmagające się z „endo" kobiety. Sama szuka pociechy w kulturze.

W szpitalu stara się nie zostać sprowadzona do cierpiącego ciała, prowadzi konwersacje z lekarzami, czyta. Dialoguje o diagnozie z pisarkami, Ursulą Le Guin i Hilary Mantel, która też chorowała na endometriozę. Polemizuje z apelem Susan Sontag, by chorobę traktować jako fakt czysto medyczny, a nie dostrzegać w niej metafory zła czy daru. Chce, aby widzieć w chorobie kwestię decyzji – od nas zależy, jak będziemy z nią żyć.

Jej projekt świadomego chorowania jest rodzajem wyrafinowanej autoterapii.

W roli

Na koniec cofamy się do początku życia. W eseju „Mięśnie mam od miłości" Paulina Małochleb, krytyczka literacka, pisze o byciu matką – tu, w Polsce – jak o roli niemożliwej. Macierzyństwo to nie choroba, ale stan społecznego umysłu. Kiedy jest w ciąży z pierwszym dzieckiem, wchodzi, wróć, zostaje wepchnięta na scenę, a publiczność złożona z lekarek, pielęgniarek, sąsiadek i nauczycielek nie klaszcze, tylko surowo ocenia.

Autorka wie, że jeśli wypadnie z roli, jej dzieci zostaną zdyskwalifikowane przez system. Przedstawienie więc trwa, a jej zostaje hakowanie systemu zza biurka. Sięga do filozofów, którzy stworzyli mit macierzyństwa, do baśni Andersena, literatury feministycznej, sztuki kobiet i modnych autofikcji. Nie potrafi znaleźć w nich siebie jako matki i kobiety. „Na stole sekcyjnym literatury leży ona najczęściej jako martwe już ciało" – ironizuje. Koncepcja Ernsta Kantorowicza, dwóch ciał króla – naturalnego i śmiertelnego oraz politycznego i wiecznego – staje się metaforą podwójności losu matki, aż do śmierci drepczącej w stronę oddalającego się od niej ideału.

Wydawnictwa, w których Małochleb próbowała wydać książkę, odpowiadały, że jest za mało wykluczona, żeby pisać autentycznie o macierzyństwie. Ma pracę, doktorat i zdrowe dzieci, więc w czym tkwi problem? Jednak ona z niczego się nie tłumaczy, gdyż przymus wyjaśniania dystansu do roli jest częścią problemu, o którym pisze, i dotyka też kobiet, które nie są na skrajnych szczeblach drabiny społecznej.

Ja też tkwię w środku i jestem matką, więc autorka przekonała mnie bez dodatkowych uzasadnień. Znam płciowe asymetrie, które wytwarza opieka pediatryczna, nierówną walkę z przedszkolnymi wszami oraz to, że poniedziałki w pracy czasem lubi się bardziej niż rodzinne weekendy. Ci, którzy nie znają tych doświadczeń, być może pozostaną na to wyznanie obojętni, bo nie płynie w nim ani gniew, ani lament.

Jest ćwiczeniem z poetyki powściągliwości. Małochleb odmawia też racjonalizowania macierzyństwa w kategoriach zysków i strat: „Dzieci uczą istnienia w innym wymiarze czasowym: bez planowania, bez odkładania emocji na potem (...) Nie ma porządku pozwalającego opisać spoconą dłoń, którą trzymam latem w swojej dłoni".

Moje czy wspólne

Dwa wilki we mnie nadal walczą. Jeden skomle, że wśród tylu odmian poetyki wyznania każdy znajdzie lustro dla swojego bólu i strachu. I że jeżeli choćby jedna osoba, przeczytawszy choćby najbardziej egzaltowane świadectwo, poczuje ulgę, że nie jest ze swoimi demonami sama – to warto wydawać te książki.

Drugi wilk wyje, że tylko niektóre z nich. A i one potwierdzają regułę, że jedyną uniwersalną prawdą, która płynie z takich publikacji, jest to, że nawet poddani dramatom i stracie dążymy do potwierdzenia statusu naszej egzystencji. Jestem, więc piszę. Piszę, więc jestem.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Karolina Wigura **ENDO. SZTUKA AKCEPTACJI CHOROBY** *Fundacja Kultura Liberalna*

Paulina Małochleb **MIĘŚNIE MAM OD MIŁOŚCI. O MACIERZYŃSTWIE** *Karakter*

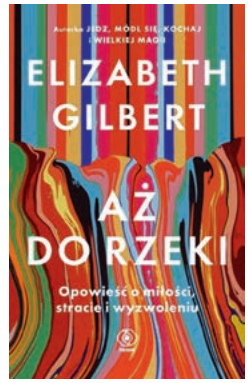

Elizabeth Gilbert **AŻ DO RZEKI. OPOWIEŚĆ O MIŁOŚCI, STRACIE I WYZWOLENIU** *Rebis*

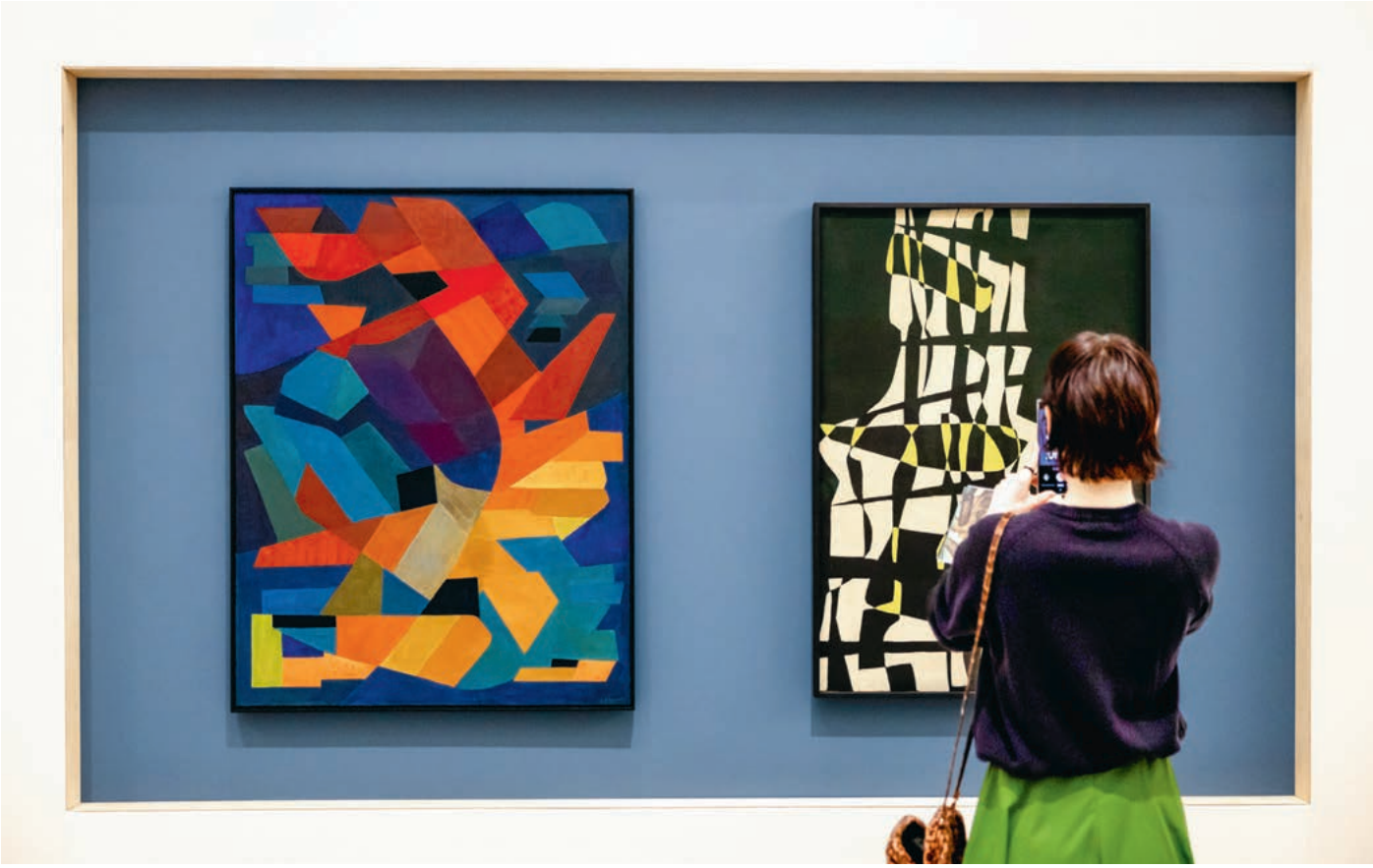

ALICJA SZULC / MSN

Widok wystawy „Maria Jarema. Pęknięty Modernizm", Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

MATERIAŁY PRASOWE

Maria Jarema, „Wyrazy", 1954 r., monotypia i tempera na papierze. Własność Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy

Jak to wyrazić

PIOTR KOSIEWSKI

WYSTAWA | Pytania Marii Jaremy o to, w jaki sposób mówić o wojnie i konfliktach w sztuce – także abstrakcyjnej – stały się niezwykle aktualne.

Była „najważniejszym bogiem", napisał w 1956 r. Jerzy Bereś, świeżo upieczony absolwent rzeźby na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, z czasem – jeden z kluczowych artystów 2. połowy XX w. Maria Jarema od kilku lat nie pokazywała już wtedy swych prac publicznie – po wprowadzeniu socrealizmu wycofała się z życia artystycznego. Była nieobecna, ale pozostawała autorytetem.

Ponownie zaczęła wystawiać w czasach postalinowskiej odwilży. W 1956 r. z Tadeuszem Kantorem i Kazimierzem Mikulskim założyła teatr Cricot 2. W kolejnym roku znalazła się wśród osób tworzących Grupę Krakowską. W 1958 r. wzięła udział w Biennale Sztuki w Wenecji.

„Prace jej spokojnie przeciwstawiały swą obecność tysiącom rzeźb i obrazów, setkom nazwisk, reprezentujących sztukę współczesną całego świata" – notował bliski artystce historyki i krytyk sztuki Mieczysław Porębski. Została doceniona, ale nie zdążyła nacieszyć się uznaniem. Zmarła na białaczkę w wieku 50 lat.

Paradoks

Jej dzieła szybko zostały wpisane do kanonu polskiej sztuki. Jako jedna z nielicznych Jarema znalazła się też w gronie tych, których – mimo dominacji męskiej perspektywy w patrzeniu na sztukę – nie można było pominąć. Była obecna w każdym opracowaniu i podsumowaniu, a jej prace znalazły się w stałych ekspozycjach muzealnych.

A jednak przez długie lata, mimo wszystko, zdawała się nie wzbudzać większego zainteresowania i emocji – jakby uznano, że jest to ważna, ale historyczna twórczość. Ostatnią wystawę monograficzną Jaremy oglądaliśmy pod koniec lat 90. w warszawskiej Zachęcie.

A potem, całkiem niedawno, coś się zmieniło. W 2019 r. ukazała się biografia Jaremy autorstwa Agnieszki Daukszy. Następnie wydano zbiór tekstów artystki, dzięki któremu mogliśmy się przekonać, że była niezwykle uważną i ciekawą komentatorką sztuki. Wreszcie, po ponad ćwierćwieczu, zorganizowano kolejną wystawę jej twórczości.

Jest jeszcze jeden paradoks związany z recepcją tej twórczości. „Jarema była takim twórcą samoistnym, jednym z kilku zaledwie, którzy mogli się mierzyć swoimi osiągnięciami z nowoczesną myślą plastyczną na świecie" – wspominał artystkę Julian Przyboś na łamach „Przeglądu Kulturalnego". Wielokrotnie próbowano rozpropagować za granicą jej twórczość – jednak poza Polską pozostała właściwie nieznana.

Obecna wystawa, przygotowana przez francuskiego historyka sztuki i kuratora Érica de Chassey oraz Natalię Sielewicz, ma szansę to zmienić. Tym bardziej że jesienią zostanie zaprezentowana w monachijskim Lenbachhaus, jednym z najważniejszych miejsc w Europie zajmujących się sztuką minionego stulecia.

Sprzeczności

Twórcy wystawy w Muzeum Sztuki Nowoczesnej zaproponowali nowe spojrzenie na twórczość Jaremy. Kluczem do opowieści o artystce stało się przywołane w tytule wystawy pęknięcie. Przede wszystkim chodzi tu o napięcia i wewnętrzne sprzeczności – jak pisze Éric de Chassey – „między modernistycznym pragnieniem, by tworzyć dzieła autonomiczne, a wiernością rzeczywistej sytuacji". Ale były też inne pęknięcia w jej

MATERIAŁY PRASOWE

Maria Jarema

twórczości i biografii, m.in. między lewicowym zaangażowaniem a realiami komunistycznego ustroju w powojennej Polsce.

Jarema nie odwracała się od rzeczywistości, z którą nieraz musiała brutalnie się konfrontować. Jeszcze jako studentka współtworzyła Grupę Krakowską skupiającą młodych artystów, których połączył bunt wobec systemu nauczania w krakowskiej ASP. Jednak nie mniej istotny był dla nich sprzeciw wobec sytuacji społecznej i politycznej w Polsce lat 30.

Potem przyszły okrucieństwa niemieckiej okupacji. Jarema traci w tym czasie bliskie sobie osoby, w tym członków Grupy. Stanisław Osostowicz ginie podczas oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. Mojżesz Schwanenfeld zostaje prawdopodobnie zamordowany w getcie lwowskim w 1942 r. Jonasz Stern, też tam osadzony, przeżyje rozstrzelanie i wydostanie się spod sterty ciał. Henryk Wiciński umiera na gruźlicę w 1943 r.

16 kwietnia 1942 r. Niemcy dokonują aresztowań w Kawiarni Plastyków przy ulicy Łobzowskiej w Krakowie, gdzie artystka pracuje jako kelnerka i szatniarka. Blisko 200 osób zostaje wysłanych do Auschwitz – tylko nieliczni przeżyją. Rozstrzelany zostaje Ignacy Fik, poeta i krytyk, założyciel podziemnej komunistycznej grupy „R" (Rewolucja), z którą Jarema współpracowała. Jej partner życiowy, pisarz Kornel Filipowicz, trafia do obozu koncentracyjnego. Ona sama jest świadkinią akcji pacyfikacyjnych w dniu 28 lipca 1943 r. na Woli Justowskiej.

Po wojnie zaś, mimo lewicowych przekonań, wstępuje do PPR, a następnie do PZPR, choć pozostaje krytyczna wobec działań rządzących. W 1949 r. zamiast dostosować się do oczekiwań tworzenia realizmu socjalistycznego, wybiera artystyczne milczenie.

Pulsowanie

Jednocześnie cały czas poszukuje własnego języka artystycznego – niezależnego, autonomicznego. Kończy rzeźbę w pracowni Xawerego Dunikowskiego. Poświęca się jej w latach 30., przekształcając zaczerpnięte z rzeczywistości formy, przede wszystkim ludzkiego ciała, w niemalże abstrakcję, z rytmicznym spiętrzeniem kształtów, grając obłymi płaszczyznami i ostrymi ich załamaniami. Nieliczne, do dziś zachowane, należą do najciekawszych przykładów rzeźby w Polsce w dwudziestoleciu międzywojennym.

Cały czas konfrontuje się też z aktualnymi zjawiskami w sztuce. W 1937 r. udaje się jej wyjechać na stypendium do Paryża, gdzie ogląda Międzynarodową Wystawę Surrealistów. Wyciąga z niej własną lekcję, łącząc ją z doświadczeniami zaczerpniętymi ze sztuki abstrakcyjnej.

Wybuch wojny nie tylko niweczy kolejny wyjazd za granicę, ale w ogóle ogranicza możliwości tworzenia. Jarema porzuca rzeźbę i zajmuje się malarstwem oraz rysunkiem, które wcześniej były marginesem jej twórczości. Przy nich już pozostanie, chociaż w 1949 r. projektuje pomnik-fontannę Fryderyka Chopina na krakowskich Plantach, któremu nadaje abstrakcyjny kształt oparty na motywie fortepianu. Niezwykły – na realizację będzie musiał poczekać ponad pół wieku.

Do Paryża wyjeżdża dopiero w 1947 r. Wreszcie, w czasach odwilży, spędza tam kilka miesięcy na przełomie 1956 i 1957 r. Każdy z tych pobytów jest okazją do konfrontowania się z tym, co aktualnie dzieje się w sztuce. Jarema wyciąga wnioski z informelu i abstrakcji kinetycznej, które poznaje podczas ostatniego pobytu. Znajduje w nich echo własnych poszukiwań tego, w jaki sposób oddać na płaszczyźnie obrazu ruch i przestrzeń. U Jaremy „obraz gra, pulsuje, oddycha, plany zbliżają się, oddalają i przenikają" – pisał o powstałych w tym czasie pracach Zbigniew Herbert na łamach „Tygodnika Powszechnego". ↦

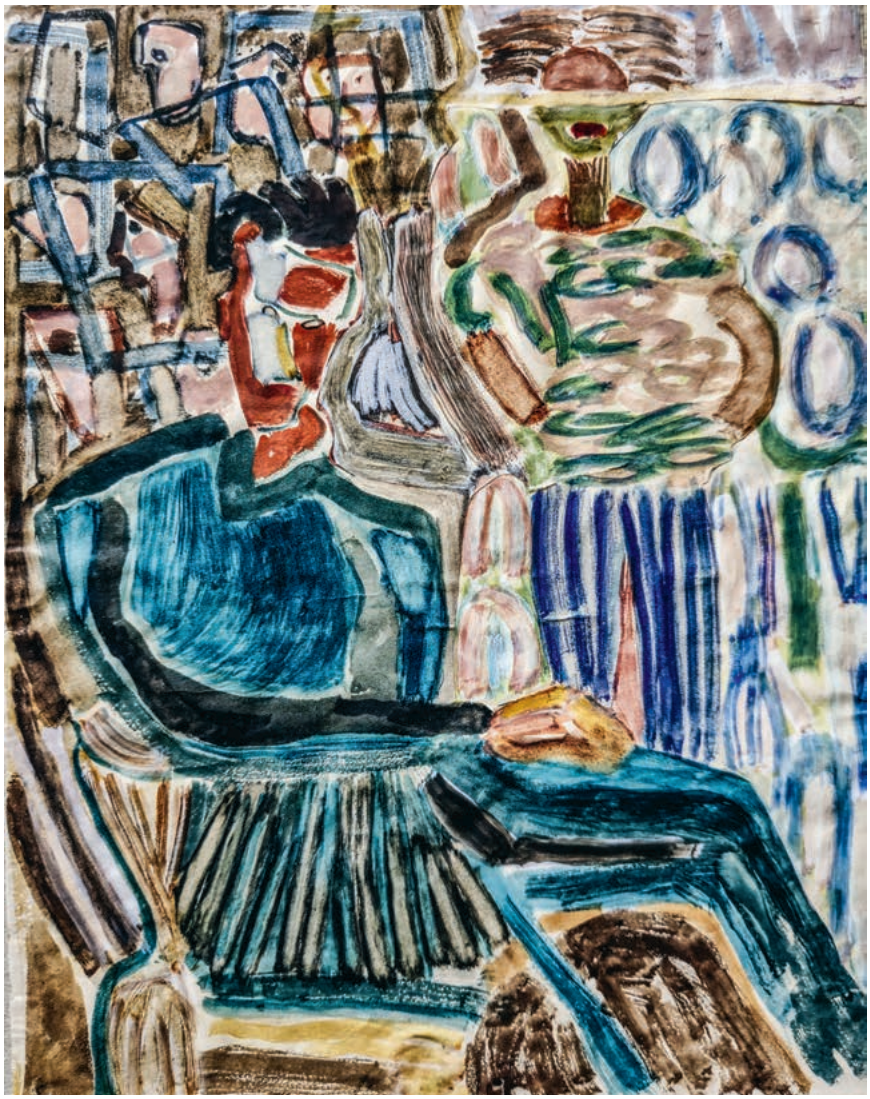

MATERIAŁY PRASOWE

Maria Jarema, „Portret", 1942 r., gwasz na papierze z kolażem, Muzeum Narodowe w Warszawie

Jarema nie bała się poznawania twórczości innych. Przeciwnie. W 1937 r. pisała: „Sztuka, jak wszelka wiedza, jest międzynarodowa. Opierając się na zdobyczach ogólnoświatowych, szuka dalszych problemów i rozwiązań, które w swoim sensie intelektualnym nie mają nic wspólnego z narodowością albo rasą". Albo: „Przenikanie obcych wpływów i szeroko pojęte współzawodnictwo międzynarodowe odświeża, kształci i wzbogaca kulturę każdego narodu".

Przez całe życie udowadniała, że potrafi krytycznie analizować twórczość innych, nie tracąc przy tym własnego głosu.

Odpowiedzialność

Siłą ekspozycji w Muzeum Sztuki Nowoczesnej jest właśnie pokazanie rozmów Jaremy z innymi artystami. Zestawiono na niej prace artystki z dziełami klasyków awangardy Pabla Picassa i Henri Matisse'a, jej rówieśników Jeana-Michela Atlana, Maurice'a Estève'a i Hansa Hartunga, ale też reprezentującego kolejne pokolenie Jeana Tinguely. Wreszcie, skonfrontowano jej dzieła z dziełami innych polskich artystek i artystów.

Zaaranżowano w ten sposób dialogi, czasami zaskakujące, jak w „Akcie" z 1946 r., w którym Jarema wykorzystała paletę kolorystyczną bliską dziełom Matisse'a, którego zresztą podziwiała. Pozwalają one jeszcze wyraźniej dostrzec oryginalność artystki, jej wyjątkowość i odrębność, a jednocześnie umieścić jej dorobek w międzynarodowym kontekście.

Wystawa sprawia, że ta twórczość staje się aktualna, podobnie jak jej postawa, przekonanie o konieczności bycia niezależnym i krytycznym. „Myślę, że najtrudniej jest być człowiekiem wolnym. Być wolnym od wszystkich przesądów i konwenansów i tego wszystkiego, co pozwala człowiekowi żyć w jakimś bezpiecznym formacie, bez wielkich wysiłków. Ale być wolnym – to równocześnie być odpowiedzialnym!" – pisała w roku, w którym narzucono doktrynę socrealizmu.

Bardzo współczesne wydają się też jej próby godzenia sprzeczności. Szukania sposobu na to, by mówić językiem sztuki, bronić jej autonomii, ale jednocześnie nie uciekać od rzeczywistości. Jarema nieustannie eksperymentowała, tworząc dzieła podporządkowane sprawom formalnym, z czasem niemalże abstrakcyjne. A jednocześnie zaprojektowała pomnik na Cmentarzu Rakowickim upamiętniający robotników zabitych przez policję podczas strajku w Krakowie w marcu 1936 r. To jeden z najciekawszych przykładów, dziś trochę zapomnianych, rzeźby sepulkralnej w naszym kraju.

Mierzyła się wreszcie z wojenną traumą, jak w obecnej na wystawie „Plaży (Wojna II)" z 1942 r. „Patos wielkiego dramatu historycznego, czy nawet dramatu osobistego, życiowego, stał się nie do zniesienia w malarstwie realistycznym. Czy można to jakoś wyrazić? Trzeba próbować" – pisała w 1947 r. Dziś, w czasach kolejnych konfliktów, jej pytanie o stosunek artystów i artystek do takich wydarzeń, o to, w jaki sposób przekonująco mówić o nich w sztuce, stało się bardziej niż potrzebne.

Wystawa stawia wreszcie pytanie o polityczny potencjał abstrakcji. O to, czy za jej pomocą można opowiadać o aktualnych sprawach. Dobrym kontrapunktem do twórczości Jaremy są prace Julie Mehretu pokazane na wystawie równolegle odbywającej się w Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Urodzona w 1970 r. w Addis Abebie amerykańska artystka o polsko-żydowskich korzeniach mówi – również za pomocą abstrakcji – o wojnie domowej w Syrii, pandemii, napaści Rosji na Ukrainę czy protestach spod znaku Black Lives Matter. Jej prace są, podobnie jak twórczość Jaremy, zapisem obecności w świecie.

© PIOTR KOSIEWSKI

MARIA JAREMA. PĘKNIĘTY MODERNIZM, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, wystawa czynna do 28 czerwca br.

zlot POWSZECHNY

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie

Piątek, 29 maja 2026

Dziękujemy za tak ogromne zainteresowanie!

Z radością i wzruszeniem informujemy, że **wszystkie miejsca na Zlot Powszechny zostały już zajęte**.

Zlot Powszechny ogólnopolskie **spotkanie czytelników, autorów i przyjaciół** „Tygodnika Powszechnego".

MIEJSCE SPOTKANIA:
Muzeum Manggha, Kraków
CZAS:
piątek, 29 maja 2026, start o godz. 12.00

PROGRAM

12:00 **Powitanie** Jacek Stawiski i Ewelina Burda.

12:10 – 13:00 **Trzej naczelni „Tygodnika Powszechnego" ks. Adam Boniecki, Piotr Mucharski i Jacek Stawiski,** w rozmowie z **Eweliną Burdą**. O świecie, który przyspiesza – i o tym, jak w nim nie stracić orientacji.

13:05 – 13:50 **Los a psychoterapia. Bogdan de Barbaro** w rozmowie z **Katarzyną Kubisiowską**: Na ile człowiek kształtuje swoje życie?

13:55 – 14:40 **Felieton i rytm codzienności. Eliza Kącka** i **Monika Ochędowska** o pisaniu i nasłuchiwaniu rzeczywistości.

14:45 – 15:30 **„Gdyby to był normalny kraj". Marcin Napiórkowski** i **Marek Rabij** o sile mitów rządzących naszym społeczeństwem.

15:50 – 16:35 **Jak film pomaga nam zrozumieć świat.** Próba odczytania współczesności przez kino – spotkanie z **Anitą Piotrowską**.

16:40 – 17:25 **Chaos, chrześcijaństwo, dysonans. Tomasz Stawiszyński** i **Michał Okoński**: Jak filozofia pomaga felietonom.

18:00 – 19:00 FINAŁ: **koncert Grzegorza Turnaua.**

PARTNERZY WYDARZENIA

Albatros travel

WODOCIĄGI Miasta Krakowa
125 lat! Jesteśmy z Wami. Każdego dnia.

HERBEWO CITY S.A.

TP. NA ŻYWO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT.: GRAŻYNA MAKARA, KAROL PACIOREK, KATARZYNA WŁOCH, MACIEJ ZIENKIEWICZ

PETRA HAJSKÁ / PRAŽSKÉ JARO

Petr Popelka poprowadził koncert inauguracyjny 80. edycji Praskiej Wiosny, 12 maja 2026 r.

Praga symfonicznie

DOROTA KOZIŃSKA

MUZYKA | Nasi sąsiedzi świętują 80. edycję Praskiej Wiosny oraz stulecie radiowej orkiestry. To czas, gdy szczególnie warto wybrać się do Czech.

W świecie muzycznym wysyp jubileuszy. Niedawno święcił swoje dziewięćdziesięciolecie Wittener Tage für neue Kammermusik, jeden z najstarszych festiwali muzyki współczesnej w Europie. W kwietniu wypadło stulecie premiery „Turandot" – ostatniego, niedokończonego arcydzieła Giacoma Pucciniego, wystawionego w La Scali już po śmierci kompozytora. Bilety na „Pierścień Nibelunga" Richarda Wagnera w Bayreuth, sto pięćdziesiąt lat po premierze tetralogii na Zielonym Wzgórzu, rozeszły się już w sierpniu ubiegłego roku. Kto się zagapił, przebiera teraz w ofertach innych teatrów operowych, które kuszą nowymi inscenizacjami całości „Ringu" lub jego poszczególnych członów.

W muzycznym świętowaniu nikt jednak nie prześcignie Czechów, którzy w tym roku obchodzą podwójny jubileusz: osiemdziesięciolecia międzynarodowego festiwalu muzycznego Praska Wiosna, a zarazem stulecia Orkiestry Symfonicznej Radia Czeskiego, której historia rozpoczęła się wraz z założeniem orkiestry Radiojournalu, powołanej do życia w 1926 r., zaledwie trzy lata po wyemitowaniu pierwszej audycji na falach czechosłowackiej rozgłośni.

Praską Wiosnę zainaugurowano zresztą przy okazji jubileuszu pięćdziesięciolecia innej praskiej orkiestry – Českiej filharmonie, której pierwszy koncert, pod batutą samego Antonina Dvořáka, odbył się w gmachu Teatru Narodowego w roku 1896.

Na tym nie koniec rocznicowych obchodów. Praska Wiosna rozpoczyna się tradycyjnie 12 maja, w rocznicę śmierci Bedřicha Smetany, w nazwanej jego imieniem sali Miejskiego Domu Reprezentacyjnego, a w programie koncertu niezmiennie figuruje tylko jeden utwór: „Moja ojczyzna", cykl sześciu poematów symfonicznych autorstwa – a jakże – Bedřicha Smetany.

W tym roku na inaugurację orkiestrę-jubilatkę poprowadził jej obecny szef, Petr Popelka, a koncert był transmitowany przez rozgłośnie, stacje telewizyjne i platformy streamingowe w 24 krajach, między innymi w Korei Południowej, Japonii, Egipcie i oczywiście w radiowej Dwójce.

Kto nie lubi wychodzić z domu, będzie miał szansę wysłuchać transmisji i retransmisji także innych wydarzeń Praskiej Wiosny – wśród nich koncertu Czeskiej Filharmonii 19 maja, w sali Rudolfinum, pod batutą Jakuba Hrůšy, nowego dyrektora muzycznego Royal Opera House w Londynie, z udziałem skrzypaczki Patricii Kopatchinskiej. Program złożony jest z utworów Leoša Janáčka, Béli Bartóka i wciąż niedocenianego czeskiego kompozytora Luboša Fišera, autora muzyki do wielu czeskich filmów, między innymi kultowej komedii „Tajemnica zamku w Karpatach".

Kto z domu wychodzić lubi, niech zaopatrzy się w ostatnie bilety albo zapisze na listę oczekujących i czym prędzej zorganizuje sobie wycieczkę do stolicy naszych południowych sąsiadów. Jest w czym wybierać. W tej samej sali Rudolfinum zabrzmi między innymi „Stabat Mater" innego niesłusznie zapomnianego Czecha, Jakuba Jana Ryby, wybitnego twórcy przełomu klasycyzmu i romantyzmu – z udziałem solistów, Helsińskiej Orkiestry Barokowej pod dyrekcją Aapo Häkkinena i budapeszteńskiego Purcell Choir pod kierunkiem Györgya Vashegyiego.

Wielbiciele Hectora Berlioza z pewnością zastrzygą uszami na wieść o „Potępieniu Fausta" z amerykańskim tenorem Paulem Applebym w roli tytułowej, chórem Praskiej Filharmonii i Praską Orkiestrą Symfoniczną pod batutą Tomáša Netopila (koncert 25 maja w Miejskim Domu Reprezentacyjnym).W ostatni dzień maja w sali Smetany spotkanie z Tomášem Hanusem, który poprowadzi berlińską Deutsches Symphonie-Orchester – w programie złożonym z I Koncertu wiolonczelowego Szostakowicza (w partii solowej Yuya Mizuno) i VI Symfonii Antona Brucknera. A dla miłośników śpiewającej dyrygentki Barbary Hannigan koncert czeskich Filharmoników w Rudolfinum – 2 czerwca, w zwariowanym zestawieniu utworów Haydna, Ivesa, Schönberga i Gershwina.

Będzie też premiera nowej inscenizacji „Dialogów karmelitanek" Poulenca w Operze Państwowej i koncertowe wykonanie jego „Głosu ludzkiego" ze wspomnianą już Hannigan w partii sopranowej i za pulpitem dyrygenckim. Będzie Aleksandra Kurzak jako tytułowa Maria Magdalena w oratorium Jules'a Masseneta. Będzie Orkiestra Symfoniczna Radia Bawarskiego z sir Simonem Rattle'em i Filharmonicy z Oslo pod batutą Klausa Mäkelä.

Chyba wystarczy powodów, żeby wybrać się do Pragi na bardzo przedłużoną majówkę, prawda? Jeśli nawet zabraknie biletów, na pociechę zostanie gulasz z knedlikami i najlepsze na świecie piwo. ©

SŁOTWINY ARENA

25 lipca 2026 | Krynica-Zdrój

koncert pod Wieżą

Romeo i Julia

WYKONAWCY

KAMIL **BEDNAREK**
KASIA **MOŚ**
MACIEJ **KOTLARSKI**
MAGDA i DAVID **BEUCHER**

WIESŁAW **PRZĄDKA**
dyrektor artystyczny
akordeon, bandoneon

ARTUR **ANDRUS**
prowadzenie

ORKIESTRA SILESIAN ART COLLECTIVE
pod dyr. Mateusza **WALACHA**

SEKCJA JAZZOWA:
RAFAŁ **KARASIEWICZ** fortepian
MAREK **PIĄTEK** gitara
ZBIGNIEW **WROMBEL** kontrabas
PAWEŁ **TWARDOCH** perkusja
ANDRZEJ **MAZUREK** instr. perkusyjne

REKLAMA

ORGANIZATORZY: SŁOTWINY ARENA, Prestige MJM

PARTNERZY: MOPED RETRO MUZEUM MOTOROWERÓW, WIESŁAW PRZĄDKA BANDONEON/ACCORDION, artsize BY GABI PRZĄDKA, BILET SERWIS

PATRONI MEDIALNI: GAZETA KRAKOWSKA.PL, Radio Kraków

Wzrusz

DOROTA MALINA

KOMIKS | Rok temu „Okruchy" ukazały się w Stanach, teraz mają premierę w języku polskim. A my zadajemy sobie pytanie: po co tłumaczyć Polskę Polakom? I o jaką Polskę tu chodzi?

Od dawna mieszkam poza Polską i z ciekawością śledzę, jaki obraz naszego kraju przecieka w eksportowanej kulturze. Moje obserwacje rzecz jasna są wybiórcze, a to, co widzę, niekoniecznie odzwierciedla świadomą politykę dyplomacji kulturalnej, bo – jak wiadomo – selekcji dokonuje rynek i może przedstawienia zadowolonych i zamożnych Polaków są dla zagranicy zbyt banalne.

To mają u siebie – od nas oczekują prześnej egzotyki. Mój partner, który ofiarnie towarzyszy mi na festiwalach kina polskiego i czytuje naszą literaturę *noir*, podczas pierwszej wizyty w Polsce nie mógł się nadziwić, że u nas tyle kolorów i radości. Nie tego się spodziewał, karmiony wczesnym Wajdą, szczytowym Smarzowskim i kryminałami, w których społeczeństwo jest niemiłe. A często także pijane.

Kasia Babis (ur. 1992) w komiksie „Okruchy" serwuje nam ten sam gorzki chleb. W „opowieści o dorastaniu w postkomunistycznej Polsce" jest szaro – w przenośni i dosłownie, bo popielato-czarną paletę sporadycznie tylko – i według niezrozumiałego dla mnie klucza – przełamuje czerwień. Ciekawe, bo zwykle lata 90. kojarzymy z pstrokacizną, a szarość odsyła do PRL-u. Oczywiście nie zawsze – Sylvain Savoia, ilustrując (wydawaną najpierw po francusku) „Marzi" Marzeny Sowy, lata 80. pokolorował.

Czerń i szarość mają pewnie oddawać smutek, jak w słynnym „Persepolis" Marjane Satrapi. Wszystkie wspomniane albumy mają wyjaśniać ojczyznę obcokrajowcom: tłumaczyć bogatemu Zachodowi dyktaturę ajatollahów, komunistów czy skrajnej prawicy. „Okruchy" Babis rok temu wyszły w Stanach pod tytułem „Breadcrumbs".

Teraz przekładu na język polski dokonała sama autorka. Można zadać sobie pytanie: po co tłumaczyć Polskę Polakom?

Kasia Babis, **OKRUCHY. DOJRZEWANIE W POSTKOMUNISTYCZNEJ POLSCE**, *Agora 2026*

I jak to zostało zrobione? Zanim jednak na nie odpowiem, wypada mi ujawnić, z jakiego miejsca piszę. Otóż na chleb zarabiam tłumaczeniem. Kurczowo trzymam się więc wersji, że aby przekładać literaturę, nie wystarczy dobrze znać dwa języki. Że tłumaczenie to głęboka lektura, interpretacja i praca w polszczyźnie. I lepiej zostawiać ją tłumaczom. A autorom, którzy znają język docelowy, ewentualnie proponować autoryzację. Dodam też, że jestem staroświecka i lubię, jak jest ładnie po polsku.

A w „Okruchach" niestety nie jest. I nie chodzi mi o „brzydkie słowa", których, jak na opowieść o nastolatkach, wcale nie ma dużo. Raczej o to, że język komiksu przypomina wczesne wytwory translatorów internetowych. Dostajemy więc głównie polskie słowa wtłoczone w angielską składnię. „Musimy zaadresować potrzeby ludzi, którzy ucierpieli w wyniku liberalnych reform" – mówi na wiecu polityk. Autorka serwuje nam też sztuczne dialogi z gatunku NTM (nikt tak nie mówi): „Nie umiem sobie wyobrazić zdawania sesji z tym wszystkim, przez co przechodzisz".

Od Babis jestem starsza tylko pięć lat, więc nasze dzieciństwa do pewnego stopnia się pokrywają. Czasowo, bo jednak u mnie było weselej. Moja mama była mniej zgorzkniała. No i nie chowała martwych płodów w lodówce. Kasię w szkole walono bogoojczyźnianym obuchem, a nauczycielka, na widok tytułowych okruchów z kanapki, wytaczała ciężkie norwidy („Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba...").

Razem z bohaterką galopujemy przez kolejne wydarzenia formujące: śmierć papieża („polski 11 września"), katastrofa smoleńska, rządy PiS-u. Narracja w obszernych ramkach tłumaczy, czym jest pokolenie JPII i kim była Jolanta Brzeska. Nie zawsze jest jasne, jak wielka historia – na przykład dzika reprywatyzacja – wpływa na losy bohaterki.

Zaskakują też przeskoki w czasie (np. z roku 2017 do 2020). Jasne, teoretyk komiksu Scott McCloud uczył, że odległość między kadrami (tzw. rynna) nie ma ustalonego przelicznika, więc „w jednej sekwencji kilka centymetrów może przenieść nas z jednej sekundy do drugiej, a w innej – o sto milionów lat". Nie można jednak w rynnach topić czytelników.

Uchybieniami w sztuce komiksowej wydają mi się też klatki, w których tekst kłóci się z rysunkiem (w ramce drabina awansu, na rysunku plansza z metą na dole) i dziwne onomatopeje (na przykład „wzrusz" na wzruszenie ramionami). Bohaterki są zaś do siebie tak podobne, że trudno się zorientować, kto jest kim. Właściwie nie ma znaczenia, która jest bita, a której odmawia się aborcji. I tak chodzi o pokazanie, że Polska jest piekłem kobiet.

A zatem po co? Po co tłumaczyć na polski książkę ewidentnie przeznaczoną na eksport? Dość tendencyjną, trącącą dydaktyzmem (fragmenty o rozbiorach) i mizerabilizmem („Ojciec alkoholik, mąż alkoholik, bieda, ciągła walka o byt"). Nie wiem. Być może dla „kanapek z hajsem".

Komiks ma charakter autobiograficzny i nie chcę negować trudności, jakich doświadczyła autorka. Epatowanie traumą sprawia jednak, że czytelniczka obojętnieje. I ma na to wszystko jedną reakcję: wzrusz (ramionami). ©

▪ TERCET IMPERIAL „PRYMAT”
Instant Classic

Nie wiem, ile to już lat, odkąd w kategorii „najciekawsze polskie premiery” dominują płyty podejmujące dialog z muzyką tradycyjną. Przy czym, częściej niż zwyczajowa wymiana uprzejmości, jest to rozmowa żywa, prowadzona podniesionym głosem i z pełną ekspresji gestykulacją. Jeśli ta scena, związana m.in. z festiwalem Nowa Tradycja, wydaje tak dorodne owoce, to dlatego, że jej reprezentanci darzą muzykę wiejską prawdziwą miłością. Niezależnie od tego, czy wychodzą od jazzu, czy ekstremalnego metalu, odwiedzają starych mistrzów, biorą udział w kursach śpiewu, słuchają, czytają. Traktują wiejską muzykę jak część własnej historii. I może stąd fenomen? Twórczość Lumpeksu, RPA, Furii, Polmuzu jest jednocześnie tradycyjna i autorska, szczera, własna.
Ważnymi przedstawicielami sceny – nazwijmy ją: nowej tradycji – są Jan Młynarski i Piotr Zabrodzki. Tym, co zajmuje ich od dobrych kilkunastu lat, jest łączenie ze sobą nurtów muzyki tradycyjnej z różnych kontynentów, ze szczególnym uwzględnieniem rodzimych tańców narodowych.

MAREK KITA / MATERIAŁY PRASOWE

Taki zamysł stał za twórczością trio Pole, które po wydaniu płyty „Radom” (2014) zmieniło nazwę na Polonka. W uproszczeniu można uznać, że ubiegłoroczne „Oberkas Travel” kwartetu Oberkas Travel, jak i wydany właśnie przez Tercet Imperial „Prymat” stanowią kontynuację misji, którą jest wskazanie, że zarówno pod Przysuchą, jak i pod Luandą w tan pcha nas zadziwiająco podobny rytm.
Jeśli jednak nagrane z cenioną śpiewaczką Marią Siwiec „Oberkas Travel” trafia do mnie momentalnie ze swoją hipnotyzującą, psychodeliczną ofertą, to Tercet Imperial budzi we mnie mieszane odczucia. Młynarski i Zabrodzki sięgają tu po elektroniczne instrumenty – syntezatory, elektroniczną perkusję – i z godną podziwu erudycją budują mosty pomiędzy mazurami, oberkami a kuduro, batidą czy dabke. Do tych transkontynentalnych podkładów śpiewa Joanna Sztucka, uczennica Siwiec, która choć wychodzi z tradycji, momentami ciągnie Tercet Imperial w rejony romantycznego electro-popu („Lesie”). To wrażenie pogłębia sterylna produkcja albumu i pewna jego powściągliwość – mało tu momentów, które pozwalałyby zatracić się w tańcu. Bardziej niż „Oberkas Travel” debiut Tercet Imperial przypomina mi dawne płyty z udziałem Zabrodzkiego z katalogu Lado ABC („Slumberjackin’”, „Back to the Future Shock”, „Wrong Vampire”), które imponowały wykonaniem, bawiły koncepcją czy zmyślną grą z obraną stylistyką. Nie mam wątpliwości, że „Prymat” wyrasta ze szczerej miłości do tradycji, jednak, podobnie jak tamte albumy, budzi mój szacunek, ale niekoniecznie emocje.
© JAN BŁASZCZAK

▪ AROOJ AFTAB
Ephemera Festival, 8 czerwca

„Mohabbat” w języku urdu oznacza „miłość”. To również tytuł utworu kompozytorki i wokalistki Arooj Aftab z jej znakomitego albumu „Vulture Prince” (2021). To pieśń podwójnie historyczna – nie tylko z historii czerpiąca, ale też pisząca jej nowy rozdział. Bazująca na stuletniej gazeli indyjskiego poety Hafiza Hoshiarpuriego „Mohabbat” przyniosła artystce nagrodę Grammy – żaden pakistański twórca nie mógł wcześniej pochwalić się takim osiągnięciem.
Przy czym „Vulture Prince” absolutnie nie było płytą skrojoną pod nagrody. Przeciwnie, muzyka Aftab pociąga intymną atmosferą, osobistą historią. Tak jak w „Mohabbat”, która jest poruszającą pieśnią o utraconej miłości dedykowaną przedwcześnie zmarłemu bratu. Ten utwór – jak i cały album – jest delikatny i oszczędny w środkach. Kompozytorka unika na przykład perkusji, która mogłaby niepotrzebnie wybić słuchacza z zadumy.

MATERIAŁY PRASOWE

Choć Arooj Aftab przeważnie śpiewa w urdu, to jej utworom – także tym z najnowszej płyty „Night Reign” (2024) – bliżej do jazzu, kameralistyki czy minimalizmu niż do muzyki hindustańskiej. Estetyczne wybory kompozytorki łatwiej zrozumieć, gdy pozna się jej biografię. Aftab urodziła się w Rijadzie, gdzie spędziła pierwsze dziesięć lat swojego życia. Przez następną dekadę mieszkała w Lahaur, stolicy pakistańskiej prowincji Pendżab, skąd ostatecznie wyjechała na studia do Stanów Zjednoczonych. Została przyjęta na Berklee College of Music, gdzie kształciła się w kierunku produkcji dźwiękowej i inżynierii dźwięku. Po studiach przeprowadziła się do Nowego Jorku, pracowała jako dźwiękowiec, ale także powoli wsiąkała w lokalną scenę jazzową i alternatywną.
Zanim jeszcze krytycy, kapituła Grammy i Barack Obama zachwycili się „Vulture Prince”, Pakistanka nagrała dwa albumy – akustyczne, jazzowo-folkowe „Bird Under Water”, na którym słychać podwaliny jej stylu, a także zaskakujące elektroniczne „Sirens Islands”. Choć ten ostatni wydaje się skokiem w bok, to daje też wgląd w eksperymentalne ciągoty Aftab. Te poszukiwania zaowocowały później świetną płytą „Love in Exile” (2023) nagraną z gigantami jazzu – pianistą Vijayem Iyerem i multiinstrumentalistą Shahzadem Ismailym. Ewolucja jest też domeną „Night Reign”, na którym Pakistanka stawia na bogatsze aranżacje, zaprasza też gości z trochę innych światów (m.in. Moor Mother, poetkę działającą na styku avant-jazzu i hip-hopu).
Arooj Aftab wystąpi 8 czerwca podczas warszawskiego festiwalu Ephemera. Zaśpiewa pieśni, których słów nie zrozumiemy, a mimo to będziemy bardzo dobrze wiedzieć, o czym śpiewa. Taka to muzyka.
© JAN BŁASZCZAK

Punkt widzenia drzewa

ANITA PIOTROWSKA

KINO | W „Milczącej przyjaciółce" trzy obyczajowe historie przypominają czasem kino przyrodnicze albo wręcz naukowy zapis.

Macie czasami wrażenie, że nie tylko zwierzęta, lecz także rośliny nas obserwują? Dla niektórych takie pytanie trąci pewnie nadmierną antropomorfizacją czy poetycką manierą, ale kto widział wcześniejszy film Ildikó Enyedi, zatytułowany „Dusza i ciało", nie zdziwi się, że w „Milczącej przyjaciółce" tytułową bohaterką jest... drzewo. A konkretnie potężny miłorząb, który przygląda się bohaterom na przestrzeni ostatnich stu lat. W poprzednim filmie losy dojrzałych kochanków, którym trudno było zbliżyć się do siebie w „realu", spełniały się w ich snach, gdzie przybierali postacie dzikich zwierząt. I świetnie, że pochodząca z Węgier reżyserka powraca do tamtej poetyki, a nawet ją rozwija. Nie chodzi w niej wyłącznie o rozbudzoną świadomość ekologiczną, ale o śmiałe poszukiwania filmowe, które niejako poszerzają kąt widzenia kamery i przestają być na chwilę perspektywą czysto ludzką.

Historia opowiedziana przez Enyedi meandruje w czasie, a jej bohaterami są osoby ściśle związane z uprawianiem nauki. Tony Chiu-Wai Leung, znany między innymi ze „Spragnionych miłości" (2001) Wonga Kar-Waia, gra profesora, który bada w Hongkongu mózgi niemowląt, ale pandemiczny lockdown zatrzymuje go i zamyka na niemieckim kampusie. Wędrując samotnie po tamtejszym parku, Wong czuje na sobie czujne spojrzenie starego drzewa. Podobnie sto lat wcześniej znalazła pod nim schronienie młodziutka Grete (Luna Wedler), która wbrew panującym na uczelni seksistowskim obyczajom próbowała zostać studentką botaniki. W cieniu tego samego miłorzębu rozgrywa się również wątek z 1972 roku, kiedy to student germanistyki, zakochany w młodej badaczce roślin (gra go Enzo Brumm), zaczyna angażować się w zupełnie nową interakcję. Te trzy luźno powiązane historie z czasem tworzą coraz gęściej zaplecioną całość. A jest nią melancholijna opowieść o trojgu samotnych, którzy w kostiumach z różnych epok, używając właściwych swoim czasom narzędzi badawczych, zacieśniają swoje więzi z naturą. Naukowa pasja, uzbrojona w coraz bardziej zaawansowane „szkiełko i oko", zamienia się w organiczną wręcz bliskość.

Dlatego „Milcząca przyjaciółka" przekracza granice powiastki o terapeutycznym przytulaniu się do drzew czy komunikacji międzygatunkowej. Jeśli jest filmową medytacją, to rozpisaną na sproblematyzowane portrety ludzkie osadzone w różnych „okolicznościach przyrody". I w których za każdym razem, jakkolwiek górnolotnie to brzmi, chodzi o poszerzanie granic własnego poznania i bycia w świecie. Dlatego wybitny neurobiolog spróbuje połączyć swoje dotychczasowe badania z osiągnięciami botaników, aspirująca naukowczyni przekieruje swoją uwagę ku fotografowaniu roślin, a zaczytany w Rilkem nieśmiały młodzieniec, choć roślin dotąd nie lubił, spróbuje „zaprzyjaźnić się" z pelargonią.

Nad wszystkim zaś czuwa owa milcząca przyjaciółka, mówiąca samą swą obecnością: „gościu, siądź pod mym liściem...". A filmowana jest niczym organizm bez mała zwierzęcy – niemal czujemy jej ciepły, chrapliwy oddech. W tym miejscu mógłby się komuś przypomnieć nakręcony przed czterema laty francuski dokument „Serce dębu" Laurenta Charbonniera i Michela Seydoux. Zresztą stryjeczna wnuczka tego drugiego, Léa Seydoux, pojawia się u Enyedi pośród międzynarodowej obsady jako współczesna badaczka „inteligencji roślin". Węgierska reżyserka nie podąża jednak tamtym tropem, widząc w swoim drzewie coś więcej niż rozbuchany ekosystem.

Można mieć wrażenie, że obdarzona pamięcią wielu pokoleń przedstawicielka gatunku *Ginkgo biloba* nieustannie woła do *Homo sapiens*. Ten zaś nie zawsze to wołanie słyszy czy rozumie, choć w tle toczą się badania nad anatomią, aktywnością i odczuwaniem roślin. Lecz Enyedi idzie jeszcze dalej – może rośliny też bywają osamotnione na swój sposób? Nawet jeśli brzmi to mało naukowo, stanowi dobrą ilustrację dla przewijającej się w filmie myśli, że naszym światem rządzą zbyt sztywne klasyfikacje. To one kazały wyszydzać ambitną dziewczynę na egzaminie wstępnym w początkach XX wieku. To im musi się podporządkować poważny naukowiec przypisany do jednej specjalności. Wedle schematów

MATERIAŁY PRASOWE

MILCZĄCA PRZYJACIÓŁKA (STILLE FREUNDIN) *– reż. Ildikó Enyedi. Prod. Francja/ /Niemcy/ /Węgry 2025. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 22 maja.*

Ildikó Enyedi to węgierska reżyserka, która za „Mój wiek XX" (1989) – z aż potrójną rolą Doroty Segdy – otrzymała w Cannes nagrodę dla najlepszego debiutu. Potem były filmy „Magiczne kule" (1994), „Szymon Mag" (1999) czy „Historia mojej żony" (2021). Ale największym jej osiągnięciem jest, jak dotąd, „Dusza i ciało" (2017), uhonorowana najważniejszymi nagrodami na Berlinale.

Powyżej: kadr z filmu „Milcząca przyjaciółka".

działa także chłopak opiekujący się rośliną poddawaną naukowym doświadczeniom. Wszyscy jednak próbują te ramy rozszczelniać. Najlepiej tłumaczy to profesor Wong: umysł dorosłego działa niczym punktowy reflektor, utracił bowiem dziecięcą zdolność szerokiej percepcji, przypominającej latarnię morską.

Także Enyedi samą filmową formą poszukuje jak najszerszego spojrzenia na rozpięty w czasie ludzki los. Toteż „Milcząca przyjaciółka", nagrodzona przez krytykę na festiwalu w Wenecji, w ciągu dwóch i pół godziny ogarnia bogate spektrum stylistyk i gatunków. Od czarno-białej opowieści emancypacyjnej, przez słoneczną pocztówkę z epoki hipisowskiej, po sterylną współczesność. Średniowieczny kampus uniwersytecki z imponującym ogrodem botanicznym raz jest męską twierdzą, która dopiero uchyla swe podwoje dla studiujących kobiet, sześćdziesiąt lat później będzie już siedliskiem wolnej miłości i lewicowej rewolty, a w obliczu covid-19 zamienia się w wyizolowany od reszty świata luksusowy schron. A trzy obyczajowe historie o różnie zagospodarowywanej samotności wizualnie przypominają czasem kino przyrodnicze albo wręcz naukowy zapis. Z roślinnym mikrokosmosem w roli głównej ukazanym w maksymalnym zbliżeniu.

Jest też „Milcząca przyjaciółka" opowieścią o poszukiwaniu wspólnego języka. Spotykają się więc tutaj naukowy eksperyment i fotografia artystyczna, a do tego lektura niemieckich romantyków, przełamywanie międzyludzkiej czy międzykulturowej obcości i walka z myślowym stereotypem. Dopiero gdzieś na przecięciu różnych języków możliwy jest pozytywny rozwój. Sama Enyedi też płynnie przemieszcza się między poszczególnymi planami czasowymi, estetykami i różnymi dyskursami. Tam, gdzie łatwo można było popaść w tak zwany ekologizm magiczny, równoważy go dyskretnym humorem, zmysłowym tonem, naukowym konkretem. Potrafi chwycić za serce bez uciekania się do ckliwych efektów, a poważne refleksje rozbudza jakby mimochodem. W przestrzeni nieco onirycznej znowu stawia pytania, od których już raczej nie uciekniemy. Bo są z tych najważniejszych i dotyczą naszego miejsca w świecie natury, wobec postępu czy innych ludzi. ©

Lektor:
Świat w splątaniu

▪ *Hanna Krall, Zbigniew Libera* **NIE MÓWI SIĘ TAKICH RZECZY** *Znak Literanova, Kraków 2026*

Rozmowa z Ojczenaszem – czy to ma sens, przecież on powinien być świadomy wszystkiego, co było, co jest i co będzie! Po co zadaje jakiekolwiek pytania? Hanna Krall odpowiada: „On może wszystko, mógłby też wiedzieć, gdyby chciał. Widocznie nie chce, skoro wybiera niewiedzę. Pyta jednak, widocznie jest ciekaw, co mu tu z tego wszystkiego wyniknęło. Może czeka, co będzie dalej? Gdyby wiedział, znałby wszystkie zakończenia. Byłoby nudno. Byłby takim własnym spoilerem. Może dlatego woli nie wiedzieć".

Czy to więc przypowieść o samoograniczającym się stwórcy? A może o jego abdykacji? Z grzeczności pyta, ale nie chce się już angażować. „Lubię rozmawiać z tym, który mnie zaszczyca pytaniem" – tłumaczy Krall i dodaje: „Co robi z wiedzą? Nie mam pojęcia. Staram się nie być wścibska". Próbuje mu ten świat – jego przecież świat – opowiedzieć w całym splątaniu, z nićmi, które łączą wszystko ze wszystkim.

Bo są żydowskie dziewczynki, którym podczas wojny udało się wyjść z komisariatu żandarmerii, i takie, które z niego nie wyszły, ale do dzisiaj nawiedzają żywych. I Zośka, którą po wojnie zagwałcono na śmierć, bo nie chciała za męża Bohatera Narodowego. I jeszcze jedna dziewczynka, Isabel Lopez, którą spalono na stosie w XVI-wiecznej Kordobie, i która opętała teraz pewną studentkę z Seattle.

Ojczenaszowi trzeba też wyjaśnić, jak się przygotować na wypadek wojny, bo udaje, że nie wie. No i niech sobie trochę pobędzie z duchami tych, co niedawno odeszli, jak Urszula Kozioł czy Marcin Wicha. Niech poprzygląda się sprzątaniu po umarłym. Niech odwiedzi przygraniczny cmentarz, gdzie pochowano tych, których ciała znaleziono w lesie i na bagnach. Zaraz, zaraz, ale czy to Ojczenasz jest oprowadzany po swoim własnym dziele, czy może raczej my? I czy po prostu nie przypomina się nam o obowiązku pamięci?

Rozmowa Ani Goc z Hanną Krall, drukowana niedawno przez „Tygodnik", dobrze wprowadza w lekturę tej dziwnej książki, łączącej reporterskie okruchy i uzupełnienia dawnych historii z pracami wybitnego artysty. Nie nazwałbym prac Zbigniewa Libery ilustracjami, choć pewne szczegóły do nich z tekstu przenikają, to raczej odrębny kosmos przeciwstawiający rozedrganemu światu porwanych opowieści tajemnicę równowagi barwnych form. Spotykają się więc dwie rzeczywistości i w osobliwy sposób wzajemnie komentują. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Jak Trump je pizzę

Jedna trzecia wysokości butelki, wyżej nie wolno jej złapać, dłoń musi być jak najdalej od szyjki. Otwieracz do butelek również chwyć jak najdalej od krańca, którym będziesz podważać kapsel. I teraz już możesz podać ulubioną colę „diet" (u nas nazywała się „light", ale już jej nie ma, została tylko „zero", choć to praktycznie ten sam okropny napój) prezydentowi Donaldowi Trumpowi, który bardzo boi się zarazków, więc z biegiem czasu wprowadził ścisłe protokoły dotyczące kontaktu z jego żywnością i napitkami. Ten akurat, spisany w czasach zamierzchłych, pochodzi z restauracji w jednym z jego hoteli w Waszyngtonie i przewidywał też, iż po zajęciu miejsca przy stoliku dostojny gość miał mieć dyskretnie podaną buteleczkę z żelem dezynfekującym – a było to w czasach na długo przed covidem, kiedy to było naprawdę dziwactwo.

Oficjalnie pod przysięgą nigdy nie zeznam niczego innego niż to, że higiena w życiu domowym jest bezwzględnie pożądana, a w zbiorowym żywieniu konieczna, zbawienna, wręcz święta. Nieoficjalnie boję się trochę tego, co mają w głowach ludzie poświęcający temu bardzo wiele uwagi, nieumiejący wziąć gryza cudzej kanapki (jasne, prezydent Trump dostarcza wiele innych powodów, by się go bać, nie będziemy jednak dublować tu pracy naszego działu zagranicznego). W rzadkich chwilach bezczynności na zapleczu baru nad moją duszą barmana i winiarza bierze górę druga dusza – ta redaktorska – i czytam po raz setny, literując cichutko srogie zdania, zawieszoną przepisowo na widocznym miejscu urzędową instrukcję mycia rąk, robiąc w myślach jej korektę i adiustację, bo językowo i edytorsko dokument ten, niestety, pozostawia dużo do życzenia.

Ktoś mógłby sarkać, dokąd jeszcze sięgnie pasja regulowania w podpunktach czynności, które każdy i każda wykonuje instynktownie. Instrukcja stawiania kroków albo protokół wydmuchiwania nosa... Po tym na pewno powinno się myć ręce, dla alergików w sezonie pylenia to kłopotliwe wyzwanie. Nie zawsze mam na to czas, przyznaję się bez bicia, myślę, że na pewno bym nie przeszedł testów sterylności, by obsługiwać prezydenta. Ale to abstrakcyjny problem, bo Trump alkoholu nie tyka z powodu rodzinnej traumy związanej z chorobą jego brata i tego na pewno nie będziemy mu wypominać. Dość, że swoją wątrobę masakruje wspomnianą colą – co najmniej dwanaście butelek dziennie. Brr!

W kontekście tego, jak je i pije Ameryka bez względu na afiliacje partyjne, to i tak nie jest jakiś szczególny wyczyn. Większe dziwactwo, jeśli już mielibyśmy grzebać w archiwach, to używanie noża i widelca do jedzenia pizzy. Jednak to nie objaw klasistowskiego zadawania szyku, tego polityka akurat o to nie podejrzewamy. Wyjaśnienie jest inne: Trump sięga po widelec, żeby łatwo zeskrobać wyłącznie ser i dodatki, wierzchnią warstwę, a placka nie tknąć. Z powodu kalorii, podobno.

TED HSU / ALAMY STOCK PHOTO

Cóż, akurat dla mnie jakość ciasta, to, czy ono potem nie siada ciężkim kompresem na żołądku, jest w większym stopniu wyznacznikiem jakości pizzy niż dodatki. Te bowiem, jeśli ma się wysoki budżet (czyli odpowiednie ceny) i rozeznanie u dostawców, można mieć dowolnie dobre, na zawołanie, z dostawą za godzinę. Ale zrobić ciasto o np. 90-procentowym nawodnieniu (z którego w piecu ta woda wyparuje, dając placek leciutki, lecz zwarty) to już jest wyższa sztuka, która nie toleruje pośpiechu. W godzinę ono nie urośnie. Zapytajcie w Krakowie na rogu Wiślnej i Gołębiej albo w ulubionej porządnej pizzerii – każde polskie miasto ma takich po kilka. W Ameryce z dobrym ciastem, zwłaszcza w sieciówkach, jest chyba kiepsko, więc metoda „mięso zjedz, ziemniaczki zostaw" ma sens i nie musi być afrontem w oczach elektoratu. Takim był za to argument „dziadka z Europy", którym pogrążył się onegdaj inny polityk przyłapany na jedzeniu pizzy nożem i widelcem – ówczesny burmistrz Nowego Jorku Bill di Blasio. Nowojorską się zwija w rulon, to wie nawet polskie dziecko! A ten jeszcze gadał, że jego włoska rodzina zawsze używała sztućców.

Trzeba uważać. Ostatnio młody, obiecujący kandydat Demokratów do Senatu z Teksasu musiał odpierać „zarzut" (tak

dosłownie napisał), jakoby był weganinem. Nazywa się James Talarico i jeszcze o nim usłyszycie. Trochę napędził stracha rywalom, bo w stanie, który Republikanie uważają za swój, potrafi łączyć bardzo pobożny dyskurs – uczy się na pastora u prezbiterian – z progresywnymi hasłami z czołówki tematów wojen kulturowych. Pawłowe słowa z Listu do Galatów „nie masz mężczyzny ni kobiety" cytuje, by podeprzeć swoje twierdzenie, iż nauka rozróżnia aż sześć płci i skoro „Bóg nie jest binarny", to prawo stanowe nie może decydować o składzie drużyn koszykówki. Ale np. w kwestii przyjmowania imigrantów lepiej mu idzie z cytowaniem Pisma i coraz lepiej radzi sobie w sondażach. Z tej racji ostatnio sam Trump wygarnął do niego z grubej rury, wypominając mu, że jest ukrytą opcją wegańską.

Talarico wyczuł, że w Teksasie to może być gorszy cios niż liczenie płci. I błyskawicznie zareagował. Szczerość swoich słów podparł też czynem, publicznie zjadając pokaźne udo indycze. Z grilla, a jakże, w końcu to Teksas. Grilla już dawno przejęliśmy, to nasz narodowy wyznacznik męskiego dobrostanu. A mi szkoda, że w naszej polityce nikt aż tak obficie nie cytuje Biblii. Faktycznie jest niebinarna, ani lewicowa, ani prawicowa, bez względu na to, jak mocno ktoś ją naciąga. ©℗

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Bakłażan z pak choi

Ile mam dokładnie lat, tego nie powiem, bo to nie jest pseudofamiliarny Instagram. Dość wam wiedzieć, że jeszcze miałem przyjemność słuchać na żywo prof. Marcina Króla, i to w czasach, zanim skonstatował, iż byliśmy głupi. A że gotuję z pasją, a czasem nawet dla zarobku, już dłużej, niż trwa duopol PO-PiS, to czuję się tak samo głupi, że nigdy mi nie przyszło do głowy połączyć na jednej patelni botwinkę (krótko duszoną na oliwie z odrobiną czosnku) i szparagi, cienkie raczej, krótko zblanszowane. To jest taki romans, że Tristan z Izoldą wyglądają przy nim jak aranżowane małżeństwo. Nic wam nie mówię dalej, bo sam dalej badam potencjał tego połączenia.
Tymczasem jedzenie całkiem roślinne, jeśli ma być „syte" i nie zawierać dodatku glutaminianu sodu, który potrafi rzucić na mózg umamiczny urok, musi w przednówku korzystać z importowanych wypełniaczy, z których szczególnie lubię bakłażana. Łączę go już z czym się da, ale poniższa para jest warta zapamiętania.

SKŁADNIKI: 2 małe bakłażany lub 1 duży 2 główki kapusty pak choi 1 łodyga selera naciowego 1 ząbek czosnku 50 ml białego wina ▪ olej ▪ ocet winny ▪ tymianek lub za'atar

Kroimy bakłażana w kostkę 1-1,5 cm. Jeśli jest bardzo duży, odrzucamy gąbczasty środek. Obsmażamy na cienkiej warstwie oleju przez kilka minut na średnim ogniu, mieszając, aż się lekko ozłoci z każdej strony i zacznie trochę mięknąć, solimy, doprawiamy ziołami. Podlewamy winem, odparowujemy, dalej dusimy na wolnym ogniu pod przykryciem, aż całkiem zmięknie. Na innej patelni podsmażamy najpierw łodygi pak choi i selera, posiekane na dość drobne kawałki, po 2-3 minutach dodajemy cieńszą część kapusty, solimy, wlewamy trochę wody, żeby się nam to ładnie połączyło i poddusiło parę minut, wciąż zachowując chrupkość. Łączymy z bakłażanem, dusimy razem parę chwil, żeby się przegryzło, skrapiamy lekko octem lub sokiem z cytryny. W wersji na zdjęciu dodałem trochę kaszy, żeby było bardziej pożywne. Najlepiej smakuje na zimno, po paru godzinach. ©℗

PAWEŁ BRAVO

ZMYSŁY

W SPIŻARNI BOGÓW

Włoskie miasta zwykle chwalą się jednym przymiotem. Wenecja jest najjaśniejsza, Rzym wieczny. A o Bolonii mówi się *la dotta*, *la rossa* i *la grassa*. Uczona, czerwona i tłusta.

BARTEK KIEŻUN

Bolonia jest uczona (la dotta) dzięki świetnemu uniwersytetowi, najstarszej uczelni cywilizacji zachodniej, założonej w 1088 r. Czerwona (*la rossa*) od cegieł, z których została zbudowana, i lewicowych poglądów jej mieszkańców. Tłusta zaś (*la grassa*) za sprawą pysznej kuchni. I to na niej się tu skupimy.

Przepisowy sos

Emilia Romania zrodziła wszystkie te przysmaki, które każdy bez wyjątku kojarzy z Italią: szynkę parmeńską i mortadelę, wyjątkowy ocet balsamiczny i najsłynniejszy chyba ser całego półwyspu Apenińskiego, parmigiano reggiano.

To nie wszystko. Łasuchy nie mogą pominąć bolońskiego *ragù*, jedynego na świecie sosu, którego skład został spisany i przekazany w ręce miejskich urzędników. Jeszcze w latach 80. zespół bolońskich kucharzy wybrał się do Izby Handlu, Przemysłu, Rzemiosła i Rolnictwa, by złożyć przepis wraz ze szczegółowym wyliczeniem wszystkich jego składników, ich proporcji oraz czynności, jakie trzeba wykonać, by otrzymać *ragù alla bolognese*. Od 17 października 1982 r. skodyfikowanego przepisu używają wszyscy.

Na swoje nieszczęście Bolończycy nie dopisali jednak, z jakim makaronem trzeba sos boloński podawać. Dlatego teraz muszą to wyjaśniać wszystkim odwiedzającym miasto turystom, walcząc z pokutującym na całym świecie stereotypem, według którego ideałem włoskiej kuchni jest danie zwane *spaghetti alla bolognese*. Danie o korzeniach... amerykańskich.

Do znudzenia powtarzają, że „nie ma czegoś takiego jak spaghetti bolognese", bo Bolończycy jedzą *tagliatelle* – świeży makaron jajeczny. Wiedzą, co robią, bo ich jajeczna *pasta* ma nieco porowatą strukturę i świetnie łączy się z ciężkimi mięsnymi sosami, takimi jak *ragù*.

Obowiązki smakosza

O kulinarnym bogactwie regionu najlepiej przekonać się w pobliżu Kościoła San Petronio. Stojąca przy głównym placu miasta świątynia jest największa w Bolonii, choć nie jest katedrą. Uliczki na prawo od fasady to istny raj dla smakoszy i targ na świeżym powietrzu.

W sklepach przy ulicach Drapperie, Pescherie i Caprarie można zrobić wspaniałe zakupy. Można też dać się oprowadzić po tym terenie specjalnemu przewodnikowi opowiadającemu o smakach miasta, który zaręczy, że obowiązkiem każdego człowieka ceniącego znakomite jedzenie jest wizyta w Tamburini. Te delikatesy i bistro działają przy via Caprarie od roku 1932.

Po zaspokojeniu mniejszego lub większego głodu nie można nie zajrzeć do Santuario di Santa Maria della Vita, by z bliska przyjrzeć się kunsztowi bolońskich specjalistów od terakoty. Mieszkańcy miasta mieli ograniczony dostęp do kamienia, dlatego jego budynki oraz ich wyborne detale architektoniczne powstały z tego właśnie materiału. Świadectwem

STEVE TULLEY / ALAMY / BE&W

Bolonia, ulica Pescherie

prawdziwego mistrzostwa w tej dziedzinie jest sanktuarium, w którym można obejrzeć terakotową grupę figur naturalnej wielkości. Dzieło stworzone przez Niccolò dell'Arca przedstawia opłakiwanie Chrystusa. Ekspresja postaci i ich gesty oraz twarze pełne bólu pozostawiają niezatarte wrażenie.

Bolonia, podobnie jak Piza, słynie z krzywej wieży. A nawet dwóch. Zdobią one samo centrum miasta i są pozostałością dumnych i bogatych czasów. Mówi się o nich: Asinelli i Garisenda. Było ich niegdyś więcej, bolońscy przewodnicy mówią o dwustu, z których do dziś pozostało tylko dwadzieścia. Były symbolami bogactwa i fantazji, tak samo jak w toskańskim San Gimignano. Bogate rody, rywalizując o prestiż, wznosiły wieże, coraz wyższe i wyższe. Na drodze stawała im jedynie grawitacja. Łatwo to zauważyć, ponieważ Asinelli i Garisenda naprawdę poważnie odchylają się od pionu, a architekci robią, co mogą, by się nie przewróciły.

Wyróżniają Bolonię również podcienia. Całe miasto piesze pasaże skrywa pod dachami, by latem nie dać się palącemu słońcu, a w zimie śniegowi i deszczowi. Z dworca można przejść do Piazza Maggiore, głównego placu miasta, prawie nie oglądając nieba.

Tyłeczek na wietrze

Na miejscu zaskakuje, jak młodym miastem jest Bolonia. Nie historią oczywiście, lecz duchem. Tutejszy uniwersytet cieszy się nadal doskonałą opinią, wykładał tam m.in. Umberto Eco. Młodzi, którzy przyjeżdżają tu studiować, wnoszą zdrowy ferment i energię.

Mimo że Bolonię założono w IV w. przed naszą erą, w ogóle nie czuć tu ciężaru dziejów. W sklepach włoskie mammy przepychają się w kolejkach, a przy stolikach trwają debaty nad prawami LGBT+ i nikt nikomu w niczym nie przeszkadza. W studenckich barach pije się spritze we wszystkich kolorach tęczy, ale barmani leją też polską wódkę, którą włoscy studenci piją prawie tak szybko, jak ich polscy koledzy.

Po kilku dniach przekonywania się o tym, że serce Bolonii bije w rytmie podobnym do tego, który czułem we własnej klatce piersiowej, wybrałem się do Parmy. Na miejscu było ↦

↦ wyjątkowo gorąco. Miasto było jak wymarłe. Nie latały nawet muchy. Rozsądek nakazywałby się schować, ale ja byłem umówiony. Michela miała być moją przewodniczką. Pokazać co piękniejsze zakątki i opowiedzieć, o co z tą Parmą chodzi. Od razu rzekła, że wilgotność sięga dziewięćdziesięciu procent. „A skąd tu taka wilgotność?", zapytałem, w moim przekonaniu nieco podchwytliwie, bo wody dookoła widać nie było żadnej, z wyjątkiem butelek mineralnej, które dzierżyliśmy w dłoniach.

Wyjaśnienia zajęły chwilę. „Jesteśmy w Parmie, nad rzeką Parmą, która z wrażenia prawie wyschła na wiór. Kawałek stąd płynie Pad, mnóstwo tu cieków wodnych i jezior, tam" – Michela machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. „A w dodatku jesteśmy w dolinie" – dodała i zarysowała przed nami obraz długaśnej niecki ciągnącej się mniej więcej od La Spezia w Toskanii aż po Bolonię. „Ale dziś jest absolutnie wyjątkowo, tak gorącego dnia jeszcze w tym roku nie było. Dlatego całe miasto będziemy mieli tylko dla siebie" – stwierdziła i ruszyliśmy spacerem w kierunku katedry, zahaczając po drodze o lodziarnię Ciacco, przy Strada Garibaldi 11.

Od Micheli dowiedziałem się, że kluczową rzeczą w Parmie jest częsty wiatr od morza. To on tak świetnie suszy *prosciutto di Parma* i *culatello di Zibello*. Wzmiankowana po raz pierwszy w 1735 r. wieprzowa wędlina jest uznawana za jedną z najlepszych w całej Italii. *Culatello* znaczy po włosku tyłeczek – bo wytwarzane jest z najdelikatniejszej części wieprzowego udźca.

Mieszkańcy położonej nieopodal, słynącej z produkcji balsamicznego octu Modeny twierdzą, że z tym wiatrem bywa różnie i wcale nie wieje on tak często, jak by tego chcieli Parmeńczycy. Ci z kolei twierdzą, że to złośliwy charakter Modeńczyków sprawia, iż nie czują podmuchów.

Przez okno salumerii

Wiatr ten doceniono bardzo dawno, podobnie jak *prosciutto* – szynkę, która dzięki niemu powstaje. Dowodów na to dostarczyli archeolodzy, którzy w regionie bardzo często natrafiali na kości wieprzowe, głównie z tylnych nóg. Pozostałe kości występowały w ilościach zupełnie niezwyczajnych, co doprowadziło do postawienia hipotezy, że udźce na suszoną, dojrzewającą szynkę zwożono tu z innych zakątków Italii, a czasem nawet spoza jej granic.

Dziś jest tak samo. Przyszłe szynki zostaną posolone, powieszone na hakach i będą wisieć pod czujnym okiem specjalistów, a gdy tylko powietrze stanie się odpowiednie, w salumeriach, czyli miejscach, gdzie szynka dojrzewa, zostaną otwarte specjalne długie i wąskie okna, które wpuszczą do środka słodko-słone, aromatyczne powietrze nawiewane tu znad morza.

Salumerię najłatwiej rozpoznać po kształcie okien. Wiatr, który przez nie wpada, podbija nie tylko smak klasycznego *prosciutto*, ale również *culatello* – środkowej i najdelikatniejszej części wieprzowego udźca. Mięso na *culatello* musi pochodzić z czternastomiesięcznego wieprza trzymanego przez całe życie na specjalnej diecie z jęczmienia i kukurydzy oraz otrąb i serwatki powstałej podczas wytwarzania *parmigiano reggiano*.

Parmigiano i Parmigianino

Szynka i ser to jednak tylko część mojej słabości do regionu Emilia Romania, bo do Parmy jeździ się również z powodu Parmigianina. W Galleria Nazionale, Galerii Narodowej mieszczącej się w ponurym Palazzo della Pilotta, prezentowana jest przepiękna „Turecka niewolnica", a w Basilica di Santa Maria della Steccata znajduje się parę fresków mistrza z Parmy.

Parmigianino, genialny malarz manierysta, miał jednak – jak opowiadają w mieście – dość trudny charakter. Fresków jest zaledwie kilka, mówią, bo ledwo nerwowy artysta zaczął malować, pokłócił się z proboszczem. Ten jednak musiał mieć wyjątkowy dar przekonywania i najwyraźniej postawił artyście ultimatum, które przełożyło się na powstanie „Madonny z długą szyją", która dziś wisi w Uffizi we Florencji i uchodzi za arcydzieło włoskiego malarstwa.

Parmeńska Galleria Nazionale ma bogate zbiory i jest miejscem obowiązkowym również dla miłośników twórczości Leonarda da Vinci. Można się tu bowiem przyjrzeć La Scapigliacie, pięknemu kobiecemu portretowi. Warto też zajrzeć do Teatro Farnese w tym samym budynku.

Najbardziej jednak lubię Parmę za *parmigiano reggiano*! Ten pewnie najsłynniejszy włoski ser wyjątkowy smak zawdzięcza mleku, a ono z kolei – łąkom w okolicach Parmy, porośniętych aromatycznymi ziołami i trawami. W zasadzie cały sukces zasadza się na tych łąkach. Zdaniem specjalistów mleko z innych zakątków Italii smakuje inaczej i nie da się stworzyć *parmigiano reggiano* gdzie indziej.

Sceptycy twierdzą, że to nie do końca prawda, ale reguły narzucone przez konsorcjum zrzeszające producentów są nieubłagane. *Parmigiano* powstaje tylko w prowincjach obejmujących Parmę, Reggio Emilię, Modenę, Bolonię oraz Mantuę. A nazwę ser zawdzięcza dwóm miastom Emilii Romanii – Parmie i Reggio, które walczyły o to z całych sił. Ostatecznie uznano wyższość Parmy i dlatego dziś jemy *parmigiano reggiano*, a nie *reggiano parmigiano*.

Bardzo lubię też katedrę z niesamowitymi malowidłami. Pod wielkim wrażeniem tego kościoła był Peter Paul Rubens, a wcześniej tak bardzo spodobała mu się tylko Genua. W Parmie zaś oniemiał – jak piszą historycy – na widok fresku w kopule katedry.

Z zachwytem wpatrywał się w dzieło Correggia i podziwiał jego przestrzenność. Rubensowski podziw upewnił mieszkańców Parmy w tym, że dobrze zrobili, nie zamalowując fresku. On sam nie dawał Rubensowi spokoju na tyle, że dowiedziawszy się, iż marmurowe obramowanie dookoła kopuły też jest namalowane, nie uwierzył. Kazał się wciągnąć na linach pod dach katedry, by go dotknąć i samemu się przekonać.

Jednak z freskiem Correggia w kopule, który zachwycił Rubensa, przez długie lata były same problemy. Przed zamalowaniem uratowała go opinia Tycjana, który tłumaczył załamanemu biskupowi, że „Wniebowzięcie" wcale nie wygląda jak talerz z żabimi udkami. Przed wizytą słynnego malarza z Wenecji taka opinia była w Parmie na porządku dziennym. Jak widać, trudne są losy arcydzieł.

Pies na trufle

Mogłoby się wydawać, że to wszystko i tak sporo jak na jeden włoski region, ale Emilia Romania ma jeszcze jednego asa w rękawie. Chodzi o trufle. Odwiedzałem ten region w różnych porach roku i wspaniałe wspomnienia mam również z wizyty w grudniu. Polską słotę wymieniłem wówczas na bieganie po lesie pełnym słońca w towarzystwie nieco tylko szalonego psa

Wiatr od morza świetnie suszy *prosciutto di Parma* i *culatello di Zibello*, uważane za jedne z najlepszych wędlin Italii. *Culatello* znaczy tyłeczek – wytwarzane jest **z najdelikatniejszej części wieprzowego udźca.**

OLEKSANDR MELNYK / ADOBE STOCK

Szynka culatello di Zibello

rasy *lagotto romagnolo* o imieniu Oscar. Ten młodziak na czterech łapach miał absolutnie wyjątkowy nos i był w stanie przez dwie godziny z zapałem poszukiwać trufli, w czasie gdy jego właściciel opowiadał mi o najdroższych grzybach na świecie.

Trufle, których nazwa po łacinie oznacza bulwę, rosną pod ziemią i tworzą symbiotyczne relacje z korzeniami drzew, wymieniając z nimi składniki odżywcze i wodę. Nie chodzi o byle drzewa. Trufle bardzo starannie wybierają sobie towarzystwo. Lubią dęby, wiązy, buki i leszczynę – wyjaśniał mój przewodnik.

Dowiedziałem się, że większość czarnych trufli zjadanych dziś na świecie pochodzi z upraw. Grzybnię starannie implementuje się w dziwnych lasach złożonych z kilku wymienionych gatunków drzew. Następnie takie truflowe miejsce starannie się grodzi wysokim płotem i po jakimś czasie, przy odrobinie szczęścia, zaczyna się zarabiać pieniądze, dostarczając trufle do restauracji albo sklepów.

Zanim jednak ktoś zamarzy o posiadaniu tartufaii, należy najpierw ustalić, czy dany teren nadaje się do uprawy jednego lub kilku gatunków trufli. Przeprowadza się wstępną analizę geologiczną, bo ta pozwala wykluczyć obszary nieodpowiednie do uprawy. Nie nadają się do hodowli tych grzybów gleby kwaśne, nadmiernie zbite oraz wulkaniczne.

Oczywiście, dziko rosnące trufle też pojawiają się na stołach, a przypominają o tym lasy pełne żółtych jak cytryna tabliczek, że zbiór trufli jest zabroniony bez specjalnej licencji. „Tylko pamiętaj, czarne trufle mogą być albo dzikie, albo pochodzić z tartufaii. Białe są dużo bardziej wybredne. Grzybni tego gatunku nie da się implementować" – usłyszałem na koniec.

Oscar zaczął szczekać, więc szybko podążyliśmy jego śladem. Gdy go zobaczyliśmy, kopał pod dębem, intensywnie poszczekując. Truflarz chwycił go za obrożę i delikatnie odsunął Oscara od dziury. Gdyby pozwolił mu pracować dalej, psie pazury mogłyby uszkodzić cennego grzyba. Kilka ruchów łopatką, kilka machnięć dłonią i naszym oczom ukazała się piękna biała trufla. Oscar dostał nagrodę, grzyb wylądował w torbie truflarza, a my ruszyliśmy dalej w las.

Diabelski przysmak

Tego, że trufle nadają się do zjedzenia, nie odkryli Włosi. Historycy piszą, że już Sumerowie między 4500 a 1900 r. p.n.e. sięgali po trufle, podając je z warzywami i roślinami strączkowymi. Po nich w grzybach rosnących pod ziemią zakochali się Grecy i Rzymianie, którzy, jak większość swoich pomysłów, przejęli to upodobanie od Etrusków. Receptury na dania z truflami zapisywali już w I wieku naszej ery. Pisał o nich Plutarch z Cheronei. Pliniusz zaświadczał, że trufla jest cudownym dziełem natury, bo rośnie bez korzeni. Juwenalis twierdził, że to owoce pioruna rzuconego między dęby przez Jowisza.

Z doniesieniami tego ostatniego należy być jednak ostrożnym, bo był poetą i czasem ponosiła go fantazja. W tym wypadku mogło mu jednak chodzić głównie o powiązanie trufli z Jowiszem, wielkim miłośnikiem nieokiełznanego seksu, bogiem nieba i zjawisk atmosferycznych oraz, co ważniejsze, źródłem wszelkiej władzy na ziemi.

Dla najważniejszego boga rzymskiego panteonu seks był ekspresją siły i władzy. Trufle stały się tym samym, zwłaszcza odkąd Neron zaczął je nazywać pokarmem bogów. To dlatego często podawano je na wystawnych bankietach organizowanych przez cesarzy. Trud, jaki trzeba włożyć w ich zdobycie, świetnie uzasadniał wysoką cenę.

Przez długi czas przyrodnicy spierali się o klasyfikację trufli. Niektórzy definiowali je jako roślinę, inni nawet jako zwierzę! Niezależnie od przekonań, trufla pozostała wysoko cenionym produktem, zwłaszcza na stołach szlachty, i przez stulecia niemalże nic się nie zmieniało. Chwilowo tylko pojawiły się plotki, że trufle wyniszczają gleby i że są pożywieniem diabła czy czarownic. Grzyby te podawały na bankietach Katarzyna Medycejska oraz Lukrecja Borgia.

Tymczasem Oscar szczekaniem dał nam znać, że chyba znów znalazł truflę. Tym razem dostał dwa smakołyki, bo trufla była naprawdę spora. Przewodnik spojrzał mi w oczy i oznajmił, że trufli mamy już dość, teraz jeszcze musimy zrobić do nich makaron. Jajeczne tagliatelle jest uznawane nie tylko za fantastyczną parę dla bolońskiego *ragù*, ale także dla trufli.

Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do położonego nieopodal miasteczka Savigno. Kiedy chwilę potem aromat trufli zaczął drażnić mój nos, zrozumiałem, że – ponieważ kocham jeść – Emilia Romania pozostanie jednym z moich ulubionych regionów w Italii.

© BARTEK KIEŻUN

TOMASZ

Stawiszyński:
Wątpienie, wiara, spotkanie

Ksiądz kardynał powiedział kiedyś – mówi do kard. Josepha Ratzingera, wówczas prefekta Kongregacji ds. Nauki Wiary, jego późniejszy biograf i częsty rozmówca Peter Seewald – że wiara chrześcijańska nie jest teorią, lecz wydarzeniem". „To bardzo ważne – odpowiada Ratzinger. – Również u samego Chrystusa nie to jest najistotniejsze, że głosił On konkretne idee (podkr. TS), co, oczywiście, także czynił. Chrześcijaninem staję się dzięki temu, że wierzę w wydarzenie, którym był Chrystus".

Ten fragment książki „Sól ziemi", opublikowanej w 1996 r., wrócił do mnie przy okazji awantury, jaka wybuchła po niedawnej wypowiedzi kard. Grzegorza Rysia. Przypomnijmy: zapytany przez Bogdana Rymanowskiego, czy miewa czasem wątpliwości dotyczące istnienia Boga, kardynał odparł po chwili zastanowienia: „Chyba aż tak to nie. Bo to, że Pan Bóg nie istnieje, to jest bardzo poważna teza. Natomiast myślę, że dla chrześcijanina to nie jest najważniejsze pytanie. Bo to nie chodzi o to, czy Bóg jest, czy Go nie ma, tylko czy się objawił w Jezusie Chrystusie. To po pierwsze. Albo czy się w ogóle objawił i czy ma dla nas Słowo. Kluczowe w wierze jest wierzyć Bogu na Słowo tak, żeby ku Niemu iść".

Sens tych słów, kiedy je po raz pierwszy usłyszałem, wydał mi się zupełnie niekontrowersyjny. Chrześcijaństwo nie jest intelektualną spekulacją albo gnozą, która prowadzi (deklaratywnie) do niekwestionowanej wiedzy o sprawach ostatecznych. Jest spotkaniem z Bogiem żywym, który przybrał ludzką postać, stał się ciałem, oddał życie za ludzi. Ku Niemu właśnie kieruje się wierzący, a ten zwrot nie polega – w każdym razie: nie wyłącznie – na uznaniu zdania o istnieniu najwyższego bytu za prawdziwe, lecz na zaufaniu jakiemuś Ty, które w osobie Chrystusa wychodzi mu na spotkanie. Przekaz sformułowany przez Grzegorza Rysia, mam wrażenie, był właśnie taki – i tylko taki. Analogicznie rzecz się ma w cytowanej wypowiedzi Josepha Ratzingera, który przecież wcale nie chciał stwierdzić, że treść nauczania Jezusa jest nieważna, lecz jedynie, że „nie to jest najistotniejsze".

Skąd zatem taka afera? Skąd potok twittów, gniewnych postów i komentarzy w najlepszym przypadku odmawiających Rysiowi kompetencji teologicznych, w najgorszym zaś posądzających go o zamiar zniszczenia Kościoła? Zadaję sobie to pytanie, odkąd obejrzałem ten wywiad, w którym zresztą kardynał postawił wiele tez mogących równie dobrze stać się przedmiotem intensywnego oburzenia środowisk liberalno-lewicowych, np. że dla Kościoła małżeństwo jest związkiem mężczyzny i kobiety – i takim na zawsze pozostanie. Doprawdy, prezentowane tam poglądy nie były wcale manifestacją jakiejś reformowanej, lewicowej wersji katolicyzmu. Ostatecznie, Ryś nie powiedział nawet, że ma wątpliwości co do istnienia Boga. Benedykt XVI w „Ostatnich rozmowach" przyznawał się do nich w sposób znacznie bardziej bezpośredni: „(...) gdy wokoło rozgrywają się ludzkie dramaty, gdy pyta się, jak Bóg może na to pozwolić, zaczynają się pojawiać wątpliwości". Zdaje mi się, że brzmi to znacznie dobitniej aniżeli: „Chyba aż tak to nie", nieprawdaż?

Powtórzymy więc – skąd to poruszenie, skąd ta wielka afera?

Po części zapewne stąd, skąd bierze się wiele afer, wybuchających w mediach społecznościowych. Ktoś wskazuje palcem domniemanego winnego, a wirtualny tłum rusza do ataku bez względu na to, co faktycznie zostało lub nie zostało powiedziane. Ale to tylko jedna strona medalu. Przypuszczam, że najintensywniejszą reakcję emocjonalną w wypowiedzi kard. Rysia wywołało wcale nie to, co orzekł o prymacie objawienia w Chrystusie nad spekulacją o istnieniu Boga, lecz samo słowo „chyba", które pojawiło się chwilę wcześniej. „Aż tak to chyba nie". Na dodatek padło ono po chwili zastanowienia – co skądinąd od razu wychwycił jeden z bardziej fundamentalistycznie nastawionych krytyków krakowskiego metropolity.

Tu jest sedno, jak sądzę. Jak to „chyba"? Jak to po chwili zastanowienia? Przynajmniej część osób gniewnie komentujących występ u Rymanowskiego oczekiwała od kardynała natychmiastowej, jednoznacznej, pozbawionej wahań odpowiedzi. Czegoś w duchu: „Wątpliwości? Ależ skąd, nie posiadam najmniejszych! Bóg istnieje, koniec kropka, ja to wiem!". Założę się, że gdyby po takiej deklaracji padło następnie, że „dla chrześcijanina nie jest to najważniejsze pytanie" – nie byłoby problemu.

A przecież – to znowu Ratzinger, tym razem z klasycznego już „Wprowadzenia w chrześcijaństwo" – „zarówno niewierzący, jak i wierzący, każdy na swój sposób, doświadczają zwątpienia i wiary, jeśli tylko nie ukrywają się sami przed sobą i przed prawdą swego istnienia. Nikt nie może uniknąć całkowicie wątpienia ani całkowicie wiary, dla jednych wiara będzie istniała przeciw wątpieniu, dla drugich przez wątpienie i w formie wątpienia. Jest to zasadniczą sprawą losu człowieka, móc odnaleźć ostateczny sens swego istnienia nie inaczej, jak tylko w tej nieustannej rywalizacji między zwątpieniem i wiarą, niepewnością i pewnością. Może właśnie wątpienie jednego i drugiego człowieka chroni ich przed zasklepieniem się w sobie i mogłoby się stać miejscem spotkania".

No właśnie, może by mogło? Zdaje mi się, że mało kto dziś w polskim Kościele zaprasza do takich spotkań z większą otwartością i gościnnością niż właśnie kard. Ryś. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

REKLAMA

DRAMATYCZNY

TEKST I REŻYSERIA
DATA TAVADZE

ANIOŁ ZAGŁADY

TEATR DRAMATYCZNY IM. GUSTAWA HOLOUBKA

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

TEATRDRAMATYCZNY.PL

SPEKTAKL REALIZOWANY W RAMACH 46. WARSZAWSKICH SPOTKAŃ TEATRALNYCH. ZADANIE REALIZOWANE JEST DZIĘKI WSPARCIU FINANSOWEMU MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY. DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY – PAŃSTWOWEGO FUNDUSZU CELOWEGO.

46 WARSZAWSKIE SPOTKANIA TEATRALNE

Albatros travel

REKLAMA

Stambuł – brama do Orientu

Wyrusz z nami w fascynującą podróż do Stambułu – miasta, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem, a tysiące lat historii splatają się z tętniącym życiem metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Stambuł. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta i obiad– Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana, rejs po Bosforze i Wielki Bazar oraz obiad. **Dz. 4** Stambuł na własną rękę. **Dz. 5** Powrót do domu.

5 dni | Wyloty z Warszawy
07/09, 18/09, 29/09, 11/10 2026

od 4.698,-

5 kolacji w cenie

Irlandia – zielona wyspa Celtów

Niezwykła wyprawa, podczas której odkryjemy wspaniałe zabytki i cuda natury, poznamy sympatycznych mieszkańców, skosztujemy piwa Guinness i najlepszej whisky.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Dublin. Przejazd do Waterford i pokaz psów pasterskich. **Dz. 2** Miasto Wikingów – Waterford. Zamek Cahir. **Dz. 3** Pierścień Kerry, posiadłość i ogrody Muckross. **Dz. 4** Kerry – prom do Killimer – Klify Moheru – Burren – Galway.
Dz. 5 Malowniczy region Connemara, zwiedzanie miasta Galway. **Dz. 6** Clonmacnoise – destylarnia whisky – Dublin. **Dz. 7** Zwiedzanie Dublina i czas wolny. **Dz. 8** Dublin – Warszawa. Powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy 18/08, 17/09 2026

od 7.498,-

Festiwal operowy Pucciniego

Zobacz dwie wspaniałe opery Pucciniego podczas słynnego festiwalu w Torre del Lago w połączeniu z wycieczkami do San Gimignano i Lukki.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Bolonii i przejazd do Toskanii. **Dz. 2** Zwiedzanie Montecatini Terme i miasta Lukka – miejsca urodzenia Pucciniego. Wieczorem opera.
Dz. 3 Relaks w Montecatini Terme lub opcjonalna wycieczka do Florencji lub Pistoi. Wieczór z operą. **Dz. 4** Średniowieczne San Gimignano oraz wizyta w winnicy wraz z obiadem. **Dz. 5** Bolonia i powrót do domu.

5 dni | Wylot z Warszawy | od 4.998,-
***Turandot & Tosca* 16/07 2026**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP10**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe